

MAURICE LEBLANC



Léon

TYGRYSA

**MAURICE
LEBLANC**



**ZĘBY
TYGRYSA**

Przekład J. P.

KRAJOWA AGENCJĄ WYDAWNICZĄ RZESZÓW
1990

Tytuł oryginału: *Les dents du tigre*

Tekst według wydania: Łódź 1948. Wydawnictwo „Kolumna”

Opracowanie graficzne
Tadeusz Nuckowski

Redaktor
Stanisław Turek

Redaktor techniczny
Zdzisław Stefański

Korekta
Krystyna Burlińska

ISBN 83-03-03093-0

© Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza Rzeszów 1990

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Don Luis Perenna

O godzinie pół do piątej sekretarz osobisty prefekta policji, pana Demaliona, ułożył na biurku listy i sprawozdania, po czym zadzwonił i rzekł do wchodzącego woźnego:

— Pan prefekt zawezwał na godzinę piątą kilka osób. Niech zaczekają, każdy z osobna, żeby się nie mogli porozumieć między sobą. Karty wizytowe tych panów proszę mi przynieść.

Po wyjściu woźnego sekretarz skierował się ku drzwiom swego gabinetu. Wtem drzwi od przedpokoju otwarty się ponownie i stanął w nich mężczyzna krępy i barczysty, ale dziwnie blady. Zatrzymał się chwilę, po tym zrobił kilka kroków, zachwiał się i chwycił poręczą fotela.

— Ach, to ty, Verot! Lecz czemuś taki zmieniony? Co ci jest?

— Nic, panie sekretarzu — odrzekł Verot, ocierając pot z czoła. — Może się trochę przepracowałem w tych dniach, gdyż chciałem koniecznie wyjaśnić pewną sprawę, powierzoną mi przez pana prefekta... Musi to być zmęczenie... bo rzeczywiście dziwnie źle się czuję...

— Może byś się czego napił na wzmocnienie?

— Nie, dziękuję... Chciałbym... chciałbym się widzieć z panem prefektem...

— Prefekt przyjdzie dopiero o piątej na zebranie,

— Właśnie, i mnie wezwał na to zebranie... Lecz potrzebowałbym koniecznie przedtem się z nim w tej sprawie rozmówić.

Sekretarz spojrzał badawczo.

— Masz mu może jakieś ważne odkrycie do zakomunikowania?

— Tak, odkrycie niezmiernej wagi. Idzie tu bowiem o zbrodnię popełnioną przed miesiącem, a szczególnie o zapobieżenie skutkom tej zbrodni, w formie dwóch nowych zabójstw, które się staną niechybnie tej nocy, jeśli im nie zdołamy przeszkodzić. Tak... tej nocy... niechybnie... I to tak szatańsko zorganizowane...

— Wiesz co, Verot, usiądź i odpocznij trochę. Znadto się tą sprawą, przejmujesz...

— Być może, lecz... aż mi się straszno robi na myśl, że mógłbym się z panem prefektem rozminąć i nie uprzedzić go o tym, co się tam knuje!... Pomyślałem więc sobie, że bezpieczniej będzie na wszelki wypadek spisać wszystko, co wiem o tej sprawie. W tej oto żółtej kopercie znajdzie pan całe sprawozdanie, a tu ma pan jeszcze pudełeczko, w którym znajduje się przedmiot mogący służyć jako dodatkowe wyjaśnienie.

— Czemuż ty tego nie chcesz przy sobie zatrzymać?

— Boję się, bo mnie szpiegują... Nie będę miał chwili spokoju, dopóki kto inny prócz mnie nie będzie znał tej tajemnicy!...

— Ależ nie obawiaj się, Verot, prefekt niebawem nadejdzie i udzieli* ci pełnomocnictwa do działania w tej sprawie i zapobieżenia dalszym zbrodniom. Tymczasem zaś radzę ci pójść do apteki i wziąć na wzmocnienie.

Inspektor zawahał się chwilę, raz jeszcze otarł pot z czoła, następnie trochę sztywnym krokiem skierował się ku wyjściu.

Zostawszy sam, sekretarz wsunął żółtą-kopertę pomiędzy akta leżące na biurku prefekta, po czym wyszedł do swego gabinetu.

Zaledwie drzwi zamknął, kiedy od przedpokoju drzwi otwarły się ponownie i wszedł inspektor, jękając się:

— Panie sekretarzu... ja panu lepiej pokażę...

Blady był jak trup i szczękał zębami. Ujrawszy, że w pokoju nie ma nikogo, chciał pójść dalej, lecz sił mu zabrakło i runął na pobliskie krzesło jęcząc:

— Tak mi jakoś niedobrze... czyżby to była trucizna?... Straszno mi... boję się...

Uchwycił kawałek papieru z biurka i usiłował nagryzmolić słów parę, lecz po chwili zaniechał tego, mówiąc:

— Przecież to zbyteczne, prefekt przeczyta mój list... Ale co mi jest?... co mi się stało?...

Nagle opanował się i powstał, wołając stłumionym głosem:

— Panie sekretarzu... trzeba... trzeba koniecznie... To na tę noc... Nic nie wstrzyma!...

I jak automat drobnym krokiem zwrócił się ku gabinetowi sekretarza, lecz siły go opuściły i padł na kolana. Szał przerażenia wstrząsnął nim. Chciał krzyczeć, ale głos uwiązł mu w gardle. Człogając się, dotarł do ściany. Mózg jego dawał mu już niejasne pojęcie kierunku i zamiast zwrócić się w lewo, skierował się w prawo i człogał się dalej wzdłuż ściany, macając mur jak ślepy. Po chwili natrafił na klamkę drzwi jakichś, otworzył je, wybełkotał:

— Ratunku!... ratunku!... — i padł na podłogę pokoiku, który służył za toaletę prefektowi policji.

Wyobrażając sobie, że jest w gabinecie sekretarza, jęczał dalej:

— Tej nocy... ujrzycie... ślady zębów... Okropność! Ratunku! to trucizna... ratujcie mnie... Jezus Maria!...

Głos jego stawał się coraz słabszy. Wymówił jeszcze jak we śnie:

— Zęby... białe zęby... zamykają się....

I umilkł. Głowa spadła mu na piersi, westchnął parę razy i stracił przytomność.

Pan Demalion, który już od lat kilku zajmował wysokie stanowisko prefekta policji, był człowiekiem powszechnie cenionym i poważanym, o twarzy inteligentnej i subtelnej i postaci z lekka ociążałej człowieka pięćdziesięcioletniego. Jego eleganckie popielate ubranie i białe kamasze w niczym nie przypominały zwykłego urzędniczego ubioru, ruchy zaś jego były pełne wykwintnej i naturalnej swobody.

Zadzwoił i po chwili zwrócił się do wchodzącego sekretarza:

— Czy osoby, wezwane przeze mnie na piątą, już przybyły?

— Tak jest, panie prefekcie, kazałem umieścić każdego z osobna.

— Tym razem ostrożność zbyteczna! Chociaż... może to i lepiej. Spodziewam się, że ambasador Stanów Zjednoczonych nie fatygował się osobiście?

— Nie, panie prefekcie, zastępuje go sekretarz ambasady.

— Czy ma pan karty tych panów?

— Oto są.

Prefekt policji wziął podane sobie karty i przeczytał:

Archibald Brighth, pierwszy sekretarz ambasady Stanów Zjednoczonych.

Mecenas Lepertuis, notariusz.

Juan Caceres, attache ambasady peruwiańskiej.

Major hr. d'Astrignac, dymisjonowany.

Piąta karta nie miała żadnych tytułów ani odznak, nosiła tylko imię i nazwisko:

Don Luis Perenna.

— Tego mam wielką chęć poznać — rzekł Demalion. — Niezmiernie interesująca postać!... Czytał pan sprawozdanie „Legion Etrangere”?

— Czytałem, panie prefekcie i przyznaję, że i mnie ten pan bardzo zaciekawia...

— Co to za odwaga! Nieprawdaż? Wprost jakiś bohaterski szaleniec! A przy tym to nazwisko Arsen Lupin, które mu nadali koledzy w uznaniu jego zdumiewającej wyższości... Wiele to czasu upłynęło od śmierci Arsena Lupina?

— Dwa lata przed wojną, panie prefekcie, znaleziono trupa jego i pani Kesselbach pod gruzami spalonego szaletu¹, w pobliżu luksemburskiej granicy. Dochodzenia śledcze dowiodły, że to on udusił panią Kesselbach, - której potworne zbrodnie wyszły następnie na jaw, po czym podpalili szalet i powiesił się.

— Koniec godny tak nikczemnej kreatury — odrzekł Demalion. — Co do mnie zaś przyznać muszę, że wolę z nim nie walczyć... Ale wracając do naszej sprawy... Czy akta, tyżące się spadku po Morningtonie, są gotowe?

— Leżą na pańskim biurku, panie prefekcie.

— A inspektor Verot czy już przybył?

— Tak jest, - panie prefekcie, lecz posłałem go do apteki żeby się tam czegoś napił na wzmocnienie, bo jakoś dziwnie źle wyglądał, robił wrażenie poważnie chorego.

— Jak to? Co mu było?...

Sekretarz opowiedział w paru słowach swoją rozmowę z inspektorem Verotem.

— Mówi pan, że zostawił dla mnie list — zapytał Demalion zaniepokojony.

— Tak, jest tu wśród dokumentów.

— Mocno mi się to wszystko wydaje dziwnym... Verot jako inspektor jest pierwszej klasy urzędnikiem, inteligentny i zrównoważony, nie przejmowałby się tak bez przyczyny. Niech mi go pan tu zaraz sprowadzi, a ja tymczasem przejrzę korespondencję.

Sekretarz wrócił po chwili mówiąc, że Verota w aptece nie było i że woźny twierdził, iż widział go wchodzącego powtórnie do gabinetu prefekta, skąd więcej nie wyszedł.

— To już zupełnie niezrozumiałe... Chyba należy przypuszczać, że go woźny nie zauważył wychodzącego powtórnie. Przecież go nie ma ani tu, ani u pana? Zresztą nie ma to znaczenia, gdyż chwilowo nie jest mi potrzebny.

Prefekt spojrzał na zegarek.

— Dziesięć po piątej, proszę uprzedzić woźnego, żeby tu wprowadził tych panów. Chociaż...

Tu Demalion zawahał się, patrząc na list Verota leżący wśród dokumentów.

— Panie prefekcie — podchwycił sekretarz — myślę, że ze względu na nieobecność Verota i na to, co mi mówił, warto by było zapoznać się z zawartością tego listu przed rozpoczęciem zebrania.

Demalion zastanowił się, po chwili wziął żółtą kopertę z nagłówkiem „Cafe du Pont-Neuf”, rozciął ją szybko i wykrzyknął ze zdumieniem:

— Tego to już za wiele! — i pokazał sekretarzowi czystą ćwiartkę papieru, złożoną we czwóro.

— Jednakże Verot mówił mi wyraźnie, że napisał w tym liście wszystko, co o tej sprawie wiedział — zawołał sekretarz zdumiony.

— Wie pan, że gdybym nie znał od dawna inspektora Verota, to bym przypuszczał, że to żart...

— Co najwyżej roztargnienie, panie prefekcie.

— Tak...ale roztargnienie jest niedopuszczalne, kiedy idzie o życie dwóch istot. Czyż nie uprzedzał pana, że podwójne zabójstwo jest uknute na tę noc?

— Tak, panie prefekcie, na tę noc, i to w jakichś niebywałych okolicznościach, szatańsko obmyślonych.

Demalion przeszedł się po pokoju w zamyśleniu.

— A to co za pakiecik z moim adresem? — rzekł wskazując na opodal stojący stolik.

¹ *szalet — tu: domek wiejski.*

— Ach, zapomniałem powiedzieć panu prefektowi, że Verot zostawił oprócz listu ten pakiecik, zawierający pudełko z jakimś przedmiotem, mającym służyć za dodatkowe wyjaśnienie do listu.

— List jego rzeczywiście ogromnie wyjaśnienia potrzebuje — zaśmiał się Demalion i otworzył pakiecik.

W zwykłym, mocno zniszczonym kartonowym pudełeczku, pomiędzy dwoma kawałkami brudnej waty, leżała tabliczka czekolady.

— Cóż to ma znaczyć? — mruknął prefekt zdumiony.

Wziął do ręki czekoladę, żeby jej się przyjrzeć bliżej i natychmiast, zauważył przyczynę, która widocznie skłoniła Verota do zachowania jej. Na wierzchu i od spodu nosiła ona wyraźny ślad zębów, zagłębionych w czekoladzie na parę milimetrów, przy czym forma i odległość każdego zęba odznaczała się jak w wosku.

— To ciekawe — szepnął Demalion. — Jest w tym jakaś tajemnica, której chciałbym znaleźć wątek... Ten papier czysty... i te zęby... Co to wszystko znaczy?

Nie był to jednak człowiek zdolny do tracenia czasu na odgadywanie tajemnic, które wcześniej czy później z nadejściem inspektora Verota musiały się wyjaśnić. Zwrócił się więc do sekretarza:

— Nie mogę kazać dłużej czekać tym panom, niech ich więc woźny wprowadzi. Jeśliby zaś tymczasem Verot nadszedł, proszę mnie natychmiast powiadomić. Pod żadnym jednak innym pozorem niech mi nie przeszkadzają.

W dwie minuty później wchodził do pokoju mecenas Lepertuis, gruby i czerwony jegomość, z faworytami i w okrągłych okularach. Po nim wszedł sekretarz ambasady Archibald Brighth i attache peruwiański Caceres.

Demalion znalazł już tych panów, wszczął więc z nimi zaraz ożywioną rozmowę, po chwili jednak oddalił się, żeby powitać majora d'Astrignaca, bohatera z wojny marokańskiej, którego liczne i chwalebne rany, zdobyte na polu walki, zmusiły do przedwczesnego opuszczenia armii czynnej.

Tymczasem drzwi otworzyły się raz jeszcze.

— Don Luis Perenna, nieprawdaż? — zapytał prefekt podając rękę nowo przybyłemu.

Był to człowiek średniego wzrostu, o powierzchowności uderzająco młodej, któremu lat trudno byłoby dać więcej niż czterdzieści, gdyby nie para nieznaczących zmarszczek na twarzy i skroniach pozwalających domyślać się kilku lat więcej. Odznaczony był medalem wojskowym i Legią Honorową.

— Tak jest, panie prefekcie — skłonił się wytwornie.

— Ależ to Perenna! jeśli mnie oczy nie mylą — zawołał major d'Astrignac. — Jesteś więc jeszcze na tym świecie?

— Do usług panie majorze, niezmiernie się cieszę, że pana widzę!

— Perenna żyw i zdrow! Ależ o tobie nie miano już żadnych wieści w Maroku, kiedy stamtąd wyjeżdżałem. Przypuszczano już, że nie żyjesz.

Byłem tylko w niewoli.

— W niewoli marokańskiej! To prawie to samo co śmierć.

— Niezupełnie, panie majorze, czego jestem żywym dowodem. Z niewoli można czasem umknąć!...

Prefekt przypatrywał się z mimowolną sympatią tej energicznej postaci o uśmiechniętym wyrazie twarzy i oczach szczerych i stanowczych, o cerze brązowej, jakby wypalanej ogniem południowego słońca.

Następnie dał znak obecnym, żeby zajęli miejsce wokół biurka, po czym sam usiadł i rozpoczął od następującej przedmowy.

— Wezwanie, które przesłałem panom, musiało wam wydać, się trochę tajemnicze i niejasne, sposób zaś, w który rozpoczną naszą rozmowę, utrwali panów w

tym wrażeniu. Jeśli jednak zechcecie obdarzyć mnie odrobiną zaufania, przekonacie się wkrótce, że cała sprawa jest niezmiernie prosta i jasna. Postaram się zaś być zwięzłym i treściwym.

Otworzył tekę z dokumentami, przygotowaną przez swego sekretarza i ciągnął tak dalej:

— Na kilka lat przed wojną francusko-pruską w roku 1870 trzy sieroty w wieku dwudziestu dwóch, dwudziestu i osiemnastu lat, o imionach Ermelina, Elżbieta i Armanda Roussel mieszkały w miasteczku Saint-Etienne wraz ze swoim ciotecznym bratem Wiktorem o parę lat młodszym.

Najstarsza Ermelina pierwsza opuściła St. Etienne, gdyż wyjechała do Londynu z Anglikiem Morningtonem, za którego wyszła za mąż i miała z nim syna Kosmę. Żle im się działo materialnie i Ermelina pisała kilkakrotnie do swoich sióstr, prosząc je o pomoc, lecz nie otrzymując odpowiedzi zaprzestała korespondencji. W roku 1875 państwo Mornington wyjechali do Ameryki i w ciągu lat pięciu dorobili się dużego majątku. Mornington zmarł w roku 1883, a po jego śmierci żona administrowała majątkiem, który został jej zapisany w całości. Jak się następnie okazało, miała ogromne zdolności spekulacyjne i doprowadziła fortunę do cyfry olbrzymiej. Umierając w roku 1905, zostawiła synowi 400 milionów.

Cyfra ta zrobiła widoczne wrażenie na obecnych. Prefekt, zauważywszy spojrzenie, które major zamienił z Perenną, zwrócił się do nich z zapytaniem:

— Panowie znali Kosmę Morningtona, nieprawdaż?

— Zналиśmy go, panie prefekcie — odrzekł hrabia d'Astrignac. — Mornington przebywał w Maroku, podczas kiedyśmy z Perenną tam wojowali.

— Istotnie, Kosma Mornington wiele podróżował uprawiając przy tym sztukę lekarską i to z wielkim powodzeniem, rozumie się bezpłatnie. Zamieszkiwał początkowo w Egipcie, następnie w Algierze i Maroku, w końcu zaś 1914 roku przeniósł się do Ameryki, żeby tam podtrzymywać politykę państw sprzymierzonych. W roku zeszłym, po zawarciu pokoju, osiadł w Paryżu, gdzie przed trzema tygodniami zmarł wskutek najgłępszego wypadku.

— Czy to nie zastryk jakiś źle zrobiony był powodem śmierci? — zapytał sekretarz ambasady Stanów Zjednoczonych. — Dzienniki przynajmniej tak ten wypadek przedstawiały. A i nasza ambasada była również o tym powiadomiona.

— Rzeczywiście odparł prefekt — Mornington, żeby się wzmocnić po influency, która go całą zimę przetrzymała w łóżku, robił sobie wstrzykiwania glicerofosforanu sodu. Widocznie zastryk musiał być zrobiony bez należytych ostrożności, gdyż rana się rozjątrzyła i w kilka godzin już nie żył.

Prefekt policji zwrócił się do notariusza z zapytaniem:

— Czy moje streszczenie jest zgodne z rzeczywistością, panie mecenasie?

— Najzupełniej, panie prefekcie — odparł ten ostatni.

Demalion ciągnął dalej:

— Nazajutrz rano mecenas Lepertuis przybył do mnie, żeby mi pokazać testament Morningtona, jemu powierzony.

Korzystając z chwili, kiedy prefekt sprawdzał akta, mecenas Lepertuis dodał:

— Pan prefekt pozwoli mi zaznaczyć, że klienta mego widziałem raz tylko, kiedy mnie wezwał w początkach owej przewlekłej influency, żeby mi wręczyć testament. Mówił mi wówczas, że porobił starania dla odnalezienia rodziny matki i że ma zamiar poważnie się tym zająć po powrocie do zdrowia.

Tymczasem prefekt wyjął z aktów kopertę otwartą, zawierającą dwie kartki papieru, i otworzywszy większą z nich rzekł:

— Oto testament, którego proszę wysłuchać z uwagą.

„Ja niżej podpisany Kosma Mornington, syn legalny Huberta Morningtona i Ermeliny Roussel, obywatel Stanów Zjednoczonych, zapisuję mojej przybranej ojczyźnie połowę majątku na cele dobroczynne, a to według wskazówek podanych osobno, które mecenas Lepertuis prześle ambasadzie Stanów Zjednoczonych.

Co zaś do dwustu milionów, złożonych w bankach paryskich i londyńskich, których lista złożona jest u pana Lepertuisa, zapisuję takowe w dowód pamięci mojej ukochanej matki w pierwszym rzędzie siostrze jej, Elżbiecie Roussel lub jej spadkobiercom w prostej linii; w razie ich wygaśnięcia drugiej siostrze Armandzie albo spadkobiercom tejże; w razie zaś wygaśnięcia obu linii kuzynowi ich Wiktorowi i jego następcom.

O ile mi się nie uda przed śmiercią odnaleźć rodziny mojej matki, upraszam przyjaciela mego Don Luisa Perennę, żeby wziął tę sprawę w swoje ręce. Czynię go wykonawcą mego testamentu, nie wątpiąc, że przez pamięć na mnie przeprowadzi wszystko według mego życzenia. W zamian za tę usługę oraz przez wdzięczność za uratowanie mi życia po dwakroć, proszę go o łaskawe przyjęcie skromnej sumy miliona franków”.

— Biedny Kosma — szepnął don Luis — z radością wypełniłbym jego ostatnią wolę i bez tego zapisu.

„Gdyby zaś — czytał dalej Demalion — w ciągu trzech miesięcy po mojej śmierci poszukiwania don Luisa Perenny i pana Lepertuisa pozostały bez wyniku, to jest gdyby się nikt z rodziny Roussel nie zgłosił, w takim razie cały spadek w sumie 200 milionów stanie się własnością mego przyjaciela Perenny, bez względu na późniejsze reklamacje i protesty. Znam go dość dobrze i pewien jestem, że uczyni dobry użytek z tych pieniędzy, stosownie do swych szlachetnych i wielkich projektów, które z takim zapalem rozrzucał niejednokrotnie przede mną pod marokańskim namiotem”.

Demalion znów się zatrzymał i spojrzął na don Luisa, który siedział nieporuszony i milczący, jednak coś jakby łza zabłysła mu na rzesach. Major d’Astrignac zwrócił się do niego z powinszowaniem.

— Panie majorze — odrzekł Perenna — spadek ten jest warunkowy. Ręczę zaś panu słowem honoru, że jeśli to tylko będzie w mojej mocy, rodzina Roussel zostanie odnaleziona!

— Dość dobrze pana znam, żeby o tym nie wątpić — skłonił się ku niemu major.

— Jednakże zasadniczo nie odmawia pan przyjęcia tego, jak się pan wyraził, warunkowego spadku? — zapytał prefekt.

— Oczywiście że nie! — zaśmiał się Perenna. — Są rzeczy, których się nie odmawia.

— Pytanie moje jest wywołane ostatnim paragrafem testamentu, który brzmi jak następuje:

„Gdyby mój przyjaciel Perenna z jakichkolwiek powodów odmówił przyjęcia spadku, lub gdyby w oznaczonym czasie już nie żył, w takim razie proszę pana ambasadora Stanów Zjednoczonych oraz pana prefekta policji, żeby się porozumieli dla obmyślenia środków, celem wybudowania i zorganizowania uniwersytetu dla studentów amerykańskich. Pan prefekt zaś będzie łaskaw, niezależnie od powyższych warunków, podnieść z wymienionych sum trzysta tysięcy franków, które rozdzieli pomiędzy swoich agentów”.

Demalion złożył testament i wzięwszy drugą kartkę papieru tak ciągnął dalej:

— Do testamentu dołączony jest kodycył w formie listu, pisanego przez Morningtona do mecenas Lepertuisa, w którym wyjaśnia jeszcze niektóre punkty:

„Proszę mecenas Lepertuisa, żeby otworzył testament nazajutrz po mojej śmierci w obecności pana prefekta policji, przy czym upraszam go o zachowanie ścisłej tajemnicy w ciągu miesiąca. Po upływie tegoż miesiąca, co do dnia, proszę go o

łaskawe wezwanie do siebie: jednego z ważniejszych przedstawicieli ambasady Stanów Zjednoczonych, mecenasa Lepertuisa i don Luisa Perennę dla przeczytania wobec nich mego testamentu oraz wręczenia memu przyjacielowi Perennie czeku na milion franków, po uprzednim sprawdzeniu jego papierów oraz tożsamości osoby.

Pragnąłbym, żeby o tożsamości jego osoby zaświadczył major d'Astrignac, który był jego zwierzchnikiem w Maroku, oraz członek poselstwa peruwiańskiego, ponieważ don Luis, będąc Hiszpanem, jest jednakże poddanym peruwiańskim.

Wymagam następnie, żeby rodzina Roussel powiadomiona została o zawartości mego testamentu dopiero w dwa dni później w biurze mecenasa Lepertuisa. Co zaś do ostatecznego wyznaczenia spadkobiercy, to takowe może nastąpić dopiero po upływie trzech miesięcy na zebraniu ponownym wszystkich osób wyżej wymienionych, przy czym ewentualny spadkobierca musi się stawić osobiście na powyższe zebranie”.

— Oto zawartość testamentu Morningtona — zakończył prefekt. — Za chwilę zaś zjawi się tu mój agent dla zdania nam relacji z poczynionych kroków, celem odnalezienia rodziny Roussel. Tymczasem proponuję, żebyśmy według wskazówek testatora przystąpili do sprawdzenia tożsamości obecnego tu don Luisa Perenny. Papiery jego, które mi przed dwoma tygodniami przedstawił, są w najzupełniejszym porządku. Co zaś do jego pochodzenia, to prosiłem pana ministra peruwiańskiego, żeby zechciał zebrać ściśle dane...

— Sprawa ta została mi powierzona, panie prefekcie — odezwał się pan Caceres — i muszę przyznać, że nie zrobiła mi kłopotu. Don Luis Perenna pochodzi ze starożytnej rodziny hiszpańskiej, która przed laty trzystu wyemigrowała do Peru, zatrzymując jednakże swoje posiadłości w Europie. Ojciec don Luisa, którego znałem w Ameryce, mówił o swym jedynaku z gorącym przywiązaniem. Przed pięciu laty don Luis powiadomiony został przez nasze poselstwo o śmierci ojca. Oto kopia listu wysłanego wówczas do Maroka.

— A oto oryginał listu, przedstawiony mi przez don Luisa Perennę — odpowiedział prefekt. Po czym zwracając się do majora d'Astrignaca zapytał: — Panie majorze, czy poznaje pan legionistę Perennę, który walczył w Maroku pod pańskimi rozkazami?

— Poznają go bez najmniejszej wątpliwości.

— Poznaie pan legionistę Perennę, którego koledzy w dowód uznania przezwali Arsenem Lupinem? — zaśmiał się Demalion.

— Tak, panie prefekcie, tego, którego koledzy przezwali Arsenem Lupinem, a którego zwierzchnicy nazywali bohaterem, o którym mówiono, że jest dzielny jak d'Artagnan, silny jak Porthos...

— I tajemniczy jak Monte Christo — zakończył prefekt. — Jest to rzeczywiście zawarte w sprawozdaniu, które otrzymałem z czwartego pułku Legii Cudzoziemskiej, którego w całości czytać nie będę, lecz w którym podnieść muszę fakt niebywały, iż legionista Perenna w ciągu dwóch lat odznaczony został medalem wojskowym, Legią Honorową za wyjątkowe zasługi i siedem razy był wymieniony w rozkazie dziennym.

— Panie prefekcie, to są przecież szczegóły, które nie interesują nikogo — przerwał Perenna.

— Przeciwnie, gdyż zebrane tu osoby muszą wiedzieć, kim jest wykonawca testamentu Morningtona, jako też spadkobierca jego w sumie miliona franków, na którą to sumę mamy panu przecież czek dzisiaj wręczyć.

— Nie chcę narażać skromności mego byłego towarzysza broni — zawołał hrabia d'Astrignac — lecz zaświadczyć muszę, że podobnego mu bohatera nie zdarzyło mi się spotkać. Czyny jego przechodziły wszelkie prawdopodobieństwo i gdybym nie był ich naocznym świadkiem, sam bym w nie nie uwierzył. Na przykład raz pod Settat byliśmy ścigani...

— Panie majorze, słowo jeszcze, a opuść zebrań! — przerwał mu Perenna z uśmiechem. — Przrzekł pan przecz nie narażać mej skromności...

— Mój kochany, zawsze ci mówiłem, że twoją jedyną wadą jest to, że nie jesteś Francuzem.

— A ja panu raz jeszcze odpowiem jak zwykle, że jestem Francuzem po matce i jej zawdzięcam serce i temperament Francuza.

Obaj panowie uścisknęli sobie, dłoń serdecznie.

— Panie Perenna — zapytał prefekt — zechce mi pan jeszcze objaśnić, jakim sposobem Kosma Mornington uczynił pana swoim spadkobiercą, kiedy pań był wzięty do niewoli przez Berberów w roku 1915 i wszelki ślad po panu zaginął?

— Jeśli pan pozwoli, panie prefekcie, to owe cztery lata spędzone w niewoli oraz późniejsza ucieczka pozostaną do czasu moją tajemnicą. Mogę panu tylko powiedzieć, że korespondowaliśmy z Morningtonem i zapowiedziałem mu rychły mój powrót.

— A więc jedno jeszcze pytanie, tym razem ostatnie: z jakiego powodu nazywano pana Arsenem Lupinem? Czy tylko w dowód uznania pańskiej odwagi i siły?

— Nie tylko to, panie prefekcie. Powodem tego było przede wszystkim wykrzycie przeze mnie sprawcy pewnej znacznej kradzieży, dokonanej w dość niezwykłych warunkach. Ponieważ zaś poszkodowanym w danym wypadku był właśnie Kosma Mornington, nabrał on więc od tego czasu bezgranicznej ufności w moje detektywistyczne zdolności. Stąd też pochodziła nasza późniejsza przyjaźń. Mawiał mi on nieraz: Perenna, jeśli mnie zamordują, przysięgnij mi, że mnie pomścisz! Miał bowiem jakby przeczucie, że nie umrze zwykłą śmiercią.

— Przeczucie to jednak nie sprawdziło się — rzekł prefekt.

— Myli się pan, panie prefekcie.

— Jak to? Co pan mówi? Twierdzi pan, że Kosma Mornington...

— Twierdę, że Kosma Mornington nie umarł wskutek źle zrobionego zastrzyku, lecz tak jak się obawiał zginął śmiercią gwałtowną.

— Na czym pań opiera swoje twierdzenie? Czy był pan przy jego śmierci?

— Nie byłem i przyznaję nawet, że przyjeżdżając do Paryża nie wiedziałem wcale o tym tragicznym wypadku i dopiero pan mnie o nim powiadomił.

— W takim razie nie wie pan nic więcej niż my i musi się pan kontentować oficjalnym świadectwem doktora.

— Niestety, panie prefekcie, powyższe świadectwo nie wydaje mi się wcale zadowolającym.

— Ależ jakim prawem rzuca pan to oskarżenie? Jakie pan ma na to dowody?

— Najlepszym dowodem są pańskie słowa, panie prefekcie. Powiedział pan naprzód, że Kosma Mornington zajmował się medycyną i uprawiał ją z powodzeniem. Następnie zaś umarł wskutek źle zrobionego zastrzyku... Pozwoli pan więc zwrócić swoją uwagę na to, że ktoś znający się dobrze na medycynie zastosowuje przy robieniu zastrzyków wszelkie ostrożności antyseptyczne i nie byłby wprost zdolnym zrobić zastrzyku powodującego śmierć.

— A więc?

— A więc twierdę, że doktor wydając świadectwo uczynił tak, jak się to zwykle czyni, bez bliższego zbadania przyczyny śmierci. Panie mecenasie — zwrócił się Perenna do notariusza czy nie zauważył pan nic niezwykłego, kiedy pana zawezwano do Morningtona?

— Niezwykłego? — zdaje mi się, że nic! Mornington był już nieprzytomny, kiedy do niego przybyłem.

— To samo jest już dziwne, żeby zastrzyk, choć najgorszy, miał tak piorunująco działać! Czy nie cierpiał?

— Zdaje się, że nie... choć może... owszem... Na twarzy miał jakieś brunatne plamy, których poprzednio nie zauważyłem.

— Plamy brunatne?... To by potwierdzało moje przypuszczenia! Kosma Mornington umarł otruty.

— Ależ jakim sposobem? — zawołał prefekt wzburzony.

— Przez uprzednie wprowadzenie trucizny do strzykawki lub domieszanie takowej do lekarstwa, używanego do zastrzyków.

— Jednakże doktor byłby zauważył nienormalne objawy — oponował dalej prefekt.

— Panie mecenasie, czy nie zwrócił pan uwagi doktora na owe plamy?

— I owszem, lecz doktor nie przywiązywał do tego najmniejszej wagi.

— Czyż to był jego stały lekarz?

— Nie, stałym lekarzem Morningtona był mój przyjaciel doktor Pujol, który sam był wówczas ciężko zaniemógł. Ten zaś, którego u niego zastałem, był mi nieznany.

— Oto jego nazwisko i adres: doktor Bellavaire, 14 rue d'Astorg objaśnił Demalion.

— Czy ma pan książkę adresową ze spisem lekarzy? — zapytał Perenna.

Prefekt otworzył książkę adresową i po chwili odrzekł głosem z lekka zaniepokojonym:

— Doktora Bellavaire'a nie ma w spisie i żaden lekarz nie mieszka pod wskazanym adresem.

Zaległa chwila milczenia. Sekretarz ambasady i pan Caceres przysłuchiwali się rozmowie z ogromnym zainteresowaniem, major d'Astrignac kiwał zaś głową potakująco. Dla niego bowiem Perenna był nieomylną wyrocznią.

— Zdumiewający zbieg okoliczności — przyznał w końcu prefekt — te plamy... ten doktor tajemniczy... trzeba się będzie zająć bliższym zbadaniem tej sprawy. — I jakby mimo woli zwrócił się do Perenny: — Pan upatruje prawdopodobnie związek pomiędzy zbrodnią... a testamentem Morningtona?

— Tego nie śmiem twierdzić, panie prefekcie, gdyż w takim razie musiałbym przypuszczać, iż ktoś jeszcze prócz panów wiedział o istnieniu testamentu. Czy uważa pan to za możliwe, panie mecenasie?

— Wątpię, gdyż Mornington zachowywał to w ścisłej tajemnicy.

— W pańskim zaś biurze żadna niedyskrecja popełniona być nie mogła?

— Nie widzę przez kogo? Tylko ja jeden miałem testament w rękę i jedynie ja mam klucz od kasy, do której chowam co wieczora wszystkie ważniejsze dokumenty.

— W jakiej porze dnia był pan u Morningtona?

— Rano. Było to w piątek rano.

— A co robił pan z testamentem, zanim go pan wraz z innymi dokumentami schował do kasy wieczorem?

— O ile pamiętam, włożyłem go do szuflady od biurka.

— A czy ta szuflada nie mogła być otwarta przez kogo innego?

Mecenas Lepertuis nie odpowiedział, tylko spojrział na niego ze zdumieniem.

— Czy nie zdarzyło się nic podobnego? — badał dalej Perenna.

— I owszem, teraz przypominam sobie: kiedy wróciłem do biura po śniadaniu, przekonałem się, że owa szuflada nie jest na klucz zamknięta, pomimo iż ją poprzednio bez żadnego wątpienia własnoręcznie na klucz zamknąłem. Na razie nie przywiązywałem zbytnej wagi do tego szczegółu. Dziś dopiero rozumiem...

I tak się sprawdzały jedna po drugiej wszystkie hipotezy wysnute przez Perennę, oparte wprawdzie na pewnych danych realnych, ale uwydatniające szczególnie ogromne jego zdolności intuicyjne, zdumiewające tym bardziej, że nie był on obecnym przy żadnym z faktów, które mu się udało tak zręcznie powiązać.

— Za chwilę przekonamy się, do jakiego stopnia pańskie twierdzenia, nieco ryzykowne, zgodne są z prawdą. Agent, któremu powierzyłem tę sprawę, przybędzie niebawem dla zdania mi relacji z poczynionych kroków — rzekł prefekt do don Luisa. — Dziwi mnie nawet, że się dotychczas nie zgłosił.

— Oczekuje pan sprawozdania co do spadkobierców Morningtona? — zapytał mecenas Lepertuis.

— Tak! co do spadkobierców, gdyż przedwczoraj telefonował mi, że zebrał wszelkie dane. Ale przypomina mi się teraz, że w rozmowie z sekretarzem wspominał on coś o morderstwie, które miało miejsce przed miesiącem. Przecież to dziś upłynął miesiąc od śmierci Morningtona!

Pan Demalion szybkim ruchem zadzwonił. Natychmiast nadbiegł sekretarz osobisty.

— Inspektor Verot? — zapytał żywo prefekt.

— Jeszcze nie powrócił.

— Niech go odszukają i przyprowadzą natychmiast. — Następnie, zwracając się do Perenny, objaśnił prefekt: — Przed godziną był tu inspektor Verot, ale jakiś niespokojny i chory. Mówił, że go szpiegują i chciał koniecznie widzieć się ze mną, żeby mnie uprzedzić o podwójnym morderstwie, będącym jakby konsekwencją zabójstwa Morningtona.

— Mówi pan, że Verot był chory?

— Tak, chory i dziwnie zdenerwowany. Obawiał się, że mu się nie uda powiadomić mnie zawczasu o przygotowanej zbrodni i w tym celu zostawił dla mnie list z wszelkimi szczegółami, który atoli się okazał czystą ćwiartką papieru i to oto pudełko z tabliczką czekolady.

— Czy mogę te przedmioty obejrzeć?

— Oczywiście, lecz wątpię, żeby pan z nich wiele zrozumiał.

— Kto wie... — rzekł don Luis i zaczął się przypatrywać kopercie z nagłówkiem „Cafe du Pont-Neuf”.

Obecni czekali w skupieniu, jak gdyby to krótkie badanie miało przynieść ostateczne wyjaśnienie tej sprawy.

— Pismo na kopercie jest podrobione — zawyrokował Perenna po chwili, porównując adres koperty z napisem na pudełeczku. — Trzeba przypuszczać, że agent pański po napisaniu listu w kawiarni „Pont-Neuf” uległ chwilowej dystrakcji², z której ktoś skorzystał, żeby zamienić ów list na tę kopertę, uprzednio zaadresowaną.

— To tylko przypuszczenie... — odparł prefekt powątpiewająco.

— Może być... Lecz jest niewątpliwe, że obawy agenta pańskiego nie są wcale bezpodstawne. Odkrycia, które zrobił w sprawie spadku Morningtona, muszą przeszkadzać komuś w jego zbrodniczych zamiarach i nie dziwiłbym się, gdyby Verotowi groziło poważne niebezpieczeństwo.

— Czy myśli pan naprawdę?

— Trzeba go ratować, panie prefekcie, gdyż budzi się we mnie coraz większa pewność, że on jeden z pierwszych padnie ofiarą zbrodni.

— Podziwiam pewność, z jaką pan to wygłasza, lecz mam nadzieję, że przyjdzie Verota dowiedzie bezpodstawności pańskich obaw.

— Inspektor Verot nie przyjdzie.

— Ależ dlaczego?

— Bo już tu przyszedł. Woźny go przecież widział wchodzącego powtórnie do gabinetu.

— Woźnemu się przywidziało. Jeśli pan nie ma innych dowodów...

² dystrakcja — tu: roztargnienie, brak uwagi

— Mam jeszcze ten oto dowód powtórznej bytności Verota, tych parę nieczytelnych słów nabazgranych na kartce, które tylko co zauważyłem, a o których sekretarz nie wspominał.

Niepokój odmalował się na twarzy Demaliona. Wszyscy obecni ze wzruszeniem oczekiwali powrotu sekretarza. Niestety, obawy wydawały się coraz bardziej uzasadnione. Inspektora Verota nikt nie widział.

Woźny pytany przez Perennę potwierdził raz jeszcze, że inspektor z gabinetu nie wyszedł.

— W takim razie musi tu być! — zawołał don Luis.

— Gdyby tu był, tobyśmy go chyba widzieli. Nie chowałby się przecież po kątach — odpowiedział prefekt z irytacją w głosie.

— Lecz może leży gdzie zemdlony... chory... nieżywy nawet.

— Ależ gdzie, u diabła?

— Za tym parawanem choćby...

— Za tym parawanem są tylko drzwi do toalety.

— Trzeba się przekonać, panie prefekcie. Inspektor Verot na wpeł przytomny, chwiejąc się na nogach, myśląc, że idzie do gabinetu pańskiego sekretarza mógł tu upaść niespodzianie.

Demalion zawahał się. Trudno było zrozumieć, czy opanowała go trwoga, czy też chęć uwolnienia się spod wpływu tego dziwnego człowieka, zdającego się jakby kierować biegiem wydarzeń.

— Panie prefekcie — przynaglił Perenną — proszę pamiętać, że życie dwóch osób zależy od zeznań Verota. Każda chwila stracona może mieć niepowetowane skutki.

Demalion wzruszył ramionami, lecz człowiek ten panował nad nim całą siłą swego przekonania. Zdecydował się więc i drzwi otworzył. W bladym świetle, które przepuszczało okno, widać było człowieka leżącego na ziemi.

— To wprost niewiarygodne — szepnął prefekt półgłosem, podczas gdy woźny z sekretarzem rzucili się na ratunek nieszczęsnemu.

Inspektor Verot żył jeszcze, lecz uderzenia serca były już prawie niedostrzegalne. Oczy były zupełnie bez wyrazu. Tylko niektóre mięśnie twarzy drgały, kierowane może ostatnim wysiłkiem woli silniejszej niż śmierć.

Don Luis szepnął:

— Panie prefekcie... brunatna plamy... czy widzi pan?

Jakby jedno wielkie przerażenie ogarnęło obecnych.. Rzucono się do drzwi i okien, wołając o ratunek.

— Doktora... — rozkazał prefekt — niech tu natychmiast sprowadzą doktora i księdza. Nie można mu dać przecież tak umrzeć...

Don Luis poprosił o ciszę.

— Panie prefekcie — rzekł — tu już nie ma ratunku, trzeba jednak skorzystać z ostatnich chwil, żeby się czegoś dowiedzieć. Czy pozwala pan?

Prefekt skinął głową. Perenna pochylił się nad konającym i cichym głosem przemówił do niego:

— Chcielibyśmy się dowiedzieć o tym, co się ma stać tej nocy. Czy słyszysz mnie dobrze, Verot? Jeśli rozumiesz mnie, to zamknij oczy.

Verot spuścił powieki — może trafem tylko... Don Luis ciągnął dalej:

— Wiemy, że odnalazłeś spadkobierców rodziny Roussel i że dwojgu z nich grozi tej nocy niebezpieczeństwo... Nie znamy jednak ich nazwiska, bo może inaczej się nazywają, nie Roussel. Musisz nam to powiedzieć. Słuchaj dobrze, Verot: Napisałeś na kartce kilka liter, które się jakby układają w sylabę „Fau...”, czy to początek nazwiska? Jakie są dalsze litery? czy b? czy c?

Lecz już nie poruszała się blada, twarz inspektora. Głowa spadła mu ciężko na piersi. Westchnął parę razy, drgnął ostatnim dreszczem i skonał.



ROZDZIAŁ DRUGI

Człowiek mający umrzeć

Wydarzenia tej tragicznej sceny rozegrały się z taką szybkością, że jej świadkowie pozostali dłuższą chwilę jakby gromem rażeni. Notariusz przeżegnał się i ukląkł. Prefekt głęboko wzruszony wymówił półgłosem:

— Biedny Verot! był to prawdziwie sumienny i obowiązkowy człowiek i można o nim śmiało powiedzieć, że padł na posterunku. Gdyby, zamiast tu czekać na mnie, poszedł był do infirmerii³, jak mu to sekretarz doradzał, może by go byli odratowali...

— Czy miał żonę? dzieci? — zapytał z niepokojem Perenna.

— Żonę i troje dzieci — odparł prefekt.

— Ja się ich losem zajmę, — zapewnił don Luis z prostotą.

Następnie, kiedy nareszcie wprowadzono doktora i Demalion zajął się przeniesieniem nieboszczyka do drugiego pokoju, Perenna rzekł doktorowi na stronie:

— Moim zdaniem nie ulega wątpliwości, że inspektor Verot został otruty. Niech pan spojrzy na przegub lewej ręki, a zauważy pan ślad ukłucia, otoczony obwódka mocno zaczerwienioną.

— Myśli pan więc, że to ukłucie spowodowało zatrucie organizmu? — zapytał doktor z zainteresowaniem.

— Ukłucie szpilką lub końcem stalówki, widocznie jednakże nie tak mocne, jak się tego spodziewano, gdyż śmierć nastąpiła dopiero po paru godzinach.

Po chwili obecni zaczęli się żegnać. Sekretarz ambasady amerykańskiej i attache peruwiański gorąco wieszowali Perennie jego intuicji, graniczącej z jasnowidzeniem. Następnie major d'Astrignac uściskał mu dłoń z serdeczną przyjaźnią. W końcu mecenas Lepertuis i don Luis Perenna zamierzali też opuścić gabinet prefekta, kiedy ten ostatni wszedł szybko do pokoju.

— Jest pan tu jeszcze, panie Perenna? To dobrze! Pomoże mi pan w wyjaśnieniu jednej kwestii jeszcze. Z owych kilku liter, napisanych przez Verota, udało się panu odczytać sylabę „Fau”?

— Tak jest, panie prefekcie. Niech się pan zresztą sam przekona. Czy nie tak? F, a, u, i F, dużą głoską pisane, jakby miało oznaczać początek nazwiska.

— Rzeczywiście... rzeczywiście... Otóż niech pan sobie wyobrazi, że ta sylaba jest właśnie początkiem... Zresztą przekonamy się o tym zaraz...

Drżącą ręką prefekt przerzucił korespondencję, przygotowaną na biurku przez sekretarza.

³ infirmeria — tu: szpital

— Oto jest! — wykrzyknął, chwytając list i kierując wzrok na podpis. — Ten sam początek nazwiska... Fauville i list, jakby w gorączce pisany, bez daty ani adresu... Niech pan posłucha:

„Panie Prefekcie!

Wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad moją i syna mego głową. Śmierć zbliża się wielkimi krokami. Nocy tej a najdalej jutro będę miał dowody zbrodniczego spisku, który nam zagraża. Potrzebując obrony, wzywam Pana na pomoc!

Proszę przyjąć itd.

Fauville”

— Nie ma nic więcej, żadnego nagłówka? — zapytał don Luis.

— Nie... Ale zeznania Verota zbyt dobrze się zgadzają z tym rozpaczliwym Wezwaniem o pomoc, żeby tu mogła zajść jaka pomyłka. To bez wątpienia Fauville z synem mają być zamordowani tej nocy. Ale co najstraszniejsze, że to nazwisko jest tak rozpowszechnione, że byłoby niemożliwym zawczasu ich odnaleźć.

— Ależ panie prefekcie, trzeba za wszelką cenę!...

— Oczywiście, za wszelką cenę!... Wszystkich moich ludzi użyję do tego. Niech pan jednak pomyśli, że nie mamy absolutnie żadnych wskazówek.

— Panie prefekcie, to byłoby przecież straszne! Niech pan pomyśli... te dwie istoty, które mają umrzeć!... Błagam pana, niech pan tę sprawę weźmie w swoje ręce, niech pan ją poprze swoim doświadczeniem i władzą.

Ledwo tych słów domówił, kiedy wszedł sekretarz osobisty prefekta z kartą wizytową w ręku.

— Panie prefekcie, ten pan tak nastaje, żeby go przyjąć, że nie śmiałem mu odmówić...

Prefekt chwyciwszy kartę krzyknął ze zdumienia i radości.

— Patrz pan! — zwrócił się do Perenny, który wyczytał następujące słowa:

Hipolit Fauville

Inżynier

14 bis, boulevard Suchet.

— Widocznie los sam powierza mi tę sprawę. Zresztą wypadki zdają się zwracać na naszą korzyść. Jeśli ten Fauville jest jednym ze spadkobierców rodziny Roussel, to zadanie nasze będzie ułatwione.

— Przypominam panu, panie prefekcie, że osobny paragraf testamentu zastrzega, iż takowy może być odczytany spadkobiercom dopiero po upływie czterdziestu ośmiu godzin. Pan Fauville nie powinien więc być o niczym przedwcześnie powiadomiony — upominał mecenas Lepertuis.

Nagle drzwi się otwarły i wpadł ktoś do pokoju, odtrącając woźnego.

— Inspektor... inspektor Verot nie żyje? Czy to prawda? Mówiono mi...

— Tak jest, nie żyje.

— Za późno! Przybywam za późno!...

I padł na krzesło, załamując ręce i szlochając:

— Nędznicy! Nędznicy!...

Jego łysa czaszka wznosiła się nad czołem pooranym zmarszczkami w głębokie bruzdy. Nerwowe drganie wykrzywiało mu dół twarzy. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, blady i schorowany. Łzy błyszczały mu w oczach.

— O kim pan mówi? — zapytał prefekt — jeżeli o tych, co zabili Verota, to może by mógł pan udzielić nam jakichś wskazówek.

— Nie, nie, to byłoby przedwcześnie... Moje dowody nie byłyby dostateczne...

Podniósł się tłumacząc:

— Niepotrzebnie panu czas zabierałem, panie prefekcie. Miałem jednak nadzieję, że Verot uniknie niebezpieczeństwa. Moje dowody, potwierdzone przez jego zeznania, miałyby o wiele większe znaczenie. Lecz może mu się udało uprzedzić pana?

— Nie, mówił wprawdzie coś o tej nocy...

Hipolit Fauville drgnął.

— O tej nocy.. nie, to nie może być! W tym się omylił... Najwcześniej jutro wieczorem... Wiem o tym dobrze. Musimy ich też chwycić w sidła... tych nikczemnych!...

Don Luis zbliżył się do niego i zapytał:

— Pańska matka nazywała się Ermelina Roussel, nieprawdaż?

— Tak jest, Ermelina Roussel, właśnie straciłem ją niedawno...

— I pochodziła z Saint-Etienne?

— Tak, lecz dlaczego pan o to pyta?

— Pan prefekt wytłumaczy to panu jutro... Jeszcze jedno pytanie.

Otworzył pudełeczko kartonowe, zostawione przez Verota.

— Czy ta tabliczka czekolady ma dla pana jakieś znaczenie? Ten odcisk zębów?...

— Co za nikczemność! — wykrzyknął inżynier zmienionym głosem. — Gdzie to inspektor mógł znaleźć?

Po tych słowach wstał zmieszany i skierował się ku wyjściu.

— Odchodzę, panie prefekcie... odchodzę. Jutro zaś panu opowiem... będę już miał wszelkie dowody... I nie odmówcie mi opieki... Jestem wprawdzie chory, lecz chcę żyć... i mam prawo żyć... i mój syn też! Ach, nędznicy... nędznicy...

Wybiegł, zataczając się jak pijany. Demalion zerwał się z miejsca mówiąc:

— Poślę zaraz kogoś dla zbadania otoczenia tego człowieka i strzeżenia go na każdym kroku. Zatelefonowałem już do dyrekcji policji i oczekuję kogoś zaufanego, komu to myślę powierzyć.

— Panie prefekcie — zawołał don Luis — proszę pana o pozwolenie zajęcia się tą sprawą pod pańskim kierunkiem. Testament Kosmy Morningtona wprost mi to nakazuje. Wrogowie Fauville'a są widocznie ogromnie przebiegli i śmiali, będę więc sobie uważał za honor być przy nim na stanowisku tej nocy.

Prefekt zawahał się. Nasunęła mu się pewna wątpliwość co do pobudek kierujących Perenną. Więcej niż komukolwiek powinno mu było zależeć na tym, żeby żaden spadkobierca rodziny Roussel nie został odnaleziony. W ciągu kilku sekund Demalion badał tę twarz energiczną i inteligentną, oczy myślące choć uśmiechnięte, poprzez które wprawdzie trudno byłoby dotrzeć do tajemniczej głębi tej zagadkowej osobistości, patrzące jednakże niezmiernie szlachetnie i szczerze. W końcu zawołał sekretarza.

— Czy przybył kto z dyrekcji policji?

— Tak, panie prefekcie, sierżant Mazeroux.

— Proszę go tu kazać wprowadzić. — Po czym zwrócił się do Perenny z wyjaśnieniem:

— Mazeroux jest jednym z naszych najlepszych agentów. Używałem go zawsze na równi z Verotem, ile razy trzeba było kogoś ruchliwego i sprytnego. Myślę, że się panu przyda.

Mazeroux wszedł do gabinetu. Był to mały człowieczek, suchy lecz silny, któremu wąsy obwisłe, ciężkie powieki, łzawe oczy i długie płaskie włosy nadawały dziwnie melancholijny wyraz.

Prefekt zwrócił się do niego ze słowami:

— Mazeroux, musisz już wiedzieć o śmierci Verota i okropnych okolicznościach tej śmierci. Musimy go pomścić, a zarazem nie dopuścić do dalszych zbrodni. W tym

celu oddaję cię pod rozkazy tego pana, który zna tę sprawę dokładnie i poinformuje cię o wszystkim. Jutro rano zaś przyjdiesz zdać mi sprawozdanie.

Perenna skłonił się Demalionowi.

— Dziękuję panu prefektowi i mam nadzieję, że nie pożałuje pan tego dowodu zaufania w moje zdolności.

Po czym pożegnawszy się z Demalionem i mecenasem Lepertuis wyszedł razem z Mazeroux.

Po drodze Perenna zaznajomił sierżanta ze wszystkimi szczegółami zbrodni i zaimponował mu mocno niezwykłą domyślnością, wykazaną w tym wypadku. Toteż Mazeroux nabrał bezgranicznej do niego ufności i gotów był bez zastrzeżeń stosować się do jego rozkazów. Zdecydowali obaj wstąpić najprzód do kawiarni „Pont-Neuf”, żeby tam przeprowadzić śledztwo. Dowiedzieli się tam, że Verot był częstym gościem kawiarni. Tego zaś ranka był rzeczywiście i pisał długi list. Chłopiec usługujący przypomniał zaś sobie wyraźnie, że sąsiad z drugiego stolika, który wszedł prawie równocześnie z Verotem, zażądał też papieru listowego i dwa razy upominał się o żółte koperty.

— Zgadza się to z pańskim twierdzeniem — rzekł Mazeroux do Perenny — list został widocznie zamieniony.

Zapytany o wygląd owego osobnika chłopiec dał rysopis dość charakterystyczny. Miał to być człowiek wysokiego wzrostu, trochę przygarbiony, z ciemną brodą w klin, z binoklami w szylkretowej oprawie na jedwabnym czarnym sznurku i miał laskę hebanową z rączką srebrną w formie głowy łabędzia.

Mieli już wyjść z kawiarni, kiedy Perenna zauważył, że ktoś ich śledził. Kazał zaczekać towarzyszowi, sam zaś oddalił się na chwilę. Wkrótce powrócił w towarzystwie wysokiego szczupłego pana z bokobrodami.

Don Luis przedstawił:

— Pan Mazeroux, mój przyjaciel, pañ Caceres, attache ambasady peruwiańskiej, który tylko co był obecny na zebraniu u prefekta. Panu Caceresowi było właśnie powierzone przez posła peruwiańskiego sprawdzenie mego pochodzenia i tożsamości. — I cóż, panie Caceres, szukał mnie pan, jak widzę? Ma pan do mnie interes?

Caceres nie odpowiedział, tylko spojrział w stronę sierżanta.

— Ależ niech się pan nie krępuje — uśmiechnął się Perenna. — Może pan śmiało mówić w obecności pana Mazeroux, który jest wtajemniczony w tę sprawę. Krótko mówiąc potrzebuje pan pieniędzy. Wiele?

Peruwiańczyk niespokojnym okiem spojrział raz jeszcze na towarzysza Perenny i po krótkim wahaniu rzekł stłumionym głosem:

—Pięćdziesiąt tysięcy franków!

— Do diabła! — wykrzyknął don Luis — a to dopiero apetyt! Jak się to panu podoba, panie Mazeroux? Pięćdziesiąt tysięcy to przecież ładny grosz! Kochany panie Caceres, przypomnijmy sobie w paru słowach jak to było. Przed kilku laty, kiedy miałem honor poznać pana w Algierze, gdzie pan bawił w przejeździe, zrozumiałwszy przy tym, z kim mam do czynienia, zapytałem, czy nie mógłby mi pan w ciągu trzech lat wyrobić papiery na imię jakiegoś hiszpańskiego Peruwiańczyka, zaopatrzonego w autentycznych i szacownych przodków. Na propozycję moją zgodził się pan, żądając za tę drobną usługę dwadzieścia tysięcy franków. Kiedy przed tygodniem prefekt policji zażądał moich dokumentów, udałem się do pana i dowiedziałem się, że panu powierzono sprawdzenie mojego pochodzenia i że wszystko zresztą jest gotowe. Za pomocą papierów nieboszczyka Perenny, hiszpańsko-peruwiańskiego szlachcica, stworzył mi pan stan cywilny bez zarzutu. Ułożywszy się więc co do naszego obopólnego stanowiska wobec prefekta, zapłaciłem umówioną sumę i uważałem, że pomiędzy nami wszystko skończone. Nie rozumiem więc, czego pan chce jeszcze?

Peruviańczyk już bez najmniejszego zażenowania oparł się obu łokciami o stół i odrzekł spokojnie:

— Układając się z panem swego czasu myślałem, że mam do czynienia z; kimś, kto dla jakichś osobistych względów ukrywa się pod mundurem legionisty i pragnie zapewnić sobie na przyszłość powrót do uczciwej egzystencji. Dziś zaś idzie tu o spadkobiercę Kosmy Morningtona, dziedziczącego jutro i to pod fałszywym nazwiskiem milion franków, a za parę miesięcy może i dwieście milionów. Przyzna pan, że to najzupełniej zmienia postać rzeczy.

Argument ten zrobił na Perennie wrażenie. Zapytał jednak:

— A gdybym odmówił?

— Gdyby pan odmówił, tobym zaraz uprzedził notariusza i prefekta, że się pomyliłem, przeprowadzając badania co do pańskiej osoby. W następstwie czego nie tylko pan nie otrzyma nic, lecz prawdopodobnie zamkną pana w dodatku.

— Chyba razem z panem, panie kochany.

— Jak to ze mną?

— Ano za sfalszowanie dokumentów. Domyśla się pan przecie, że to wyjdzie na jaw.

Peruviańczyk nie odpowiedział i spuścił nos na kwintę.

Don Luis zaśmiał się. Wyjął z kieszeni książkę czekową i rzekł:

— Panie Caceres, oto czek na dwadzieścia tysięcy, który ofiarowuje panu spadkobierca Morningtona. Schowaj go pan do kieszeni i bierz nogi za pas, żebym się nie rozmyślił.

Było to powiedziane takim tonem, że Peruviańczyk usłuchał rady, wziął czek dziękując uprzejmie i wyszedł szybko nie oglądając się.

— Kanalia! — powiedział don Luis, patrząc za od-chodzącym. — Jak ci się to podoba, Mazeroux?

Sierżant patrzył na niego z osłupieniem, a w końcu wyjąkał:

— Panie, co to wszystko znaczy?

— O co pan pyta, panie sierżancie?

— Kim pan jest?

— Cóż to, nie słyszał pan? Szlachetnym Peruviańczykiem, czy też Hiszpanem... byłem legionistą...

— Błaga!... byłem przecież obecny...

— Jestem don Luis Perenna, odznaczony za waleczność i wyjątkowe zasługi!

— Dość tych kpin, mój panie, i wzywam pana do stawienia się zaraz wraz ze mną przed prefektem.

— Dajże mi dokończyć, do diabła!... A więc byłem legionista... byłem premier... byłem więzień... byłem księżę rosyjski... byłem dyrektor policji... byłem...

— Zwariował pan? — wykrzyknął sierżant. — Cóż to za brednie?

— Jak to brednie? to najprawdziwsze zdarzenia... Najautentyczniejsza historia. Jeśli chcesz, mogę ci jeszcze kilka tytułów wyliczyć. Byłem baronem, hrabią, księciem, arcyksięciem, wielkim księciem... I gdyby mi kto powiedział, że byłem królem, nie śmiałybym mu zaprzeczyć!

Sierżant Mazeroux chwycił w swoje mocne dłonie delikatne na pozór ręce Perenny.

— Bez hałasu tylko! Nie wiem, kim pan jesteś, ale cię nie wypuszczę. Rozmówimy się w policji.

— Nie tak głośno, Aleksandrze!

Uwalniając swoje ręce z niezwykle łatwością z silnego uścisku przeciwnika zaśmiał się szyderczo:

— Cóż to, nie poznajesz mnie, bałwanie?

Mazeroux zamilkł i oczy wytrzeszczył jeszcze bardziej. Widać było, że zgłupiał do reszty. Dźwięk głosu, te oczy kpiące, i w końcu to przezwisko „Aleksander”, którym nazywał go tylko ktoś jeden, przed laty... W końcu wyjąkał:

— Szef... Czyżby szef?...

— Czemu nie?

— Przecież szef umarł!

— Cóż z tego? Myślisz, że mi to przeszkadza żyć?

I kiedy sierżant stał coraz bardziej zmieszany. Perenna położył mu rękę na ramieniu, pytając:

— Kto cię umieścił w dyrekcji policji?

— Dyrektor policji Lenormand.

— A kto to był pan Lenormand?

— To był szef.

— Czyli Arsen Lupin, nieprawdaż? Zrozum więc, Aleksandrze, że trudniej było dla Arsena Lupina być dyrektorem policji niż don Luisem Perenną, bohaterskim legionistą, trudniej nawet niżli żyć będąc umarłym.

Mazeroux patrzył w milczeniu na towarzysza. Po chwili oczy mu zabłysły, twarz się ożywiła. Nagle uderzył pięścią w stół i wycedził z wściekłością:

— A więc dobrze! Uprzedzam pana jednak, że nie może pan na mnie liczyć.

Jestem na służbie społecznej i nie opuszczę jej. Zakosztowałem uczciwego chleba i nie chcę innego więcej.

Perenna wzruszył ramionami.

— Głupi jesteś, Aleksandrze. Twój uczciwy chleb źle ci na umysł działa. Któż ci mówi o jakichkolwiek zmianach?

— Jednakże te pańskie krętactwa...

— Jakie krętactwa? Przecież ja dwie godziny temu o niczym nie wiedziałem. To sam Pan Bóg uczynił mnie spadkobiercą Morningtona. Żeby mu się więc nie sprzeciwiać, muszę...

— Cóż więc dalej?

— Ano, zadaniem moim jest pomścić śmierć Kosmy Morningtona, odnaleźć jego spadkobierców i rozdzielić pomiędzy nich dwieście milionów. Oto wszystko. Czyż to nie jest zadanie uczciwego człowieka?

— Tak, ale...

— Myślisz, że mógłbym to zadanie nieuczciwie wypełnić?

— Szefie!...

— A więc słuchaj, gdybyś zauważył w moich czynnościach cokolwiek, co by ci się wydało podejrzanym, pozwalam ci... więcej... rozkazuję ci: Bierz mnie za kołnierz i prowadź do kozy. Wystarczy ci to?

— Mnie by wystarczyło, ale gdyby tak pana kto wydał?

— Któż mnie może wydać?

— No, któryś z dawnych towarzyszy.

— Nikogo z nich tu nie ma.

— Cóż się z nimi stało?

— To moja tajemnica. Wszystkich z Francji wyprawilem. Ciebie tylko umieściłem w policji, żeby cię mieć w razie potrzeby pod ręką. Jak widzisz, dobrze się stało.

— A jeśli odkryją, kim pan jest?

— No to co?

— Zaaresztują pana.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Dla racji niezmiernie ważnej, o której tylko co sam wspomniałeś: przecież ja umarłem...

Argument ten zrobił na Mazeroux piorunujące wrażenie. W jednej chwili pojął jego znaczenie równie silne, jak pocieszne. I nagle ryknął wielkim śmiechem, który go skręcił wprost we dwoje i trząsł nim bez końca, wykrzywiając mu śmiesznie twarz zwykle melancholijną.

— Ha... ha... ha!... Boże, jakie to zabawne! Umarł i pogrzebany... ha... ha... ha!... niechże go teraz aresztują!... Dawnom się tak nie uśmieiał!

Inżynier Hipolit Fauville mieszkał na bulwarze Suchet wzdłuż fortyfikacji, w dość obszernej willi z ogródkiem, składającym się z kilku drzew zaledwie i wąskiego rabatu gazonu poniżej sztachet przybranych bluszczem i przeciętych furtką.

Don Luis Perenna udał się wraz z Mazeroux do komisariatu w Passy, gdzie Mazeroux według jego wskazówek poprosił, żeby willa inżyniera Fauville'a była strzeżona w ciągu całej nocy przez dwóch agentów, mających nakaz aresztowania każdej podejrzanej osoby, próbującej wejść do willi.

Komisarz obiecał swą pomoc. Po czym Perenna z sierżantem udali się na obiad do pobliskiej restauracji. O godzinie dziewiątej byli obaj przed głównym wejściem willi.

— Aleksandrze — zapytał Perenna — nie boisz się?

— Czego się mam obawiać, szefie?

— Jak to, nie rozumiesz? Broniąc inżyniera Fauville'a i jego syna od śmierci narażamy się komuś, komu widocznie na tej śmierci bardzo zależy i kto nie omieszka dołożyć wszelkich starań, żeby nas z drogi usunąć. Cóż, nie boisz się?

— No, może kiedyś i zapoznam się z tym uczuciem. Pewien jednak jestem, że nie nastąpi to dopóty, dopóki będę u pańskiego boku.

I zadzwonił. Drzwi się otwarły i ukazał się w nich służący, któremu Mazeroux wręczył swoją kartę.

Hipolit Fauville przyjął ich obu w swojej pracowni. Stół zavalony był papierami i książkami. Na bocznych pulpitych i półkach widać było rysunki i stalowe modele aparatów, budowanych lub nawet wynalezionych przez inżyniera Fauville'a. Pod ścianą stała wielka rozłożysta otomana. Naprzeciw były kręcone schodki, prowadzące do galerii na górze. Pośrodku sufitu wisiał kilkuramienny pajak elektryczny. Na ścianie umieszczony był telefon.

Mazeroux zaraz po wylegitymowaniu się zaprezentował Perennę jako delegowanego również przez prefekta policji i przedstawił w krótkości cel ich przybycia. Demalion był mocno zaniepokojony poważnymi danymi, które zostały mu doniesione i prosił Fauville'a, żeby nie czekając widzenia się z nim nazajutrz zechciał przedsięwziąć wszelkie ostrożności, które mu doradzać będą jego agenci.

Fauville robił z początku wrażenie niezadowolonego.

— Wszelkie ostrożności są już zachowane i obawiam się nawet, żeby wasza interwencja, moi panowie, nie była tu prędeż szkodliwa. Może bowiem wzbudzić uwagę moich nieprzyjaciół i przeszkodzić mi w zebraniu dowodów, które mi są potrzebne dla zgnębienia ich.

— Czy może nam pan to bliżej wytłumaczyć?

— Nie, nie mogę. Jutro, dopiero jutro rano... Nie wcześniej.

— A jeśli będzie za późno?

— Za późno, jutro?

— Inspektor Verot uprzedzał sekretarza, że podwójne zabójstwo przygotowane jest nieodwołalnie na tę noc.

— Na tę noc! — wykrzyknął z irytacją Fauville. — A ja wam mówię, że to niemożliwe. Jestem tego pewien, gdyż wiadome mi są rzeczy, których wy nie wiecie.

— A jeśli Verot widział rzeczy, których pan nie wie? Może on lepiej zbadał tajemnice pańskich wrogów? Dowodem czego było to, że go się obawiano, szpiegowano, i że w końcu życiem to przypłacił.

Fauville stracił trochę pewności siebie. Perenna skorzystał z tego, żeby na nim wymóc zezwolenie strzeżenia go w ciągu nocy.

— Kto mieszka z panem w tej willi? — zapytał don Luis.

— Pierwsze piętro zajmuje moja żona.

— Pani Fauville nie grozi jednak niebezpieczeństwo?

— Najmniejsze. Zagrożeni jesteśmy tylko mój syn i ja. Toteż od kilku dni nie nocuję w sypialni, lecz wolę tu się zamykać pod pozorem pracy, która mnie zatrzymuje często do późnej nocy i w której dopomaga mi mój syn Edmund.

— Czy on też tu nocuje?

— Nad nami w pokoiku, do którego jedyne wejście prowadzi tymi schodami.

— Czy znajduje się tam obecnie?

— Tak jest, udał się już na spoczynek.

— W jakim wieku jest syn pański?

— Szesnaście lat.

— Ale jeśli pan się obawia spać w sypialni, widocznie oczekuje pan jakiegoś napadu. Skąd więc? Czy ma pan wrogów w tej willi? Czy obawia się pan kogo z zewnątrz? A w takim razie którędy by się mógł tu dostać? W tym cała kwestia.

— Jutro... jutro wam to wytłumaczę — odparł Fauville z uporem.

— Ale dlaczego nie dziś?

— Bo potrzebuję dowodów... jak to wam już mówiłem. Bo sam fakt mówienia o tym może mieć najgorsze następstwa... i że się boję... tak, boję się.

I rzeczywiście drżał cały i wydawał się tak nędznym i wystraszonym, że Perenna dał mu spokój. W tej chwili służący zapukał do drzwi i wszedł oznajmiając, że pani chce się z panem widzieć przed wyjazdem. Po czym weszła pani Fauville.

Skłoniła się uprzejmie Perennie i Mazeroux. Była to kobieta trzydziesto- lub trzydziestopięcioletnia, ładna, o miłym i wesołym uśmiechu, o oczach szafirowych i falujących włosach. Miała na sobie pod płaszczem jedwabnym toaletę balową, odkrywającą jej śliczne ramiona.

Mąż spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Wychodzisz? .

— Tak, mówiłam ci przecież, że państwo Quverard ofiarowali mi miejsce w swej łoży w operze. Sam zaś prosiłeś mnie, żebym na chwilkę wstąpiła na wieczór do pani Ersinger.

— Ach, prawda — odrzekł — tak jestem zapracowany, że zapomniałem o tym.

Ona tymczasem zapinała rękawiczki, mówiąc:

— Czy nie przyjdiesz po mnie do pani Ersinger?

— Po co?

— Zrobiłbyś im przyjemność.

— Ale nie sobie. Zresztą zdrowie mi na to nie pozwala.

— No to cię wytłumaczę.

Ładnym gestem zapięła płaszcz i stała tak chwilę, szukając jakby słowa pożegnania. Po czym spytała jeszcze:

— A gdzie jest Edmund? Myślałam, że z tobą pracuje.

— Już śpi. Zmęczony był.

— Chciałabym go uścisnąć.

— Dajże spokój, obudziłabyś go. Samochód czeka już na ciebie, jedź więc moja droga i baw się dobrze.

— Och, bawić się!... odrzekła — będę chyba o tyle, o ile można się bawić na takich zebraniach.

— Zawsze, to lepiej, niż siedzieć w swoim pokoju.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Czuć było, że to jedno z tych źle dobranych małżeństw, gdzie mąż słabego zdrowia i nie cierpiący zabaw światowych zamyka się u siebie, podczas gdy żona szuka rozrywek, należnych jej wiekowi i usposobieniu.

Pani Fauville pochyliła się nad mężem i pocałowała go w czoło. Po czym raz jeszcze skłoniła się obu gościom. W chwilę potem słychać było pomruk motoru oddalającego się samochodu.

Hipolit Fauville powstał i zadzwonił, mówiąc:

— Nikt w domu nie domyśla się grożącego mi niebezpieczeństwa. Nie zwierzyłem się z tym nikomu, nawet Sylwestrowi, który służy już u mnie od lat wielu i jest człowiekiem rzadkiej uczciwości.

Po czym zwrócił się do wchodzącego kamerdynera:

— Przygotuj mi wszystko na noc, Sylwestrze. Chciałbym się już położyć.

Sylwester otworzył górną część otomany, która się tym sposobem zamieniła w wygodne łóżko. Rozłożył pościel i kołdry. Potem przyniósł karafkę z wodą i szklanek, talerz z suchymi ciastkami i koszyk z owocami. Fauville schrupał kilka ciastek, następnie rozciął jabłko, lecz było niedojrzałe, wziął więc dwa inne, ale przekonawszy się, że są też jeszcze twarde, włożył je z powrotem do koszyka i wybrał gruszkę, którą też obrał i zjadł.

— Zostaw te owoce — zwrócił się do służącego. — Chciałbym je mieć pod ręką w razie gdybym był głodny w nocy. Ale zapomniałem ci powiedzieć, że ci panowie zostają tu na noc. Nie mów jednak o tym nikomu. Jutro zaś nie przychodź, póki sam nie zadzwonię.

Wszystkie te najdrobniejsze szczegóły wrażały się w pamięć Perennie tak, że je miał w następstwie jakby zarejestrowane w mózgu z mechaniczną akuracnością. Między innymi zauważył, że w koszyku pozostały trzy gruszki i cztery jabłka.

Tymczasem Fauville wszedł na schody i galerię i skierował się do pokoju syna.

— Śpi snem sprawiedliwego — rzekł do Perenny, który poszedł za nim.

Pokój był mały. Powietrze wchodziło za pomocą jakiegoś wentylatora specjalnej konstrukcji. Jedyne bowiem okienko zasłonięte było szczelnie okiennicą, zabita na stałe gwoździami.

— Jest to ostrożność, którą musiałem zachować jeszcze w zeszłym roku, gdyż w tym pokoju właśnie robiłem moje doświadczenia z elektrycznością i bałem się, żeby mnie nie wysłędzono. Zamknąłem więc to okno, które wychodzi na dach. Od dawna mnie już szpiegują — dodał z cicha.

Zszedłszy na dół Fauville spojrzął na zegarek.

— Kwadrans na jedenastą... Pora już spać. Wybacz panowie, lecz jestem bardzo zmęczony...

Zostało postanowione, że Perenna i Mazeroux spędzą noc w dwóch fotelach, które umieścili w korytarzyku, oddzielającym gabinet inżyniera od przedpokoju. Zanim się jednak rozstali, Fauville, który choć silnie zdenerwowany, panował jednak nad sobą, osłabł nagle, wydając słaby okrzyk. Don Luis spojrzął na niego i zauważył, że mu się pot leje jak woda z czoła po twarzy i szyi i że drży cały jak w febrze.

— Co panu jest? — zapytał.

— Boję się... boję... — wyszeptał.

— Czegóż się pan obawia, kiedy my tu obaj jesteśmy! Moglibyśmy noc spędzić przy pańskim łóżku, gdyby pan wolał.

Inżynier z twarzą wykrzywioną strachem wybełkotał:

— Gdyby was tu dziesięciu... dwudziestu było, czy myślicie, że to by im w czymkolwiek przeszkodziło!... Dla nich nie ma nic niemożliwego! Verota już zabili, a teraz zabijają mnie i syna mego... Nędznicy... zbrodniarze... Boże mój, zmiłuj się nade mną!

Padł na kolana i bijąc się w piersi powtarzał:

— Boże, ulituj się nade mną... Ja nie chcę umierać... Nie chcę, żeby syn mój umarł... Zmiłuj się nad nami, błagam Cię!...

Zerwał się na równe nogi i zaprowadził Perennę do oszklonej szafki, która otwierając się odkryła w głębi małą kasę żelazną, wmurowaną w ścianę.

— Cała historia żyda mego jest tu, spisywana dzień po dniu od lat trzech. Gdyby mnie spotkało nieszczęście, zemsta byłaby łatwa do wykonania.

Pospiesznie pokręcił litery zamka i wyjąwszy klucz z kieszeni otworzył nim kasę. W środku były pustki, tylko w jednym przedziale wśród papierów leżał szary płócienny zeszyt.

Fauville chwycił zeszyt mówiąc:

— Oto tu znajduje się wszystko. Za pomocą tych notatek łatwo będzie odtworzyć całą historię... Moje podejrzenia najprzód, a następnie pewność... dowody... dostateczne, żeby ich wziąć w sidła... żeby ich zgubić! Niech pan pamięta: Szary zeszyt w kasie...

Powoli uspokoił się. Zamknął schowek, poukładał papiery na stole, zapalił lampkę nad otomaną służącą mu za łóżko, zgasił pająk elektryczny i poprosił Perennę i Mazeroux, żeby go zostawili samego.

Don Luis obchodził właśnie pokój i badał okiennice żelazne, chroniące oba okna, przy czym zauważył drugie drzwi naprzeciw głównego wejścia. Zapytał więc o nie inżyniera.

— To są drzwi, które wychodzą na ogródek i których używam często dla moich zwykłych interesantów. Sam nimi też wychodzę czasem.

— Czy dobrze są zamknięte?

— Może się pan przekonać. Zamknięte są na klucz i zaryglowane. Oba zaś klucze wraz z kluczem od furtki ogrodowej są przy mnie.

Fauville położył na stole pęk kluczy i portfel oraz zegarek, który poprzednio nakręcił. Perenna wzięła klucze i otworzyła drzwi. Trzy schodki prowadziły do ogrodu. Obszedł go więc wokoło i poprzez bluszcz okrywający sztachety zauważył dwóch policjantów przechadzających się po bulwarze. Sprawdził jeszcze zamek furtki, po czym wrócił do pokoju mówiąc:

— Wszystko w porządku. Może pan spać spokojnie. Do jutra więc...

Pomiędzy gabinetem Fauville'a a korytarzem znajdowały się podwójne drzwi, z których wewnętrzne były obite materacami. Z drugiej strony korytarz był oddzielony od przedpokoju ciężką kotarą.

— Możesz spać — rzekł Perenna do Mazeroux — ja będę czuwać.

— Ależ pan chyba nie przypuszcza, żeby jakiś napad był możliwy?

— Prawdopodobnie nie, dzięki przedsięwziętym ostrożnościom. Nie trzeba jednak zapominać o przestrożach Verota.

— Niechże mnie pan obudzi, jak będzie moja kolej czuwania.

Nieruchomi siedzieli jeden obok drugiego, zamieniając jeszcze słów parę od czasu do czasu. Po czym Mazeroux zasnął. Don Luis siedział cicho, nasłuchując. Willa cała zdawała się być pogrążoną we śnie. W oddali słychać było przejeżdżające samochody lub dorożki. Słychać było też ostatnie pociągi na linii Auteuil.

Don Luis wstawał parę razy i słuchał pode drzwiami. Żaden odgłos jednak nie dochodził do jego uszu. Hipolit Fauville najwidoczniej musiał spać spokojnie.

Około drugiej w nocy samochód zatrzymał się przed willą. Służący, oczekujący widocznie powrotu pani domu, pośpieszył drzwi otworzyć. Perenna zgasił elektryczność w korytarzyku i usunąwszy z lekka kotarę ujrzał panią Fauville, a za nią idącego Sylwestra.

Poszli na górę. Klatka schodowa pogrążyła się znowu w ciemnościach. Dłuższą chwilę jeszcze słyhać było ruch i szmer głosów na piętrze. Po czym zapanowała głucha cisza.

I w ciszy tej Perenna zaczął odczuwać coraz silniej nurtujący go niepokój. Dlaczego? Nie potrafiłby tego wytłumaczyć. Lecz było to tak silne, że nie mogąc się opanować, wyszeptał:

— Pójdę zobaczyć, czy śpi. Drzwi nie powinny być zamknięte na klucz.

Rzeczywiście otworzył je bez trudności i z lampką elektryczną w ręku zbliżył się do łóżka. Hipolit Fauville spał odwrócony do ściany. Perenna uspokojony wrócił na miejsce i potrząsnął z lekka sierzantem:

— Kolej na ciebie, Aleksandrze!

— Nic nowego, szefie? .

— Nic. Śpi spokojnie.

— Jakże pan o tym wie?

— Chodziłem przekonać się.

— To dziwne, że nic nie słyszałem. Prawda, że spałem jak bydlę.

Poszli z Perenną do pokoju śpiącego.

— Siedźże tu więc spokojnie i nie obudź go — rzekł mu don Luis. — Ja też się zdrzemnę na chwilę.

W ciągu nocy zmienili się raz jeszcze. Lecz nawet drzemiąc Perenna zachowywał świadomość tego, co go otaczało. Liczył uderzenia zegara, bijącego godziny w pobliskim salonie. Na zewnątrz zaczęło się wszystko jakby budzić do życia. Zaturkotały wózki z mlekiem. Rozległ się świst pierwszych pociągów. Willa też jakby ożyła. Rozpoczął się ruch wokoło. Dzień świtać zaczął poprzez szpary okiennic i w pokoju robiło się coraz jaśniej.

— Chodźmy stąd — rzekł Mazeroux — lepiej żeby nas tu nikt nie zastał.

— Cicho — szepnął don Luis dając mu znak ręką. — Obudzisz go.

— Widzi pan przecie, że się nie budzi — odparł Mazeroux nie zniżając głosu.

Don Luis spojrział w stronę śpiącego i ogarnął go znów niezrozumiały niepokój. Niepokój, którego przyczyny nie chciał sam sobie wyznaczyć.

— Co panu jest, szefie? — zapytał go Mazeroux, widząc jego wzruszenie.

— Nic... to jest... boję się!

Mazeroux drgnął.

— Boi się pan, czego? I mówi pan to tak, jak on to wczoraj mówił?...

— Tak... i boję się też z tej samej przyczyny.

— Ależ dlaczego?

— Czyż nie rozumiesz?... Nie rozumiesz, że się obawiam, że on może umarł?...

— Czy pan oszalał?

— Nie... ale mam wrażenie śmierci...

Z lampką elektryczną w ręku stał naprzeciw łóżka nieruchomo. I on, który się niczego nie obawiał w świetle, nie śmiał teraz spokojnie spojrzeć w twarz Hipolitowi Fauville'owi. Straszliwe milczenie zapanowało w pokoju.

— Szefie, on się naprawdę nie rusza!

— Tak. I teraz dopiero spostrzegam, że on się nie poruszył w ciągu całej nocy. I to mnie przeraża...

Wielkim wysiłkiem woli opanował się. Zbliżył się do łóżka i pochylił nad śpiącym. Oddechu słycać nie było. Wziął jego rękę... Była martwa. W jednej chwili Perenna odzyskał zimną krew.

— Okno! Otworzyć okno! — krzyknął.

I kiedy światło dzienne zalało pokój, ujrzeli twarz inżyniera Fauville'a nabrzmiałą i pokrytą brunatnymi plamami.

Parę minut stali osłupiali z przerażenia i bezradni przed tą tajemnicą niezbadaną. W tym myśl jakaś nagle zabłysła w głowie Perenny. W kilku skokach wbiegł na schody i wpadł do pokoiku na górze.

Edmund Fauville, syn Hipolita Fauville'a leżał na swoim łóżku... także martwy.

W ciągu swego już dość długiego i bardzo awanturniczego życia nigdy może Perenna nie doznał tak silnego wstrząśnienia. Ogarnęło go jakby znużenie fizyczne i niemoc wykonania najmniejszego ruchu, wypowiedzenia choćby słowa. Ojciec i syn nie żyli! Zamordowano ich w ciągu tej nocy, pomimo wszelkich środków ostrożności. Zginęli tak, jak inspektor Verot i Amerykanin Kosma Mornington, otruci jakimś diabelskim ukłuciem.

— Do pioruna! — wykrzyknął Mazeroux — warto było sobie tyle trudu zadawać, żeby tych biedaków ratować z takim skutkiem!

W głosie jego czuć było wymówkę. Perenna pochwycił to i przyznał:

— Masz rację Mazeroux, nie byłem na wysokości zadania.

— Ani ja, szefie.

— Prawda, żeśmy znali tę sprawę dopiero od wczoraj, a oni przygotowują to już od tygodni... Pomyśleć jednak, że zamordowano ich, pomimo że ja tu byłem!... ja Lupin... Stało się to w moich oczach... a ja nic nie widziałem... Czy to może być?

Odkrył ramiona chłopaka i wskazując na ślad ukłucia powyżej łokcia rzekł:

— Ten sam ślad... który naturalnie i u ojca odnajdziemy. Biedne dziecko! Niezbyt silne, ale twarz ma ładną... Nieszczęsna matka!...

Sierżant płakał wprost ze wzruszenia i wściekłości.

— Pomścimy ich! Nieprawdaż, Mazeroux?

— Tak mi dopomóż Bóg! Przysięgam, że spokoju nie zaznam, póki ich nie pomścimy.

— Masz rację, poprzysięgniemy sobie, że nie przestaniemy walczyć, dopóki zabójcy Hipolita' Fauville'a i jego syna nie zostaną ukarani tak, jak na to zasługują.

— Przysięgam na zbawienie!

— Dobrze — rzekł Perenna. — Teraz bierzmy się do roboty. Zatelefonuj zaraz do prefektury policji. Demalion bardzo się tą sprawą interesuje.

— A jeśli tu nadejdzie służba? lub pani Fauville?

— Nikt tu nie nadejdzie zanim drzwi nie otworzymy. A my je otworzymy dopiero prefektowi policji. On też podejmie się oznajmienia pani Fauville, że jest wdową i że straciła syna.

— Zaraz szefie, nie zapominajmy jednak o bardzo ważnym szczególe, który może nam oddać ogromne usługi.

— Co takiego?

— Szary zeszyt, w którym Fauville spisał wszystkie swoje podejrzenia i dowody.

— Ależ oczywiście, masz rację. Przyjdzie nam to tym łatwiej, że Fauville wczoraj nie przekręcił liter sekretnego zamku, klucze zaś leżą na stole.

Zeszli prędko na dół. Mazeroux wziął pęk kluczy ze stołu, mówiąc:

— Pozwoli pan, ale według prawa ja powinienem otworzyć kasę.

Odsunął oszkloną szafkę i drżącą ze wzruszenia ręką włożył klucz do zamku. Don Luis z niepokojem śledził jego ruchy. Jeszcze chwila, a wyjaśniona zostanie nareszcie cała tajemnica! Nieszczęsna ofiara wyda im swoich katów!

Mazeroux zagłębił obie ręce w masie papierów, leżących na żelaznej przegródce.

— No i cóż, Mazeroux, daj mi go tu prędeż.

— Co mam panu dać?

— Zeszyt szary.

— Nie mogę, szefie.

— Dlaczego?

— Bo go tu nie ma.

Don Luis zaklął z cicha. Zeszyt, który inżynier Fauville przy nich do kasy włożył... znikł bez śladu.

— Widocznie ktoś musiał wiedzieć o tym zeszycie — rzekł Mazeroux zgnębiony.

— Oczywiście. Musimy się też przygotować na niejedną niespodziankę tego rodzaju. Toteż nie mamy czasu do stracenia. Trzeba zatelefonować zaraz do prefekta.

Mazeroux usłuchał rozkazu. Demalion kazał odpowiedzieć, że niebawem przyjdzie do telefonu.

Perenna, który od kilku, minut chodził po pokoju, badając wszystkie otaczające go przedmioty, usiadł opodal sierżanta. Skłopotany był i zamyślony głęboko. Wtem spojrzawszy na koszyk owoców wyszeptał:

— Fauville zjadł widocznie jedno jabłko, gdyż pozostały w koszyku tylko trzy.

— To dziwne — odparł Mazeroux — gdyż twierdził wczoraj, że są niedojrzałe.

Perenna siedział znów długą chwilę w milczeniu, oparty o stół i pogrążony w zadumie. W końcu wyrzekł:

— Zbrodnia popełniona została przed naszym wejściem do pokoju. Dokładnie mówiąc o wpół do pierwszej.

— Z czego pan o tym sądzi?

— Morderca czy też mordercy pana Fauville'a, poruszając przedmioty na stole, stracili zegarek na ziemię. Potem położyli go z powrotem na miejsce, ale wskutek uderzenia zegarek stanął, wskazując pół do pierwszej.

— A więc gdyśmy się tu zainstalowali o drugiej, tośmy już dwa trupy pilnowali? Jednego tu, a drugiego na górze?

— Tak.

— Lecz którądy oni tu weszli?

— Przez te drzwi, które prowadzą do ogródka i przez furtkę, wychodzącą na bulwar Suchet.

— Musieli mieć chyba fałszywe klucze, gdyż drzwi były szczelnie zamknięte.

— Bez wątplenia.

— A policjanci, którzy domu z zewnątrz pilnowali?

— Pilnują go tak samo dotychczas, spacerując od latarni do latarni i nie domyślając się, że poza ich plecami może się ktoś wkraść do ogrodu.

Mazeroux był oszołomiony śmiałością i zręcznością zbrodniarzy. W tej chwili zadzwonił telefon. Don Luis zostawił sierżanta przy telefonie, sam zaś wziął klucze i wyszedł do ogrodu w nadziei, iż uda mu się odkryć jakiś ślad, który by mu dopomógł w poszukiwaniach.

Poprzez sztachety ujrzał dwóch policjantów, chodzących po bulwarze. Oni go nie widzieli i robili wrażenie kompletnie obojętnych na wszystko, co ich otaczało.

— W tym był mój błąd — rzekł do siebie Perenna. — Nie powierza się takiej misji ludziom, którzy nie rozumieją jej wagi.

W ogrodzie odnalazł ślady obuwnia na ścieżce, ale nie dość wyraźne, żeby móc określić ich formę, dość silne jednak, żeby potwierdzić przypuszczenie, że zbrodniarze tą drogą dostali się do domu.

Nagle Luis drgnął radośnie. Wzdłuż alei wśród liści rododendronu ujrzał coś czerwonego, co zwróciło jego uwagę. Pochylił się. Było to jabłko, owo czwarte jabłko, które znikło z kosza.

— Doskonale.— rzekł Perenna. — Widocznie to nie Fauville zjadł jabłko, lecz jeden z nich wziął je z sobą, przy czym wypadło mu i naturalnie nie miał czasu szukać go w ciemnościach.

Wziął jabłko do ręki i przypatrywał mu się uważnie. Wtem krzyknął ze zdumienia, nie wierząc własnym oczom. Na jabłku były ślady zębów!

— Czyż to może być, żeby ktoś z nich popełnił taką nieostrożność?

Gubił się w domysłach szukając wyjaśnienia tego niepojętego faktu i wpatrując się w owoc, na którego czerwonej skórce odcinały się wyraźnie dwa rzędy zębów, zagłębiających się w miękisz dwoma regularnymi półksiężycami.

— Zęby tygrysa! — szepnął Perenna. — Te same, które się już odznaczyły na tabliczce czekolady Verota! Trudno przecież przypuszczać, żeby to był zwykły zbieg okoliczności... Nie, to ten sam ślad, te same zęby...

Namyślał się chwilę, czy ten dowód zachować dla siebie dla swego prywatnego śledztwa, które miał zamiar na własną rękę prowadzić, czy też oddać go policji? Lecz jabłko to przejmowało go takim wstrętem, takim fizycznym obrzydzeniem, że je po namyśle odrzucił.

— Zęby tygrysa! — powtarzał z cicha. — Krwiożercze zęby!

Wrócił do pokoju, zamknął i zaryglował drzwi za sobą i położywszy pęk kluczy na stole zapytał Mazeroux:

— Mówiłeś z prefektem policji?

— Mówiłem.

— Przybędzie wkrótce?

— Tak jest.

— Nie kazał ci telefonować do komisariatu?

— Nie.

— Widocznie chce się osobiście o wszystkim przekonać. Tym lepiej. A któż uprzedzi dyrekcję policji i sąd?

— Prefekt już ich uprzedził.

— Co ci się stało, Aleksandrze? Patrzysz na mnie spode łba i ledwo odpowiadasz. Co ci jest?

— Nic.

— Chyba ci ta historia w głowie przewróciła? Nic w tym zresztą dziwnego... I prefekt będzie zły... Tym bardziej, że zaufał mi trochę lekkomyślnie, a teraz będzie się musiał tłumaczyć z mojej tu obecności... Ale wiesz co? Byłoby lepiej, żebyś wziął na siebie całą odpowiedzialność. Mów jak najwięcej o twojej działalności, a mnie pozostaw w cieniu. Szczególnie zaś nie radzę ci przyznawać się, żeś spał tej nocy choćby chwilę, boby się to przeciw tobie zwróciło. A teraz myślę, że możemy się rozstać. Gdyby mnie prefekt potrzebował, to niech do mnie telefonuje do mego mieszkania na placu Palais-Bourbon. Do widzenia, kolego!

I zwrócił się ku drzwiom korytarza.

— Za pozwoleniem... — zawołał Mazeroux zagrządzając mu drogę. — Moim zdaniem byłoby dużo lepiej, gdyby pan zaczekał na przybycie prefekta.

— Kpię sobie z twego zdania!

— Może być, ale pan nie wyjdzie stąd.

— Co takiego? Zwariowałaś chyba, Aleksandrze!

— Szefie, proszę się zmiłować — błagał Mazeroux — przecież to rzecz zupełnie zrozumiała, że prefekt pragnie się z panem rozmówić.

— Ach, więc to prefekt pragnie? No to mu powiesz, mój kochany, że ja nie jestem na jego rozkazy i w ogóle niczych rozkazów nie słucham. I gdyby prezydent Republiki, a nawet Napoleon I we własnej osobie zagroził mi drogę... Zresztą co tu długo gadać... Usuń się!

— Nie przejdzie pan! — odrzekł sierżant stanowczo, rozkładając ręce.

— Aleksandrze! policz do dziesięciu.

— I do stu jeśli pan chce, ale pan nie...

— Nudzisz mnie — wykrzyknął Perenna i chwyciwszy sierżanta za ramiona obrócił nim na miejscu i pchnął go ku otomanie.

Po czym otworzył drzwi...

— Stój, bo strzełę!

Mazeroux stał już z rewolwerem w garści i wyrazem oczu nieprzejednanym.

Don Luis zatrzymał się zdumiony. Groźba, jak również i lufa rewolweru ku niemu zwrócona, pozostawiały go kompletnie obojętnym. Lecz zaimponował mu Mazeroux, jego stary kompan, współnik tylu wypraw, wiemy mu i oddany na śmierć i życie, Mazeroux, który zdobył się na podobny gest!

Zbliżył się do niego i kładąc rękę na jego wyciągniętym ramieniu zapytał:

— Rozkaz prefekta?

— Tak jest — szepnął sierżant zmieszany.

— Masz rozkaz zatrzymać mnie do jego przybycia i to wszelkimi sposobami, jak widzę?

— Tak.

— I strzeliłbyś, Aleksandrze?

— Tak, szefie — odparł sierżant słabym głosem.

Perenna patrzył na niego bez gniewu, z przyjaźnią nawet i z wyraźnym podziwem dla tego poczucia obowiązku i dyscypliny, które tak silnie opanowało jego dawnego kolegę, że przeważało nawet ślepe przywiązanie, które Mazeroux okazywał zawsze swemu szefowi.

— Nie mam ci tego za złe, Aleksandrze. Chciałbym jednak zrozumieć, dlaczego prefekt policji...

Sierżant nie odpowiadał, lecz spojrział na niego z wyrazem tak przygnębionym, że don Luis drgnął.

— To nie może być! To byłoby za głupie... on nie może mnie podejrzewać!...

Mazeroux, czy i ty w to wierzysz?

— Nie, szefie. Ja wiem, że pan nie zabija. I przysięgłbym za pana, jak za siebie. Ale... zbieg okoliczności...

Don Luis zamyślił się.

— Tak, masz rację... zbieg okoliczności... Że też ja o tym sam nie pomyślałem! Moje stosunki z Kosmą Morningtonem, mój przyjazd do Paryża na otwarcie testamentu, moje naleganie, żeby tu dziś nocować i sam fakt, że śmierć obu Fauville'ów przynieść mi może miliony... Ależ on ma kompletną rację ten twój prefekt! Tym bardziej że... No... krótko mówiąc... przepadłem.

— Ależ szefie.

— Przepadłem, mój drogi, wpakuj to sobie dobrze w głowę... Przepadłem nie jako Arsen Lupin, były włamywacz, były galernik, gdyż z tej strony mnie nie wezmą, ale jako don Luis Perenna, uczciwy człowiek, spadkobierca itd. Nie, to za głupie, bo któż odnajdzie zabójcę Morningtona, Verota i Fauville'ów, jeśli mnie do kozy zamkną?

— Ależ szefie.

— Cicho, słuchaj...

Samochód zatrzymał się na bulwarze i drugi za nim nadjeżdżał. Widocznie był to prefekt policji i sędzia śledczy.

Don Luis chwycił sierżanta za rękaw.

— Jedyne byłby sposób wyjścia, Aleksandrze. Nie mów, że spałeś.

— Nie mogę, szefie.

— Skończony idiota! — mruknął don Luis. — Bałwan! I bądźże tu uczciwym z takimi ludźmi! No więc cóż dalej?

— Niech pan zabójcę odkryje!

— Co takiego? Bredzisz chyba!

Lecz teraz Mazeroux chwycił go za ramię i czepiając się jego rękawa, z rozpaczą i łzami w głosie błagał:

— Niech pan winnego odkryje. Bez tego przepadł pan... zamkną pana, jak amen w pacierzu! Prefekt mi to sam powiedział. Musi być winny... i to do wieczora... Pańska rzecz go odkryć.

— Tylko tyle ci potrzeba, Aleksandrze?

— Ależ dla pana to nie przedstawia trudności. Wystarczy panu chcieć!

— Kiedy nie mamy najmniejszych danych, cymbale!

— To nic, pan znajdzie... Pan musi znaleźć. Inaczej znanadto byłbym nieszczęśliwy, gdyby pana zaaresztowano. Mój szef oskarżony o zabójstwo! Nie, to byłoby okropne... Błagam pana, niech pan odkryje winnego i niech go pan wyda! Cały dzień ma pan przed sobą. Lupin nie takie trudności pokonywał.

Jąkał się i szlochał, załamując ręce i wykrzywiając komicznie twarz. Wzruszający był ten niepokój i przerażenie na myśl o grożącym ubóstwianemu szefowi niebezpieczeństwie.

Poprzez kotarę, oddzielającą przedpokój od korytarza, dał się słyszeć głos Demaliona. Równocześnie trzeci i czwarty samochód zatrzymały się przed domem. Willa była ze wszech stron osaczona agentami.

Perenna milczał. Mazeroux błagalnym wzrokiem patrzył na niego. Kilka sekund upłynęło jeszcze. Nareszcie Perenna przemówił:

— Po głębszym zastanowieniu muszę przyznać, że się nie mylisz, Aleksandrze, i że twoje obawy są zupełnie uzasadnione. Jeśli za kilka godzin nie uda mi się wydać w ręce sprawiedliwości zabójcy czy też zabójców Hipolita Fauville'a i jego syna, to dziś wieczór we czwartek pierwszego kwietnia ja, don Luis Perenna, będę nocował w celi więziennej.



ROZDZIAŁ TRZECI

Turkus

Okolo godziny dziewiętej rano prefekt wszedł do gabinetu, w którym się rozegrał straszliwy dramat tego podwójnego morderstwa.

Wchodząc nawet się nie uklonił Perennie i sędziowie, którzy z nim przybyli, mogliby przypuszczać, że don Luis był tylko pomocnikiem Mazeroux, gdyby dyrektor policji nie był ich na wstępie zaznajomił z rolą odegraną przez tego intruza.

Demalion szybko obejrzał trupy i zadał kilka pytań sierżantowi. Następnie udał się na pierwsze piętro do salonu pani Fauville, gdzie ta ostatnia powiadomiona o jego wizycie przybyła niebawem.

Perenna, który nie opuszczał przez ten czas korytarza, wyszedł do przedpokoju, przez który służba przelatywała co chwila. Stamtąd skierował się ku schodom, prowadzącym do drzwi wchodowych. Stało tam dwóch ludzi, jeden z nich zatrzymał go.

— Wyjście wzbronione.

— Przez kogo wzbronione?

— Przez prefekta policji.

— A to prawdziwy pech! — zaśmiał się Perenna, — Całą noc nie spałem i umieram z głodu. Czy nie byłoby sposobu coś przegryźć?

Agenci popatrzyli na siebie, po czym jeden z nich kiwnął na Sylwestra, z którym pomówił chwilę. Sylwester odszedł w stronę kredensu, skąd wrócił wkrótce z rogalikiem w ręku.

— Dobrze — powiedział do siebie don Luis, podziękowawszy uprzejmie — doświadczenie zrobione. Jestem zamknięty. Byłby to jednak brak logiki ze strony Demaliona, gdyż jeśli on tu chce Arsena Lupina zatrzymać, to mu ci agenci nie wystarczą. A jeśli mu o don Luisa Perennę idzie, to agenci są zbyt uczciwi, gdyż ucieczka pana Perenny pozbawiłaby go nadziei na flotę tego pocziwca Kosmy. Co powiedziawszy siadam i czekam dalszych kolei losu.

Przez otwarte drzwi do gabinetu ujrzał sędziów prowadzących śledztwo. Doktor przysięgły zbadał oba trupy i rozpoznał te same ślady zatrucia, które odkrył dzień przedtem na trupie Verota. Następnie agenci zabrali ciała nieboszczyków i zanieśli je do pokoi, które dawniej zajmowali na drugim piętrze.

Prefekt policji zeszedł wówczas z góry i don Luis usłyszał, jak mówił do sędziów:

— Nieszczęśliwa kobieta! Z początku nie chciała wierzyć... Ale kiedy nareszcie zrozumiała, padła zemdlona na ziemię. Pomyślcie tylko, co za cios! Męża i syna tak nagle utracić!

Od tej chwili Perenna nic już nie widział i nie słyszał, gdyż drzwi zostały zamknięte. W przedpokoju u wyjścia korytarzyka dwaj agenci umieścili się po obu stronach kotary.

Moje papiery stanowczo niewysoko stoją — powiedział sobie Perenna w myśli. — Musi tam Aleksandrowi skóra za mnie cierpnąć!

O dwunastej zjawił się Sylwester ze śniadaniem na tacy. Po czym nastąpiło znów wyczekiwanie długie i nużące. W gabinecie śledztwo, przerwane chwilowo śniadaniem, ciągnęło się dalej. Don Luis słyszał chodzenie i dźwięk głosów. Nareszcie zmęczony i znudzony wyciągnął się na swym fotelu i usnął. Była już czwarta, gdy Mazeroux przyszedł go obudzić.

— No cóż, odkrył go pan? — szepnął Perennie do ucha.

— Kogo? — zapytał don Luis.

— Zabójcę?

— No przecież; poszło mi to jak po maśle...

— Dzięki Bogu — ucieszył się Mazeroux, nie rozumiejąc żartu. — Inaczej źle byłoby z panem!

Don Luis wszedł do gabinetu. Znajdowali się tam prokurator, sędzia śledczy, dyrektor policji, komisarz obwodowy, dwóch inspektorów i trzech agentów w mundurach.

Na dworze słyhać było hałas i okrzyki. I kiedy komisarz z agentami wyszli z rozkazem prefekta, żeby rozpędzić zebrany tłum, uszu obecnych doszedł wyraźnie ochryply głos roznosiciela gazet wykrzykujący:

— Podwójne morderstwo przy bulwarze Suchet! Ciekawe szczegóły o śmierci inspektora Verota! Nieudolność policji!

Po czym zaległa cisza.

Mazeroux nie mylił się — pomyślał Perenna — sytuacja jest groźna. Jeśli mi się nie uda wywnioskować czegoś decydującego w ciągu śledztwa, czegoś co by mi pozwoliło wskazać owo X niewiadome, to dziś wieczorem oddany będę na pastwę opinii publicznej.

Przejął go dreszcz radosny, który ogarniał go zawsze wobec zbliżającej się walki. A ta zdawała się być jedną z najcięższych, jakie przeżywał dotychczas. Znał reputację prefekta, jego doświadczenie i amatorstwo, z jakim przeprowadzał osobiście badania ważniejszych spraw, zanim je zdał w ręce sędziego śledczego. Znał też don Luis niezrównaną rutynę dyrektora policji oraz przebiegłość i nieprzepartą logikę sędziego śledczego.

Demalion rozpoczął atak. I to wprost, bez żadnych kołowań, głosem trochę twardym, pozbawionym owej sympatycznej nuty, z jaką poprzednio zwracał się do Perenny.

— Ponieważ okoliczności zrzędziły — rzekł — iż jako spadkobierca Kosmy Morningtona spędził pan noc w tym domu, podczas gdy się w nim stała podwójna zbrodnia, chcielibyśmy więc mieć pańskie szczegółowe zeznanie, tyżące się wydarzeń tej nocy.

— Inaczej mówiąc, panie prefekcie — odparł atak Perenna — ponieważ dał mi pan zezwolenie na spędzenie tu nocy, chciałby się pan przekonać, czy moje zeznanie nie będzie sprzeczne z zeznaniem sierżanta Mazeroux.

— Tak jest — przyznał prefekt.

— Czyli rola moja wydaje się panu podejrzana?

Demalion zawahał się. Spojrzał w oczy Perennie i widocznie odniósł dobre wrażenie z jego odważnych i szczerych oczu. Mimo to odpowiedział jasno i nieco brutalnie:

— Nie pańską rzeczą jest zadawać mi tego rodzaju pytania.

Don Luis skłonił się.

— Jestem na rozkazy pana prefekta.

— Proszę nam powiedzieć wszystko, co pan wie.

Don Luis zdał szczegółową relację z wydarzeń nocy ubiegłej. Demalion po krótkim namyśle zapytał:

— Chcielibyśmy jedną kwestię wyjaśnić. Kiedyście tu weszli do przedpokoju o godzinie pół do trzeciej i zasiedli przy łożu inżyniera Fauville'a, czy żadne oznaki nie mogły dać do myślenia, że on już nie żyje?

— Żadne, panie prefekcie. W innym razie zaalarmowalibyśmy zaraz...

— Czy drzwi do ogrodu były zamknięte?

— Oczywiście, gdyż o siódmej rano musieliśmy je otwierać.

— Czym otwieraliście te drzwi?

— Kluczami pana Fauville'a.

— Więc jakże zbrodniarze mogliby się byli dostać z zewnątrz?
— Za pomocą fałszywych kluczy.
— Czy ma pan na to jakie dowody?
— Żadnych.
— Nie mając więc na to dowodów musimy przypuszczać, że zbrodniarze znajdowali się wewnątrz domu.
— Ależ panie prefekcie, wewnątrz znajdował się tylko Mazeroux i ja!
Zaległa pełna znaczenia cisza.
— Czy nie spał pan całą noc? — pytał dalej Demalion.
— Owszem, nad ranem.
— A sierżant Mazeroux?
Niepewność ogarnęła Perennę, lecz czyż mógł się spodziewać, żeby uczciwy do skrupulatności sierżant wszedł był w konflikt z własnym sumieniem?

Odpowiedział więc:

— Sierżant Mazeroux spał w fotelu do powrotu pani Fauville, to jest w ciągu dwóch godzin.

I znów zapanowała cisza, mówiąca wyraźnie:

Miałeś więc dwie godziny czasu dla zgładzenia obu Fauville'ów.

Badanie szło więc tak, jak to Perenna przewidział. Zacieśniało się coraz bardziej koło podejrzeń. Jego przeciwnik prowadził walkę z godną podziwu logiką i mocą.

Psiakrew — mówił sobie Perenna w duchu nigdy nie myślałem, że tak trudno jest bronić się, gdy się jest niewinnym.

Po krótkim porozumieniu z sędzią śledczym Demalion pytał dalej:

— Wczoraj wieczorem, kiedy pan Fauville otwierał kasę w waszej obecności, co się tam znajdowało?

— Pliki papierów i na nich zeszyt szary, który od tej pory znikł.

— Nie dotykał pan tych papierów?

— Nie dotykałem w ogóle kasy, panie prefekcie. Mazeroux musiał panu mówić, że z legalnych względów trzymałem się umyślnie na uboczu.

Demalion rzucił porozumiewawcze spojrzenie sędziemu. Gdyby Perenna był dotychczas wątpił, że mu zastawiono sidła, wystarczyłoby mu spojrzenie na Mazeroux. Mazeroux był blady jak ściana.

Tymczasem prefekt zwrócił się znów do Perenny:

— Pan się zajmował podobno dochodzeniami śledczymi. Pozwoli pan więc, że jako detektywowi zadam panu następujące pytanie: Gdyby w tej kasie znajdował się obecnie klejnot, powiedzmy brylant od szpilki, należącej niezaprzeczalnie do kogoś znanego nam, kogoś, który spędził noc w tej willi, co by pan myślał o tym trafie?

— Tum cię czekał — pomyślał Perenna. — Widocznie znaleźli w kasie coś, co w ich mniemaniu do mnie należy. Ponieważ jednak ja się do kasy nie zbliżałem, musiałby ten przedmiot być chyba umyślnie podrzucony...

Prefekt przerwał mu te rozważania, powtarzając pytanie:

— Co by pan o tym myślał?

— Myślałbym, że jest niezaprzeczalny związek pomiędzy obecnością w willi danej osoby a zbrodnią dokonaną.

— Mielibyśmy więc prawo co najmniej podejrzewać tę osobę?

— Oczywiście.

Demalion wyjął z kieszeni papiera, który rozwinął i uchwyciwszy we dwa palce niebieski kamyczek pokazał mu go:

— Oto jest turkus, znaleziony przez nas w kasie, a który bez najmniejszej wątpliwości pochodzi z pierścionka, który pan ma na palcu.

Wściekłość porwała Perennę. Zgrzytnął zębami, patrząc na swój pierścionek, w którym duży kaboszon⁴ z turkusa otoczony był drobnymi nieregularnymi kamyczkami. Jednego z nich brakowało...

— Co pan na to powie?

— A cóż, powiem, że kamyk ten pochodzi z mego pierścionka, który mi ofiarował Kosma Mornington, kiedy mu po raz pierwszy życie uratowałem.

Don Luis zaczął chodzić po pokoju pogrążony w myślach. Nagle zatrzymał się przed prefektem, chwycił za poręcz krzesła, obrócił i usiadł, mówiąc:

— Porozmawiajmy.

Gest jego i ton były tak pełne stanowczości, że prefekt szepnął strapiiony:

— Nie bardzo widzę...

— Zaraz panu wszystko wytłumaczę. Sytuacja jest zupełnie jasna. Szukacie winnych i chcecie ich odkryć jak najprędzej. W braku więc kogo innego wydacie mnie. Przyznaję, że moja tu obecność, jako też fakt, że Mazeuroux zasnął — i w końcu ten turkus znaleziony w kasie zdaje się tworzyć szereg obciążających mnie okoliczności. Tym bardziej, że mimo woli nasunąć się może podejrzenie, iż zależało mi na usunięciu Fauville'ów dla zagarnięcia spadku po Morningtonie. Pozostaje mi więc chyba tylko udać się wprost do więzienia... albo też...

— Albo też?...

— Albo wydać w ręce sprawiedliwości rzeczywistego winowajcę.

Prefekt policji uśmiechnął się ironicznie i wyjął z kieszeni zegarek mówiąc:

— Czekam więc.

— Nie potrwa dłużej niż godzinę, panie prefekcie — zapewnił Perenna — jeśli mi pan zostawi swobodę działania. Wykrycie prawdy zasługuje przecież na trochę cierpliwości.

— Czekam więc — powtórzył Demalion.

— Sierżancie Mazeroux, proszę tu przywołać Sylwestra, służącego pana Fauville'a, pan prefekt chce się z nim rozmówić.

Na znak Demaliona Mazeroux usłuchał rozkazu.

— Panie prefekcie — mówił dalej Perenna — muszę panu powiedzieć, że znalezienie tego turkusa, które panowie uważają za dowód przeciw mnie, ja uważam za odkrycie niezmiernej wagi. Musiał on bowiem wypaść z mego pierścionka na dywan wczoraj wieczorem. Otóż tylko cztery osoby mogły to zauważyć i ewentualnie włożyć kamyczek do kasy w celu skierowania podejrzeń na moją osobę. Pierwsza osoba to agent pański Mazeroux... o nim nie ma co mówić. Druga to Fauville, który nie żyje, nie może więc wchodzić w rachubę. Trzecia — to służący Sylwester. Z nim też chciałbym zamienić słów parę.

Badanie Sylwestra było krótkie. Udowodnił on z łatwością, że przed powrotem pani Fauville, której musiał drzwi otwierać, nie wychodził z kuchni, gdzie grał w karty z resztą służby.

— Dobrze — zakończył badanie Perenna — proszę uprzedzić panią Fauville, że pan prefekt pragnąłby ją widzieć.

— Ależ panie — zawołał prefekt — nie podejrzewa pan chyba pani Fauville?

— Panie prefekcie, pani Fauville jest czwartą osobą, która mogła znaleźć mój turkus.

— I cóż z tego? To są zbyt wątpliwe poszlaki, aby móc przypuszczać, żebyż żona była zdolna zabić męża... I matka otrucił syna!

— Ja też nie przypuszczam, panie prefekcie.

— A więc?

⁴ kaboszon — kamień szlachetny lub półszlachetny mający szlif o formie półkolistej

Don Luis nie odpowiedział. Demalion nie kryjąc irytacji rzekł:

— Dobrze, zgadzam się na badanie pani Fauville, ale pod warunkiem, że się pan nie odezwie. Pytać ja będę osobiście. Może mi pan tylko wskazać, jakie mam zadawać pytania.

— Jedno pytanie tylko, panie prefekcie, a mianowicie: czy pani Fauville nie zna innych potomków sióstr Roussel oprócz męża?

— Po co to pytanie?

— Bo jeśli istnieją inni potomkowie, to nie ja dziedziczyć miliony, tylko oni. I w takim razie im, a nie mnie zależało na usunięciu z tego świata Fauville'a i syna.

— Oczywiście... oczywiście... — szepnął Demalion.

W tej chwili weszła pani Fauville. Ładna była i urocza mimo łez wylanych, które zaczerwieniły jej powieki i ujęły cerze świeżości. W oczach jej jednak pozostawał wyraz przerażenia, a ruchy i cała postać miały coś gorączkowego, robiącego przykre wrażenie.

— Niech pani zajmie miejsce — rzekł prefekt z głębokim szacunkiem — i proszę mi wybaczyć, że panią trudzę i narażam na wzruszenie. Czas jest jednak drogi i musimy dołożyć wszelkich starań, żeby pomścić życie bliskich pani istot.

Łzy spływały znów po twarzy pani Fauville. Łkając odrzekła:

— Jeśli tylko sprawiedliwość może mnie potrzebować, panie prefekcie...

— Chcielibyśmy panią prosić o parę wyjaśnień. Matka męża pani umarła już, nieprawdaż?

— Tak, panie prefekcie.

— Była ona z domu Roussel, na imię miała Elżbieta i pochodziła z Saint-Etienne?

— Tak.

— Czy mąż pani miał braci lub siostry?

— Nie, był jedynakiem.

— Nie pozostali więc żadni potomkowie po Elżbiecie Roussel?

— Żadni.

— Lecz Elżbieta miała jeszcze dwie siostry, nieprawdaż? Z nich starsza, Ermelina, wyemigrowała do Ameryki, a młodsza...

— Młodsza zaś, Armanda Roussel, była moją matką!

— Co pani mówi!

— Mówię, że jestem córką Armandy Roussel i wyszłam za mąż za mego kuzyna, syna Elżbiety Roussel.

Obecni spojrzeli na siebie ze zdumieniem. A więc wobec śmierci Hipolita Fauville'a i syna jego Edmunda, potomków w prostej linii najstarszej siostry, spadek po Morningtonie przechodził na młodszą, której przedstawicielką była pani Fauville.

— Czy nie ma pani rodzeństwa? — zapytał prefekt.

— Nikogo, jestem zupełnie sama.

Straszliwa jak zmora myśl zaciążyła na mózgach obecnych. Ta kobieta była przecież matką Edmunda Fauville'a... Demalion zwrócił się ku Perennie. Don Luis napisał słów parę na kartce i podał ją prefektowi.

Prefekt, który coraz uprzejmiej zaczynał traktować Perennę, przeczytał kartkę i po krótkim namyśle zapytał panią Fauville:

— W jakim wieku był syn pani, Edmund?

— Miał lat siedemnaście.

— Pani tak młodo wygląda...

— Edmund nie był moim synem, lecz pasierbem. Był synem męża i jego pierwszej żony, która umarła.

— Ach, więc Edmund Fauville... — szepnął prefekt, nie kończąc zdania.

W jednej chwili sytuacja wydała się zmieniona. Pani Fauville nie była już wdową i matką nietykalną. Przeciwnie, stała się kobietą, którą okoliczności nakazywały badać. I choć wszyscy pozostawali nadal pod urokiem jej piękności i wdzięku, mimo woli przychodziło na myśl pytanie, czy z jakiegokolwiek racji, żeby na przykład korzystać swobodniej z ogromnej fortuny, nie popełniła ona tego szalonego czynu — czy nie zabiła męża i tego, który był tylko synem jej męża. Trzeba było to pytanie wyjaśnić. Prefekt więc badał dalej:

— Czy zna pani ten turkus?

Wzięła do ręki podany kamień i oglądała bez najmniejszego wzruszenia.

— Nie — odpowiedziała. — Mam wprawdzie naszyjnik z turkusów, którego nie noszę, lecz kamienie moje są o wiele większe i żaden nie ma tak nieregularnej formy.

— Kamień ten pochodzi z pierścionka osoby znanej nam.

— Trzeba ją odnaleźć.

— Jest tu — odparł prefekt, wskazując na Perennę, który pozostawał na uboczu, nie zauważony przez par nią Fauville.

Ujrzawszy go drgnęła i zawołała silnie wzruszona:

— Ależ ten pan był tu wczoraj! Rozmawiał z mężem i tym oto drugim panem — wskazała na Mazeroux. — Trzeba ich zapytać, czemu tu przychodzili... Przecież pan rozumie, że jeśli ten kamień należy do jednego z nich...

Insynuacja była wyraźna, ale też mocno niezgrabna. I nadawała wagi twierdzeniu Perenny, który utrzymywał, że turkus był umyślnie włożony do kasy przez kogoś, kto go chciał skompromitować. Dwie zaś tylko osoby mogły to uczynić prócz nieboszczyka Fauville'a: Sylwester i pani Fauville.

— Chciałbym zobaczyć pani naszyjnik — odezwał się znów prefekt.

— Najchętniej go panu pokażę. Znajduje się wraz z resztą moich klejnotów w szafie lustrzanej. Pójdę go przynieść.

— Niech się pani nie trudzi. Wszak służąca pani musi go znać.

— Oczywiście.

— W takim razie Mazeroux porozumie się z nią w tej sprawie.

Po wyjściu sierżanta zaległa głucha cisza, której nikt nie przerywał. Pani Fauville robiła wrażenie pogrążonej w boleści. Demalion nie spuszczał z niej oka. Mazeroux wrócił, niosąc szkatułę z klejnotami.

Pan Demalion znalazł naszyjnik i stwierdził, że kamienie były większe oraz innej formy i żadnego z nich nie brakowało... Lecz odsunawszy parę pudełek z klejnotami, żeby wyjąć diadem, na którym znajdowały się też kamienie błękitne, zapytał ze zdziwieniem:

— A to co za klucze? — i wskazał przy tym na dwa klucze, podobne zupełnie do kluczy, które otwierały zamek i zatrzaszk drzwi do ogródka.

Pani Fauville nie drgnęła nawet, żaden muskuł jej twarzy nie zdradził najmniejszego niepokoju. Odparła tylko:

— Nie wiem... Klucze te od dawna już tu leżą.

— Mazeroux — rozkazał prefekt — spróbuj tymi kluczami otworzyć te drzwi.

Mazeroux usłuchał rozkazu. Drzwi się otworzyły.

— Rzeczywiście, przypominam sobie teraz — przyznała pani Fauville — mąż dał mi kiedyś podwójne klucze do tych drzwi.

Słowa te wymówiła zupełnie spokojnie i naturalnie, jak gdyby nie zdając sobie sprawy ze straszliwego zarzutu, którym mogły ją obciążyć. I nie mogło być nic straszliwszego, jak ten zagadkowy spokój. Nie można było zrozumieć, czy to dowód prawdziwej niewinności czy też szatańska przebiegłość zbrodniarki, której nic z równowagi wyprowadzić nie zdoła. Czy nie rozumiała ona dramatu, rozgrywającego się wkoło niej, którego była nieświadomą bohaterką? Czy też rozumiała coraz silniej

obciążający ją zarzut, który jej zagrażał strasliwym niebezpieczeństwem? Lecz w takim razie jak mogła popełnić taką nieostrożność i klucze zachować?... Cały szereg pytań narzucał się wszystkim. Prefekt rozpoczął dalsze badanie:

— W chwili spełnienia zbrodni była pani nieobecna w willi, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Była pani w operze?

— Byłam w operze, a następnie na wieczorze u mojej przyjaciółki pani Ersinger.

— Czy jeździła pani własnym samochodem?

— Jadąc do opery tak. Stamtąd odesłałam go do domu i kazałam przyjechać po siebie, do państwa Ersinger.

— A jakże udała się pani z opery na ów wieczór?

Po raz pierwszy pani Fauville zdała się zauważyć, że jest przedmiotem prawdziwego badania i wzrok jej oraz zachowanie zdradzać zaczęły niepewność.

Odrzekła jednak:

— Wzięłam dorożkę samochodową na placu opery.

— O północy?

— Nie, o pół do dwunastej. Wysłałam przed końcem przedstawienia...

— Chciała pani wcześniej być u przyjaciółki?

— Tak... to jest właściwie...

Zatrzymała się. Policzki jej się zaczerwieniły, usta drżeć zaczęły i zapytała:

— Po co te wszystkie pytania?

— Są nam potrzebne, proszę pani. Mogą nam wiele wyjaśnić. Proszę więc panią o odpowiedź. O której godzinie przyjechała pani do państwa Ersinger?

— Nie pamiętam... nie zwróciłam na to uwagi.

— Udała się pani tam wprost z opery?

— Prawie...

— Jak to prawie?

— No, tak... głowa mnie trochę bolała, kazałam się więc zawieźć przez Champs-Elysees i Avenue du Bois... bardzo wolno... i z powrotem.

Pani Fauville zaczęła się coraz bardziej mieszać. Głos jej stawał się niewyraźny, nareszcie pochyliła głowę i zamilkła. Niepodobna było jednak uważać tego milczenia za wyznanie i nic nie pozwalało przypuszczać, że to przygnębienie spowodowane jest czym innym jak cierpieniem. Jednakże zdawała się tak znużona, że można było pomyśleć, iż czując się zgubioną zrzekła się obrony. I mimo woli odczuwało się litość dla tej kobiety, przeciw której zwracały się wszystkie okoliczności i która się tak źle broniła, iż nie miało się odwagi dalej jej gnębić.

Toteż Demalion zawahał się, jak gdyby zbyt łatwe zwycięstwo wzbudzało w nim skrupuły. Machinalnie spojrzął na Perennę, Don Luis podał mu kartkę mówiąc:

— Oto numer telefonu państwa Ersinger.

Demalion szepnął:

— Tak, to prawda... można sprawdzić....

I biorąc słuchawkę do ręki zażądał:

— Halo, proszę Louvre 25-04.

Otrzymawszy połączenie natychmiast mówił dalej:

— Kto mówi?... marszałek dworu?... Czy pani Ersinger w domu? A pan? też nie... Może by mi pan mógł udzielić pewnego wyjaśnienia. Jestem Demalion, prefekt policji i pragnę wiedzieć, o której godzinie pani Fauville przybyła do państwa tej nocy?... Pewny pan jest?... O drugiej w nocy?... Nie wcześniej?... A jak długo bawiła? Dziesięć minut? Nie myli się pan co do godziny przyjazdu?... O drugiej na pewno?... Dobrze. Dziękuję.

Odwracając się ujrzał prefekt tuż koło siebie stojącą panią Fauville, patrzącą na niego z szalonym niepokojem. I ta sama myśl przyszła wszystkim: że mają przed sobą istotę zupełnie niewinną lub też wyjątkową komediantkę, zdolną nadać swym rysom pozory niewinności.

— Co to wszystko znaczy? Niech mi pan powie, co to znaczy?

Wówczas Demalion zapytał ją wprost:

— Co pani robiła tej nocy między pół do dwunastej a drugą rano?

Pytanie to było groźne. Znaczyło bowiem: jeśli nie potrafi pani udowodnić, gdzie ten czas spędziła, będziemy mieli prawo wywnioskować z tego, że pani nie jest obcą dokonanej zbrodni...

Pani Fauville, rozumiejąc nareszcie grozę sytuacji, zachwiała się jęcząc:

— Ależ to straszne... straszne...

Prefekt powtórzył:

— Co pani przez ten czas robiła? Przecież odpowiedź nie może sprawiać pani trudności?

— Och! — zawołała tym samym tonem jęczącym jak wy możecie przypuszczać? Czy to możliwe?!...

— My jeszcze nic nie przypuszczamy. Jednym słowem może pani wszystko wyjaśnić.

Zdawało się przez chwilę, że słowo to wypowie. Powstała i usta jej się poruszyły, jakby chciała mówić. Nagle jednak na twarzy jej odbił się wyraz trwogi i zmieszania. Wyszeptała parę niezrozumiałych wyrazów i padła na fotel z konwulsyjnym łkaniem i krzykiem rozpacz.

Było to wyznanie. A przynajmniej wyznanie swej niemocy dostarczenia wiarygodnych wyjaśnień. Prefekt oddalił się od niej i zaczął półgłosem naradzać się z sędzią śledczym i prokuratorem. Perenna i Mazeroux stali obok siebie. Mazeroux szepnął:

— A co, nie mówiłem? Dobrze wiedziałem, że pan wszystko wykryje! Jak pan to świetnie przeprowadził!...

Promieniał z radości, że ukochanemu szefowi nic już nie grozi.

— Zamkną ją, nieprawdaż?

— Nie — odrzekł Perenna — nie ma wystarczających dowodów.

— Jak to? — mruknął Mazeroux oburzony. — Nie dość dowodów! Mam nadzieję jednak, że jej pan teraz nie wypuści! Ona się nie krępowała, żeby na pana rzucić podejrzenie. No, szefie, niech ją pan dobije! To diabolic!

Don Luis zamyślił się nad niezwykłym zbiegiem okoliczności i całością faktów, które ze wszech stron i jakby osaczały panią Fauville... Dowód zaś ostateczny, który by mógł powiązać wszystkie te fakty i stworzyć podstawę oskarżenia, on, Perenna, mógł dostarczyć. Był to ślad zębów na jabłku, leżącym pod liśćmi w ogrodzie. Dowód ten miałby wartość odcisku palców, tym bardziej, że mógł być porównany ze, śladem zębów na tabliczce czekolady.

Jednakże wahał się. I ze skupioną uwagą, z uczuciem litości a zarazem wstrętu wpatrywał się w kobietę, która według wszelkiego prawdopodobieństwa zabite, męża i pasierba. Czy miał prawo pogrążyć ją ostatecznie? Czy miał prawo odegrać rolę karzącej sprawiedliwości? A jeśliby się mylił?

Demalion tymczasem zbliżył się do niego i zwracając się pozornie do Mazeroux zapytał Perennę:

— Co pan o tym myśli?

Mazeroux potrząsnął głową. Don Luis odpowiedział:

— Znajduję, panie prefekcie, że jeśli ta kobieta jest winna, to się broni pomimo swej zřęczności z niewiarygodną niezdarnością.

— To znaczy?
— Że prawdopodobnie musiała być tylko narzędziem w rękach jakiegoś współnika.
— Dlaczego?
— Niech pan sobie przypomni, panie prefekcie, okrzyk jej męża wczoraj w pańskim gabinecie: „Och, nędznicy... zbrodniarze!” Musi więc być przynajmniej jeden współnik. Może to ten właśnie, który był równocześnie z inspektorem Verotem w kawiarni „Pont-Neuf” czym Mazeroux musiał panu wspominać. Człowiek wysokiego wzrostu z ciemną brodą w klin i laską hebanową o rączce srebrnej.
— A więc aresztując zaraz panią Fauville na podstawie zwykłych podejrzeń, będziemy mieli szansę dostania w ręce jej współnika — rzekł prefekt.
Perenna nie odrzekł nic. Prefekt ciągnął dalej w zamyśleniu:
— Aresztując zaraz... łatwo to mówić! Trzeba by jednakże mieć jakiś dowód. Czy pan nie natrafił na żaden ślad?
— Nie, panie prefekcie. Wprawdzie moje poszukiwania były bardzo pobieżne...
— Lecz nasze były gruntowne. Cały ten pokój był szczerze przeszukany.
— A ogród, panie prefekcie?
— Ogród też.
— Czy równie starannie, lecz myślę...
— Mnie się zdaje przeciwnie, panie prefekcie. Zbrodniarze wchodząc i wychodząc przeszli przez ogród. Mielibyśmy więc dane znalezienia czegoś:
— Mazeroux! — rozkazał prefekt — idź się o tym przekonać osobiście.
Sierżant wyszedł. Perenna stojąc na uboczu słyszał, jak prefekt mówił do sędziego:
— Żeby choć jeden dowód! Ta kobieta oczywiście jest winna. Zbyt wiele jest danych przeciw niej. A przy tym te miliony Morningtona... Choć swoją drogą... niech pan na nią spojrzy... wiele uczciwości i jaki szczerzy ból maluje się na tej ładnej twarzyczce.
Ona zaś płakała ciągle. Chwilami jakby ją bunt porывał, ścisnęła pięści i chustkę łzami zmoczoną darła zębami. I Perenna patrząc na równe, białe zęby, trochę szerokie, myślał o śladach zostawionych na jabłku i przejmowało go nieprzeparowane pragnienie wyjaśnienia wszystkiego.
Mazeroux wrócił. Demalion skierował się szybko ku sierżantowi, który pokazał mu jabłko, znalezione w ogrodzie pod bluszczem. Don Luis mógł się przekonać od razu, jak wielkie znaczenie nadawał prefekt temu odkryciu.
Ożywiona dyskusja rozpoczęła się między prefektem i sędziami. Po chwili Demalion podszedł do pani Fauville. Zbliżało się ostateczne rozwiązanie sprawy. Prefekt po krótkim namyśle rzekł do niej:
— Czy pani w dalszym ciągu nie może nam wyjawić, co pani robiła tej nocy?
Ona szepnęła z wysiłkiem:
— Owszem... jeździłam autem na spacer... a potem przeszłam się trochę pieszo...
— To są fakty, które łatwo nam będzie sprawdzić, jak tylko uda nam się odnaleźć szofera, z którym pani jeździła. Tymczasem zaś mogę pani nastreczyć okazję rozproszenia trochę... ujemnego wrażenia, które wywarło na nas pani milczenie...
— Jestem na pańskie rozkazy...
— Otóż znaleziono w ogrodzie jabłko z wyraźnym śladem zębów, pozostawionym bez wątpienia przez osobę lub jedną z osób, które brały udział w zbrodni. Żeby więc rozwiązać wszelkie podejrzenia, dotyczące pani osoby, prosiłbym panią o nadgryzienie innego jabłka...
— Ależ z największą chęcią! — zawołała z ożywieniem — jeśli tylko zdołam tym panów przekonać...

Chwyliła jedno z pozostałych trzech jabłek z koszyka i podniosła do ust. Krok ten mógł być decydującym. Jeśliby ślad zębów był ten sam, miano by dowód niezbity... W ostatniej chwili jednak zatrzymała się nagle jakby tknięta trwogą. Trwoga zastawionych sidła? Czy też potwornego trafu, który by ją mógł zgubić?

Nic ją jednak więcej nie oskarżało jak to wahanie — niezrozumiałe, jeśli była niewinna, lecz jakże jasne, jeśli winną była!

— Czegóż się pani obawia? — zapytał Demalion.

— Sama nie wiem... wszystkiego się już boję... — szepnęła, drżąc cała.

— Ależ upewniam panią, że to może mieć tylko szczęśliwy dla pani wynik.

Podniosła znów rękę do góry, lecz powoli, z widocznym niepokojem. Scena ta wywoływała nastrój tragiczny i przynębiający.

— A gdybym odmówiła? — zapytała zniechęcona.

— Ma pani prawo odmówić — odparł prefekt policji. — Lecz czy to warto? Pewien jestem, że adwokat pani sam jej ten czyn doradzi.

— Mój adwokat... — wyjąkała, rozumiejąc widocznie groźne znaczenie tego wyrazu.

Nagle z rozpaczliwą decyzją uczyniła to, do czego ją zmuszono. Otworzyła usta. Wśród warg różowych zabłysły jej ładne zdrowe zęby i zagłębiły się w jabłku.

— Już, panie prefekcie.

Demalion zwrócił się do sędziego śledczego.

— Czy ma pan tamto jabłko?

— Oto jest, panie prefekcie.

Prefekt porównał oba owoce. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Znak był identyczny. Oczywiście, dopiero orzeczenie ekspertyzy mogło zdecydować, czy forma i oddalenie każdego zęba były jednakowe.. Lecz zarys obu szczęk był tak identyczny, że trudno było się omylić.

Nikt z obecnych nie wymówił słowa. Pani Fauville, śmiertelnie błada i oszalała z przerażenia nie poruszała się. Jednak tragizm rozpacz, malujący się na jej wrażliwej twarzy, nie znajdował już w niczym sercu oddźwięku. Dowód przeciw niej był zdobyty. Te same zęby ugryzły oba jabłka.

— Proszę pani... — zaczął prefekt policji.

— Nie... to nieprawda!... — krzyknęła w napadzie szału. — To wszystko jest tylko snem strasznym! Nie uwieźcie mnie, nieprawdaż?... Przecież to byłoby straszne... I za co?... Przysięgam wam, że się mylicie!...

Chwyliła się oburącz za głowę.

— Mózg mi czaszkę rozsada. Co ja wam zawiniłam?... Nie zabiłam, rękę wam... Wyście mi dopiero o wszystkim powiedzieli... Ja nawet nie wiedziałam o niczym... Mój biedny mąż... i Edmund, który tak mnie kochał!... i ja go kochałam... Nie zabija się przecie bez przyczyny. Więc po cóż bym to zrobiła? Wytłumaczcie mi...

I w nowym napadzie wściekłości z wyciągniętymi pięściami zwróciła się ku obecnym:

— Katami jesteście chyba!... Nie macie prawa dręczyć tak kobiety niewinnej... Oskarżać... aresztować... i za co?! Oprawcy podli... I to pan szczególnie — zwróciła się do Perenny — tak, pan jest najgorszym wrogiem. Nie bez przyczyny naturalnie! Pan tu był tej nocy... Czemuż więc nie pana aresztują, tylko mnie... Mnie tu nie było... pan tu był... Ja nie wiem, co się tu działo...

Ostatnie słowa wymówiła już ledwo zrozumiała. Siły ją opuszczały. Musiała usiąść. Głowę pochyliła do kolan i znów płakać zaczęła.

Perenna zbliżył się do niej i podnosząc jej z lekka głowę powiedział:

— Ślady zębów na obu jabłkach są jednakowe. Nie ulega więc wątpliwości, że to pani zęby...

— Nie! zaprzeczyła.

— Owszem — potwierdził Perenna — to jest fakt niezaprzeczony. Lecz może ten pierwszy znak był dawniej przez panią zrobiony, nie tej nocy. Może pani ugryzła to jabłko wcześniej...

— Tak, to możliwe... — wyjąkała. — Przypominam sobie... wczoraj rano...

— Nie, proszę pani — przerwał prefekt — to się na nic nie zda. Tylko co pytałem Sylwestra. Wczoraj wieczorem przyniósł on koszyk z owocami, w którym znajdowały się cztery jabłka. Dziś rano jednego brakowało. Znalezione więc jabłko jest niezaprzeczalnie owym czwartym i ugryzione zostało tej nocy. Zęby zaś na jabłku są pani zębami.

— Nie, to nieprawda... to nie ja... Przysięgam na zbawienie duszy mojej... Ja tego nie przeżyję... Wolę śmierć niż więzienie... Ja się zabiję...

Oczy miała nieprzytomne. Całym wysiłkiem woli podniosła się, ledwo jednak powstała, padła zemdlona. Podczas gdy ją ratowano, Mazeroux skinął na Perennę i rzekł mu półgłosem:

— Proszę umykać, szefie.

— Jak to, czy już wolno?

— Szefie, proszę patrzeć na tego osobnika, który tu wszedł przed dziesięć minutami i rozmawia z prefektem.

— Psiakrew! — zaklął Perenna spojrzawszy na grubego czerwonego człowieka, który zeń od dłuższej chwili oka nie spuszczał — ależ to komisarz policji Weber.

— Tak, i co gorsze, poznał pana. W jednej chwili poznał Lupina. Z nim żadne przebranie nie pomoże. Ma on dobre oko! Niech pan sobie przypomni wszystkie sztuczki, które mu pan urządzał i niech pan pomyśli, czy nie postara się on panu odwdziżyć...

— Czy już uprzedził prefekta?

— Oczywiście, i prefekt dał rozkaz kolegom, żeby pana śledzić. Jeśli tylko zauważą, że pan się chce im wymknąć, zaaresztują parta.

— No, to nie ma co robić.

— Jak to? Trzeba ich wykiwać, i to gładko.

— Cóż mi z tego przyjdzie. Ja wracam do domu, a moje mieszkanie jest znane.

— Jak to, po tym, co się stało, będzie pan miał tupet wrócić do siebie?

— A gdzie mam nocować? pod mostem?

— Ależ do kroćset! Rozumie pan chyba, że wskutek tej historii narobią hałasu piekielnego, a że pan jest już mocno skompromitowany, więc się wszyscy przeciw panu zwrócą!...

— No i cóż?

— Niech pan tę sprawę kantem puści...

— A zabójcy Morningtona i Fauville'ów?

— Policja się nimi zajmie.

— Głupiś, Aleksandrze.

— No niech się pan stanie ponownie Arsenem Lupinem niewidzialnym i nieuchwytnym i niech pan walczy, jak dawniej. Ale na Boga! niech pan nie zostaje w skórze Perenny, bo to zbyt niebezpieczne! Co najważniejsze zaś, niech się pan nie zajmuje oficjalnie sprawami, w których pan nie jest zainteresowany.

— Ja nie jestem zainteresowany? A dwieście milionów? Jeśli Perenna nie utrzyma się mocno na stanowisku, dwieście milionów świśnie mu pod nosem. Przecież to jedyna okazja, żeby zarobić kilka groszy uczciwym sposobem! Gdyby ta zawiodła, byłoby wprost fatalnie.

— A jeśli pana zamkną?

— Nie wezmą mnie, Lupin umarł.

— Cóż z tego, że Lupin umarł, kiedy Perenna żyje...
— Jeśli mnie dziś nie aresztowano, to jestem spokojny;
— Co się odwlecze, to nie uciecze! Rozkazy są wydane. Otoczą dom pański i będą pana strzec dniem i nocą.
— Tym lepiej, będę spał spokojnie.
— Ależ do stu piorunów, na co pan właściwie liczy?
— Na nic nie liczę, Aleksandrze. Pewien tylko jestem najzupełniej, że się nie ośmielią aresztować mnie.
— Weber by się krępował?..
— Kpię sobie z Webera. Bez rozkazów Weber nic mi nie zrobi!
— No to mu dadzą rozkazy!..
— Rozkaz śledzenia mnie — tak, ale nie aresztowania. Prefekt policji tak się względem mnie zaawansował, że musi mnie teraz podtrzymywać. Są jednak inne jeszcze względy: Sprawa ta jest tak niedorzeczna, tak zagmatwana, że z niej nie wybrniecie. I wcześniej czy później przyjdziecie mnie prosić o pomoc. Ja jeden bowiem mógłbym walczyć przeciw takim przeciwnikom. Czekam więc twojej wizyty, Aleksandrze.

Nazajutrz ekspertyza prawna orzekła identyczność znaków na obu jabłkach jak też na tabliczce czekolady. Prócz tego szofer taksometru zeznał, że jakaś pani wezwała go u wyjścia z opery, że się kazała zawieźć wprost do końca alei Henri-Martin i że w tym miejscu wysiadła.

Otóż aleja Henri-Martin była o kilka minut oddalona od willi Fauville'ów. Skonfrontowany z panią Fauville człowiek ten poznał ją bez wahania. Maria Anna Fauville tego samego wieczora nocowała w więzieniu Saint-Lazare.

Tegoż dnia także, kiedy reporterzy wyławiać zaczęli niektóre szczegóły śledztwa, dwa wielkie dzienniki dały jako tytuł swoim artykułom te same wyrazy, których użył don Luis Perenna dla określenia znaków na jabłku, wyrazy złowrogie, a tak dobrze oddające charakter dziki i jakby bestialski tej zbrodni: zęby tygrysa!



ROZDZIAŁ CZWARTY

Żelazna zasłona

Niebywałe wzruszenie wywołała nie tylko we Francji, ale i na całym świecie wiadomość o ohydnej serii popełnionych zbrodni. Jednocześnie prawie, gdyż w dwa dni później, ogłoszona została sprawa testamentu Morningtona, równoczesne więc dowiadywano się o czterech morderstwach. Ta sama osoba z całą pewnością powaliła Kosmę Morningtona, inspektora Verota, inżyniera Fauville'a i syna jego Edmunda. Ta sama osoba zrobiła dwukrotnie identyczny odcisk zębów, zostawiając przeciw sobie przez roztargnienie, które by nazwać można zemstą losu, dowód najwięcej obciążający, dowód dający tłumom jakby dreszcz straszliwej pewności, kto zbrodnię popełnił.

I w najdramatyczniejszej chwili tej ponurej tragedii niezwykła osobistość wyłoniła się z cienia. Oto jakiś bohaterski awanturnik, zdumiewająco inteligentny, rozwiązywał w ciągu kilku godzin poplątane nici intrygi, przeczuwał zamordowanie Kosmy Morningtona, oznajmiał śmierć Verota, brał w ręce kierunek badania, wydawał sprawiedliwości potworną istotę, znaczącą swe zbrodnie zębami tygrysa, otrzymywał nazajutrz czek na milion franków i na zakończenie stawał się prawdopodobnym spadkobiercą ogromnej fortuny.

Arsen Lupin zmartwychwstał!...

Gdyż tłum intuicją wiedziony, nie czekając potwierdzenia tej niewiarygodnej hipotezy owego zmartwychwstania, ogłosił, że don Luis Perenna to nie kto inny jak sławny Arsen Lupin.

Oczywiście byli i tacy, którzy w to wierzyć nie chcieli. Wywiązała się więc polemika dziennikarska. Jednakże reporterzy byli dość dyskretni, unikając zbyt kategorycznych twierdzeń i nie zgłębiając tego, ile z Lupina mogło się kryć pod maską Perenny. Lecz za to, kiedy zaczęto mówić o legioniście i jego pobycie w Maroku, pochwałom nie było końca.

Major d'Astrignac zabrał głos. A za nim inni oficerowie i koledzy Perenny opowiadali, co na własne oczy widzieli. Wydano raporty i rozkazy dzienne, dotyczące się jego. I to, co nazywano „epopeją bohatera”, zamieniło się w złotą księgę, której każda kartka opowiadała najszałeńsze i najnieprawdopodobniejsze czyny.

Tak powstała legenda o bohaterstwie Perenny. Uwydatniała ona nadludzką energię, dzielność niesłychaną, niebywałą fantazję, duch awanturniczy, zręczność fizyczną i zimną krew tej dziwnie tajemniczej osobistości, którą trudno było nie porównać z Arsenem Lupinem, lecz z Arsenem Lupinem jakby większym, uszlachetnionym bohaterskimi czynami, idealniejszym i oczyszczonym w ogniu walki i poświęcenia.

Pewnego ranka, w dwa tygodnie po zabójstwie przy bulwarze Suchet, ów niezwykły człowiek, wywołujący tak gorące zaciekawienia, o którym mówiono jak o jakiejś legendarnej postaci — don Luis Perenna ubrał się i poszedł obejrzeć swój pałacyk.

Był to wygodny i obszerny budynek z XVIII wieku, stojący przy placu Palais-Bourbon, który był kupił wraz z umeblowaniem od bogatego Rumuna, hrabiego Malonesco, zatrzymując też dla swego użytku konie, powozy, auta, liczną służbę, a nawet sekretarkę pannę Levasseur, która się podjęła prowadzić dom i przyjmować gości.

Ukończywszy przegląd stajni i garażu, przeszedł przez dziedziniec pałacu i udał się do swego gabinetu. Otworzywszy okno spojrzął w górę. Ponad nim znajdowało się lustro, ustawione pochyło, w którym odbijała się część placu Palais-Bourbon...

— Do kroćset! — szepnął. — Ci przekłęci policjanci nigdy się stąd nie wyniosą! Dość mam już tego nadzoru!

W złym humorze zasiadł do przejrzenia korespondencji. Listy osobiste darł po przeczytaniu, inne zaś znaczył i odkładał na bok.

Po chwili zadzwonił i kazał prosić pannę Levasseur o przyniesienie dzienników. Była ona poprzednio lektorką u hrabiego rumuńskiego. Perenna zaś wymagał, żeby czytała wszystko, co się jego tyczyło i żeby mu codziennie zdawała ścisłą relację ze śledztwa, prowadzonego przeciw pani Fauville.

Była to osoba jeszcze zupełnie młoda, o eleganckiej i miłej powierzchowności, zawsze czarno ubrana. Rysy jej wyrażały wiele godności, powagi i zastanowienia, poprzez które trudno było dotrzeć do tajników jej duszy i które nadawałyby jej wygląd może zbyt surowy, gdyby nie aureola jasnych włosów, okalająca jej głowę nimbem młodości i światła. Perenna lubił jej głos łagodny i dźwięczny i mocno go intrygowało, co ona myśli o nim i jego tajemniczej przeszłości.

— Czy nie ma nic nowego? — zapytał przeglądając nagłówki artykułów: „Zmiany na Węgrzech”, „Żądania Niemiec” itd.

Panna Levasseur przeczytała mu wiadomości dotyczące się pani Fauville i don Luis przekonał się, że śledztwo nie robi wcale postępów. Maria Anna Fauville trzymała się zawsze tego samego systemu: płakała, oburzała się i twierdziła, że o niczym nie wie..

— Nie widziałem osoby, która by się tak niezręcznie broniła — pomyślał głośno Perenna.

— A jeśli ona jest niewinna?

Po raz pierwszy panna Levasseur wyraziła swoje zdanie, a właściwie tylko swoją uwagę w tej sprawie. Don Luis spojrzął na nią zdziwiony.

— Czyżby ją pani uważała za niewinną?

Można było myśleć chwilę, że odpowie i wytłumaczy myśl swoją. Zdawało się, że zdejmie nareszcie maskę obojętności i pod naporem uczuć nabierze więcej ożywionego wyrazu. Lecz widocznym wysiłkiem woli powstrzymała się i szepnęła tylko:

— Nie wiem..., nie mam żadnego zdania...

— Ma pani jednakże co do tego wątpliwości — odpowiedział Perenna, przyglądając się jej z zaciekawieniem. — Wątpliwości zrozumiałe, gdyby nie ów znak zębów pani Fauville, który, niestety, więcej ma znaczenia niż jej własnoręczny podpis lub zeznanie winy. Toteż dopóki ona nie wytłumaczy tego w sposób zadowalający...

Lecz Maria Anna nie dawała żadnych wyjaśnień. Policja też ze swej strony nie mogła odkryć jej współników, ani owego osobnika o hebanowej lasce, o którym chłopiec z kawiarni „Pont-Neuf” mówił sierżantowi Mazeroux, a którego rola wydawała się mocno podejrzana. Szukano też bezskutecznie śladów Wiktora, tego kuzyna sióstr Roussel, na którego miał przejść spadek po Kosmie Morningtonie w razie wygaśnięcia sukcesorów w prostej linii.

— To wszystko? — zapytał Perenna.

— Nie — odparła sekretarka — jest jeden artykuł w „Echo de France”.

— Tyczący się mnie?

— Zdaje mi się że tak. Zatytułowany jest: „Dlaczego nie aresztują go?”

— Tak, to bez wątpienia o mnie — zaśmiał się Perenna.

Wziąwszy dziennik do ręki czytał artykuł z uwagą:

„Dlaczego nie aresztują go? Czemu przedłużać, wbrew wszelkiej logice, sytuację anormalną, napełniającą zdumieniem porządnymi ludźmi? Jest to pytanie, które sobie

wszyscy zadają, a na które możemy dać odpowiedź dzięki szczęśliwemu trafowi, który kierował naszymi dociekaniem.

W rok po rzekomej śmierci Arsena Lupina władze sądowe odkryły, że Arsen Lupin był to niejaki Floriani, urodzony w Blois, który znikł bez śladu. Zapisano więc w księgach stanu cywilnego na stronie dotyczącej się pana Floriani: Umarł pod nazwą Arsen Lupin.

Wobec tego więc, żeby wskrzesić Arsena Lupina, trzeba by nie tylko mieć niezbite dowody jego egzystencji, ale w dodatku poruszyć najwięcej skomplikowane sprężyny administracyjne i zdobyć rozporządzenie Rady Stanu.

Otóż podobno prezydent rady pan Valenglay zgodnie z prefektem. policji sprzeciwiają się dociekaniom, mogącym wywołać skandal, którego się obawiają w wyższych sferach. Wskrzesić Arsena Lupina? Rozpocząć znów walkę z tym potępieńcem? Narazić się raz jeszcze na porażkę i śmieszność? Nie, po stokroć nie!

I dzięki temu dzieje się ta rzecz niebywała, niedopuszczalna, skandaliczna, że Arsen Lupin, były złodziej, recydywista niepoprawny, król bandytów i włamywaczy, może dziś jawnie prowadzić najstraszliwsze dzieło, na jakie się dotąd pokusił. Mieszkając pod cudzym nazwiskiem, którego mu jednak nikt nie zaprzecza, potrafił bezkarnie zgładzić ze świata cztery osoby, wtrącić do więzienia niewinną kobietę, przeciw której sam nagromadził najfałszywsze dowody i w końcu zagarnie dwustumilionowy spadek po Morningtonie.

Oto haniebna prawda, która musiała raz nareszcie być wypowiedziana. Miejmy nadzieję, że publicznie wyjawiona, wpłynie ona na dalszy przebieg wypadków”.

— Wpłynie ona na wszelki wypadek na losy tego bałwana, który ten artykuł napisał — zaśmiał się don Luis szyderczo.

Pożegnawszy pannę Levasseur, zatelefonował do majora d'Astrignaca.

— Czy przeczytał pan, panie majorze, artykuł w „Echo de France”?

— Czytałem.

— Czy zgodziłby się pan zażądać od autora satysfakcji w moim imieniu?

— Jak to, pojedynek?

— Trzeba, panie majorze. Znudziły mi się te ciągłe napaści. Muszę im buzię zamknąć. Ten zapłaci za wszystkich...

Major d'Astrignac zgodził się być sekundantem Perenny.

Dyrektor dziennika „Echo de France” oświadczył, że chociaż powyższy artykuł został nadesłany bez podpisu i pisany na maszynie, wydrukowany został bez jego wiedzy, przyjmuje jednakże za niego pełną odpowiedzialność.

Tegoż samego dnia o trzeciej po południu don Luis Perenna w towarzystwie majora d'Astrignaca, drugiego oficera i doktora opuszczał samochodem pałacyk swój przy placu Palais-Bourbon.

Tuż za nimi dorożką samochodową jechali tajni agenci mający strzec Perennę. I wszyscy razem przybyli do Parc des Princes, gdzie się miał odbyć pojedynek.

Czekając na przeciwnika hrabia d'Astrignac rzekł Perennie na uboczu:

— Mój kochany, nie pytam się ciebie o nic. Ale powiedz, wiele jest prawdy w tym, co o tobie piszą? Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko? Nic mnie to nie obchodzi. Dla mnie jesteś legionistą Perenną i przeszłość twoja rozpoczyna się w Maroku. To mi wystarcza. Co do przyszłości, to pewien jestem, że cokolwiek by się stało i jakiegokolwiek miałbyś pokusy, potrafisz je opanować i celem twoim pozostanie wyłącznie pomszczenie śmierci Morningtona i opieka nad jego spadkobiercami. Jedna mnie tylko rzecz niepokoi...

— Co takiego, panie majorze?

— Daj mi słowo, że nie zabijesz dziś tego człowieka.

— Słowo, panie majorze.

Przeciwnicy stanęli w umówionej odległości. Po drugim strzale dyrektor „Echo de France” runął, trafiony w pierś.

—To niedobrze, Perenno. Obiecałeś mi przecie... — mruknął d’Astrignac.

— Słowa dotrzymałem, panie majorze.

Przez ten czas doktorzy badali rannego.

— Nic mu nie będzie — rzekł jeden z nich po chwili. — Trzy tygodnie wypoczynku i będzie zdrow. Ale gdyby kula poszła o centymetr wyżej, byłoby źle.

— Tak szepnął Perenna lecz właśnie tego centymetra brakuje...

I znów w asystencji agentów policji powracał don Luis do siebie, kiedy drobny na pozór wypadek zadziwił go mocno, rzucając nieoczekiwane światło na zajście z artykułem w „Echo de France”.

Na dziedzińcu swego pałacu ujrzał Perenna dwoje szczeniąt, bawiących się kłębkami czerwonego szpagatu. Kłębki toczyły się w różne strony rozwijając się coraz bardziej, aż się ukazał zwitek papieru, na który był nakreślony sznurek. Don Luis przechodząc spojrzął na ów papier i widząc, że to jakiś list czy brulion, podniósł go machinalnie i rozprostował.

Rzuciwszy okiem na pierwsze słowa drgnął, rozpoznając początek artykułu umieszczonego w „Echo de France”. Był to ten sam artykuł w całości, ręcznie pisany na kratkowanym papierze, pełen poprawek i przekreśleń. Don Luis zawołał woźnicę, lecz nic się od niego nie zdołał dowiedzieć prócz tego, że papier ów znalazł na śmietniku poprzedniego wieczora.

Perenna prowadził dalej badania, niestety, bez oczekiwanego skutku. Służba, pytana przez niego lub panią Levasseur, zdawała się o niczym nie wiedzieć. Jedno nie ulegało wątpliwości, a mianowicie, iż artykuł powyższy, jak to udowodniał znaleziony brulion, pisany był przez kogoś mieszkającego w pałacu lub też mającego bliższą styczność z jego mieszkańcami.

Wróg był więc na miejscu. Lecz jaki wróg? i do czego dążący? czy szło mu tylko o zaareztowanie Perenny? Przez resztę dnia don Luis był zamyślony, a nawet zaniepokojony otaczającą go tajemnicą. Ciężała mu beczynność oraz groza aresztu, której się nie obawiał wprawdzie, lecz która paraliżowała mu ruchy i uniemożliwiała działanie.

Toteż kiedy koło dziesiątej wieczorem powiedziano mu, że jakiś osobnik, Aleksander, chciał się z nim koniecznie widzieć, i kiedy rozkazawszy go wprowadzić ujrzał Mazeroux przebranego w stary płaszcz — rzucił się ku niemu z radością.

— A co, czy nie mówiłem! Przyszedłeś po mnie! Sami sobie rady dać nie możecie, nieprawdaż? Nie mieliście też tupetu aresztować mnie, bo czyż się zamyka kogoś, kto może być potrzebny? I niewczesne zapaly Webera nic nie działały! No, mówże! czemu milczysz jak mumia? Pewien jestem, że idzie, o tego człowieka z hebanową laską, którego widziano w dniu śmierci Verota?

—Tak, szefie...

— Cóż, odnaleźliście go?

— Prawie... to jest...

— Gadajże nareszcie!

— Kiedy... to trzeba zacząć od początku:

— Zaczynaj prędzej, to prędzej skończysz!

— Zaraz. Otóż szefie, nie tylko chłopak z kawiarni widział wówczas tego człowieka, ale i gość jeden, który był tam równocześnie, zauważył go i słyszał, jak wychodząc pytał przechodnia, gdzie jest najbliższa stacja kolei podziemnej w stronę przedmieścia Neuilly.

—Doskonale! A w Neuilly, szukając na prawo i na lewo, udało wam się go wykryć?

— Dowiedzieliśmy się nawet, jak się nazywa, szefie: Hubert Lautier i mieszka w alei du Roule. Tylko że go tam już nie ma. Znikł przed sześciu miesiącami, zostawiając meble; zabrał tylko dwa kufry ze sobą.

—No a poczta?

— Na poczcie powiedziano nam, że osobnik o podobnej powierzchowności przychodzi mniej więcej raz na tydzień odbierać korespondencję. Dość dawno go jednak nie widziano.

— Czy korespondencja adresowana jest na jego nazwisko?

—Nie, oznaczona jest tylko literami.

— Jakie litery?

— B. R. W. 8.

—Czy to wszystko?

— Z mojej strony wszystko. Lecz jednemu z kolegów udało się stwierdzić na mocy zeznań dwóch policjantów, że facet z laską hebanową o srebrnej ręczce i w binoklach szylkretowych wysiadł na stacji w Auteuil przed północą i skierował się w stronę Ranelaghu właśnie w ową pamiętną noc zamordowania obu Fauville'ów. Przypomina zaś pan sobie pewnie równoczesną obecność pani Fauville w tej stronie oraz okoliczność, że zabójstwo miało miejsce właśnie trochę przed dwunastą. Wnioskuje więc z tego...

— Dosyć, Aleksandrze, zmykaj już.

— Jak to? I nie zobaczymy się?

— Owszem, naznaczam ci schadzkę przed mieszkaniem tajemniczego nieznajomego.

— Jakiego nieznajomego?

— Wspólnika Marii Anny Fauville.

— Przecież nie znamy jego obecnego adresu...

— Jak to, sam mi go tylko co dałeś. Bulwar Richard-Wallace numer ósmy. Idź już i nie rób tak głupiej miny.

Mówiąc to Perenna wypchnął sierżanta za drzwi, sam zaś wyszedł w kilka minut później w towarzystwie nieodstępnych policjantów. Na szczęście udało mu się posiąć ich po drodze. Co uczyniwszy wszedł do auta, i kazał się zawieźć do Neuilly.

Wysiadł w pobliżu bulwaru Richard-Wallace i udał się pieszo na miejsce oznaczonej schadzki. Mazeroux czekał już na niego przed wąskim trzypiętrowym domem, stojącym w głębi podwórza, otoczonego wysokim murem sąsiednich nieruchomości.

— Czy to na pewno numer ósmy? — zapytał don Luis.

— Tak jest, szefie, ale proszę mi wytłumaczyć...

— Czekaj, niech tchu złapię!

Zaczerpnął parę razy powietrza.

— Co za rozkosz znów działać! I móc ścigać nareszcie tych przeklętych bandytów!

Wziąwszy Mazeroux pod ramię rzekł mu:

—Chciałbyś wiedzieć, Aleksandrze, skąd znam ten adres? No to słuchaj i ucz się.

Jeśli ktoś wybiera jakieś litery jako adres dla swej korespondencji, to zwykle nie rządzi się trafem, lecz oznacza takie litery, które by, mając pewne znaczenie, ułatwiały tym samym korespondentowi zapamiętanie takowych.

—W tym więc wypadku?

— W tym wypadku, mój kochany, człowiek, który tak jak ja zna Neuilly i okolice Lasku Bulońskiego, nie może nie zwrócić uwagi na te trzy litery: B. R. W. Szczególnie zaś litera W cudzoziemska, spotykana przeważnie w angielskich wyrazach, musi go uderzyć. Natychmiast więc ujrzałem powyższe litery w porządku logicznym, tworząc

wyrazy znanej mi ulicy: B...ulwar R...ichard-W...allace, które naturalnie oznaczały adres tego pana.

Don Luis, rozmawiając z sierżantem, bacznie zwracał uwagę na dom, naprzeciw którego stali. Nagle zdało mu się, że słyszy jakiś ruch, jakby zamknięcie drzwi. Na dziedzińcu rozległy się czyjeś kroki i zbliżały się ku sztachetom. Po chwili zgrzytnął klucz w zamku furtki i ukazała się jakaś postać w pełnym świetle latarni. :

— Do kroćset! — mruknął Mazeroux — to on.

— Zdaje się, że tak...

— To on, szefie. Proszę spojrzeć na laskę czarną z błyszczącą rączką... i binokle... i broda... Nie ma to jak mój szef!

— Uspokój się i chodźmy za nim.

Tajemniczy osobnik przeszedł przez ulicę i skręcił na bulwar Maillot. Szedł dość szybko z głową do góry wzniesioną, wywijając laską w powietrzu. Przy końcu bulwaru Maillot przeszedł roгатkę, i wszedł do miasta. Stacja kolei obwodowej była w pobliżu. Zawrócił ku niej i wszedł do pociągu idącego do Auteuil.

— To dziwne — rzekł Mazeroux — robi on zupełnie to samo, co przed dwoma tygodniami. W tych stronach właśnie zauważono go.

Nieznajomy szedł wzdłuż fortyfikacji. Po kwadransie był już na bulwarze Suchet niedaleko willi, w której inżynier Fauville z synem zostali zamordowani. Naprzeciw willi zatrzymał się, wszedł na fortyfikację i pozostał tam kilka minut nieruchomo, zwrócony twarzą ku oknom willi.

Po chwili ruszył dalej i przeszedłszy La Miette zagłębił się w ciemnościach Lasku Bulońskiego. Tu don Luis chciał go zaarrestować.

Mazeroux jednak gwałtownie się temu oparł, tłumacząc, że nie ma na to upoważnienia. Wywiązała się ostra dyskusja pomiędzy szefem a byłym podwładnym, zakończona zwycięstwem Mazeroux, którego obowiązkowość i formalistyka wzięły górę.

Perenna wrócił wściekły do domu. Irytował go brak swobody działania i mus stosowania się do przepisów i ludzi tam, gdzie jego zdaniem, jedynym argumentem powinna być pięść.

Nazajutrz rano po przebudzeniu się wzięła go jednak chęć zobaczenia, jak to policja zabierze się do nieznanego z hebanową laską.

— Jeśli ja im nie przyjdę z pomocą, to sobie z nim rady nie dadzą. Nie im się mierzyć z takim przeciwnikiem — szeptał ubierając się.

Właśnie w tej chwili Mazeroux zawołał go do telefonu. Perenna wszedł do kabiny, w której jego poprzednik kazał sobie umieścić telefon. Była to ciemna komórka na pierwszym piętrze, łącząca się z jego gabinetem i nie mająca innego wyjścia. Zapaliwszy elektryczność, wziął słuchawkę do ręki.

— To ty, Aleksandrze?

— Tak, szefie, mówię z winiarni w pobliżu domu na bulwarze Richard-Wallace.

— A nasz facet?

— Ptaszek jest w gniazdku. Ale trzeba się śpieszyć.

— Jak to?

— Ano wybiera się w podróż. Walizka już spakowana.

— Kto wam to mówił?

— Stróżka, która mu usługuje. Weszła do niego właśnie i ma nam otworzyć.

— Czy mieszka sam?

— Tak. Ta kobieta gotuje mu jedzenie i wieczorem odchodzi. Nie odwiedza go nikt, oprócz pewnej zawołowanej pani, która tu była trzy razy, od kiedy on tu mieszka. Stróżka nie potrafiłaby jej jednak poznać. On zaś ma być uczonym, który czas swój spędza wśród książek.

- Czy masz mandat aresztowania go?
- Mam. Zaraz zaczniemy operację.
- Zaczekajcie na mnie. Przylecę w mig.
- To niemożliwe, szefie, gdyż to komisarz Weber nami kieruje. Ale... czy nie słyszał pan ostatniej wiadomości o pani Fauville?
- Nie, nie słyszałem...
- Usiłowała zabić się tej nocy.
- Co, chciała się zabić?

Perenna wydał okrzyk zdumienia, lecz nie mniej zdziwiony był, kiedy usłyszał drugi okrzyk tuż koło siebie. Nie puszczejąc z rąk słuchawki odwrócił się. Panna Leyasseur stała pośrodku gabinetu blada jak ściana z wyrazem głębokiego przerażenia w twarzy. Oczy ich spotkały się. Chciał rozmówić się z nią, lecz ona oddaliła się prędko.

Dlaczego ona mnie tu podsłuchiwała — zastanowił się Perenna — i skąd to przerażenie.

Tymczasem Mazeroux mówił dalej:

- Uprzedzała też, że się zabije. Tylko potrzeba jej było wiele odwagi.
- Lecz jakże to było? — zapytał don Luis.
- Opowiem to panu później. Wołają mnie. Ale proszę tu nie przychodzić, szefie.
- I owszem, przyjdę — odparł stanowczo. — Należy mi się obecność przy pochwyceniu zwierzyny, mnie, który odkryłem jej legowisko. Lecz nie obawiaj się, pozostanę za kulisami.
- No to proszę śpieszyć się, szefie. Idziemy już do ataku.
- Będę natychmiast.

Zawiesił słuchawkę i obrócił się, żeby wyjść z kabiny. Nagle, instynktem zachowawczym wiedziony, odskoczył w głąb do ściany. W chwili, w której miał próg przekroczyć, coś się oberwało jakby ponad jego głową i ciężka żelazna zasłona spadła gwałtownie, oddzielając go od gabinetu. Jedna sekunda jeszcze, a byłby zmiażdżony jej ciężarem. I może nigdy jeszcze Perenna nie odczuł tak silnie grozy niebezpieczeństwa, jak w tej krótkiej chwili.

Zrozumiał też od razu, że zaporą jest nie do przebycia. Była to bowiem zasłona zrobiona z jednego bloku żelaza i szczelnie po obu stronach w mur zachodząca.

Był więc uwięziony. Z prawdziwą furią zaczął walić pięściami przypominając sobie obecność panny Levasseur w gabinecie. Jeśliby nawet już opuściła gabinet, nie mogła być jeszcze daleko. Musiałaby go usłyszeć i przyjść z pomocą.

Nasłuchiwał chwilę. Nic. Zaczął wołać. Żadnej odpowiedzi. Głos jego odbijał się od ścian i sufitu kabiny, w której był zamknięty i miał wrażenie, że pałac wraz ze swymi salonami, korytarzami i schodami pozostawał głuchy na jego wołanie.

Jednakże... panna Levasseur?

- Co to może być — szepnął Perenna. — Co to wszystko znaczy?

Nieruchomy i milczący zastanawiać się zaczął głęboko nad dziwnym zachowaniem się sekretarki. I przyszło mu na myśl pytanie, jakim sposobem tak nieoczekiwanie odskoczył ów niewidzialny mechanizm tych drzwi żelaznych i spadł na niego znienacka.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Człowiek z hebanową laską

Na bulwarze Richard-Wallace komisarz Weber, główny inspektor Aucenis, sierżant Mazeroux, trzech innych inspektorów i komisarz policji z Neuilly stali pod sztachetami numeru ósmego.

Mazeroux patrzył ciągle z niepokojem w stronę alei Madryckiej, skąd miał przyjść don Luis i dziwić się zaczynał, że go jeszcze nie widać, gdyż pół godziny upłynęło od ich telefonicznej rozmowy i Mazeroux nie umiał już znaleźć pretekstu dla opóźnienia zamierzonego działania.

— Czas już rozpocząć — rzekł komisarz policji Weber. — Stróżka dała umówiony znak przez okno, nasz ptaszek już się ubiera.

— Czemu byśmy nie mieli na niego tu zaczekać — zapytał Mazeroux — wzięlibyśmy go od razu.

— A gdyby nam się wymknął jakimś innym wyjściem, którego my nie znamy? — odparł komisarz. — Trzeba się wystrzegać takich bestii i najlepiej je w norze osaczyć.

— Jednakże...

— Co tobie jest, Mazeroux. — zapytał go Weber, odprowadzając go na bok. — Czyż nie widzisz, że nasi ludzie denerwują się? Człowiek ten ich niepokoi. Najlepiej byłoby puścić ich pa niego jak na dziką bestię. A przede wszystkim musimy wszystko załatwić zanim prefekt przybędzie.

— To będzie prefekt?

— Tak, chce się na miejscu o wszystkim przekonać. Cała ta historia ogromnie go interesuje. A więc naprzód! Gotowi jesteście, chłopcy? No to dzwonię.

Dzwonek dał się słyszeć rzeczywiście i natychmiast wybiegła stróżka, aby drzwi otworzyć. Pomimo że był wydany rozkaz zachowania jak największego spokoju, żeby nie spłoszyć przeciwnika, postrach, który wzbudzał, był tak wielki, że agenci policyjni rzucili się hurmem do ataku... W tej chwili okno na drugim piętrze otwarło się i ktoś zapytał:

— Kto tam jest?

Komisarz nie odpowiadał. Dwóch agentów, główny inspektor, podkomisarz i on wpadli do wnętrza domu, podczas gdy pozostali pilnowali wyjścia i uniemożliwiali wszelką ucieczkę.

Spotkanie nastąpiło na pierwszym piętrze. Nieznajomy schodził ze schodów gotów do wyjścia w palcie i kapeluszu na głowie, kiedy komisarz Weber zastąpił mu drogę wołając:

— Stój! ani kroku dalej! Czy to pan jest Hubertem Lautier?

Nieznajomy zmieszał się. Widział pięć rewolwerów, skierowanych lufami ku sobie. Jednakże twarz jego nie wyrażała strachu i zapytał spokojnie:

— Czego panowie sobie życzą? Po cóście tu przyszli?

— Przyszliśmy tu w imię prawa aresztować pana. A oto mandat tyczący się pańskiej osoby.

— Mandat aresztu przeciw mnie!

— Przeciw Hubertowi Lauderowi, zamieszkałemu pod numerem ósmym bulwaru Richard-Wallace.

— Ależ to jest wprost niedorzeczne!... — zawołał. Niewiarygodne!... Z jakiej przyczyny?...

Nie próbował się nawet bronić, kiedy go chwycono za ramiona i pchnięto do niewielkiego pokoju, w którym za całe umeblowanie służyły trzy wyplatane krzesła i stół zawalony książkami.

— Nie ruszać mi się, bo będzie z panem źle! — krzyknął komisarz Weber.

Nieznamy nie protestował. Trzymany za kołnierz przez dwóch policjantów wydał się być zamyślony, jakby starał się zrozumieć tajemniczą przyczynę swego aresztowania. Twarz miał inteligentną z brodą w klin ciemną o rudawym odcieniu, oczy jego szaro-błękitne nabierały chwilami spoza binokli trochę twardego wyrazu. Szerokie ramiona i mocny kark zwiastowały siłę.

— Czy włożyć mu kajdanki, panie komisarzu? — zapytał Mazeroux.

— Za chwilę... Prefekt nadchodzi... Czy przeszukaliście go? Nie ma broni?

— Nie.

— Żadnych flaszek? Nic podejrzanego?

— Nie, nic.

Demalion nadszedł i przypatrując się badawczo więźniowi zaczął półgłosem rozmowę z komisarzem Weberem i kazał sobie opowiedzieć przebieg aresztowania.

— Doskonały interes — rzekł po chwili — to nam ogromnie dopomoże. Teraz, kiedy obu współników mamy, będą musieli gadać i sprawa nareszcie się wyjaśni. Więc mówi pan, że nie stawiał żadnego oporu?

— Żadnego, panie prefekcie.

— Trzeba się mieć jednak na baczności.

Więzień nie wymówił ani słowa. Twarz miał zamyśloną, jak ktoś nie mogący pojąć przyczyny wydarzeń. Jednakże kiedy zrozumiał, że nowo przybyły jest prefektem policji, podniósł głowę i gdy go Demalion zapytał:

— Zbyteczne byłoby chyba tłumaczenie panu przyczyny aresztowania?

Odpowiedział tonem pełnym szacunku:

— Proszę mi wybaczyć, panie prefekcie, ale pragnąłbym właśnie objaśnień w tej sprawie, gdyż o niczym pojęcia nie mam i przypuszczam, że to jakieś nieporozumienie, które jednym słowem da się wyjaśnić.

Prefekt wzruszył ramionami mówiąc:

— Jest pan posądzony o udział w zabójstwie inżyniera Fauville'a i jego syna Edmunda.

— Hipolit nie żyje! — I drżąc nerwowo, głosem zmienionym powtórzył raz jeszcze: — Hipolit zamordowany? Co pan mówi? Czyż to może być?...

Prefekt powtórnie wzruszył ramionami.

— Sam fakt, że pan inżyniera Fauville'a nazywa po imieniu oznacza, że był pan z nim w zażyłych stosunkach. Przypuszczając więc nawet, że pan nie brał udziału w jego zabójstwie, z gazet musiał się pan jednakże o jego śmierci dowiedzieć.

— Kiedy ja nigdy gazet nie czytam, panie prefekcie.

— Jak to? Nie będzie pan chyba twierdził...

— Może to nieprawdopodobne, lecz prawdziwe. Życie prowadzę niezmiernie zajęte studiami naukowymi i badaniami, robionymi w celu wydania dzieła, nad którym już lata pracuję. Nie biorę więc żadnego udziału w życiu zewnętrznym i od wielu miesięcy dziennika w rękę nie miałem. Mam więc prawo twierdzić, że nie wiedziałem o zabójstwie Hipolita Fauville'a. Znałem go kiedyś, lecz później poróżniliśmy się.

— Z jakiej przyczyny?

— Sprawy rodzinne...

— Sprawy rodzinne! Byliście więc spokrewnieni?

— Tak, Hipolit był moim kuzynem.

— Inżynier Fauville był pańskim kuzynem? No, to... w takim razie... Niechże mi pan wyjaśni: pan Fauville i jego żona byli dziećmi dwóch sióstr: Elżbiety i Armandy Roussel. Te dwie siostry wychowywały się razem ze swoim ciotecznym bratem Wiktorem, czy tak?

— Tak jest, Wiktoorem Sauverandem, który następnie ożenił się za granicą i miał dwóch synów. Jeden z nich umarł przed piętnastu laty. Drugim jestem ja.

Demalion drgnął. Wzruszenie jego było widoczne. Jeśli ten człowiek mówił prawdę, jeśli był rzeczywiście synem Wiktora Sauveranda, którego stanu cywilnego policja dotychczas stwierdzić nie zdołała, to był on tym samym ostatecznym spadkobiercą Morningtona, a to wobec śmierci inżyniera Fauville'a i jego syna oraz utraty praw pani Fauville wskutek dowiedzionego zabójstwa.

Lecz jakby aberacją wiedziony dawał on dobrowolnie wszystkie te szczegóły, mogące się obrócić w ciężkie zarzuty przeciw niemu.

— Moje rewelacje zdają się pana dziwić, panie prefekcie. — ciągnął dalej. — Może zdołają wyjaśnić panu pomyłkę, której jestem ofiarą.

Wyrażał się bez zmieszania z wielką uprzejmością i niezwykłą dystynkcją w sposobie mówienia. I nie zdawał się przypuszczać, że jego rewelacje potwierdzają właśnie konieczność powziętych przeciw niemu środków.

Nie odpowiadając na jego pytanie prefekt policji zapytał go:

— Więc pańskie prawdziwe nazwisko jest?

— Gaston Sauverand.

— A dlaczego każe się pan nazywać Hubertem Lautier?

Sauverand zawahał się. Po chwili jednak odrzekł:

— To moja osobista sprawa i policji nic do tego.

Demalion uśmiechnął się.

— To słaby argument. Czy będzie się pan nim też zastawiał, jeśli pana zapytam, czemu się pan kryje, czemu pan opuścił swoje mieszkanie w alei du Roule nie zostawiając adresu i dlaczego odbiera pan korespondencję na poczcie pod umówionymi literami?

— Tak, panie prefekcie, to są wszystko rzeczy prywatne, podlegające tylko memu sumieniu. I pytać mnie pan o nie nie powinien.

— To są właśnie odpowiedzi, którymi ciągle zasłania się pańska współpracowniczka? .

— Moja współpracowniczka?

— Tak, pani Fauville.

— Pani Fauville?

Gaston Sauverand wydał ten okrzyk jak poprzednio, dowiadując się o śmierci inżyniera Fauville'a, tylko tym razem zdumienie i przerażenie było tak wielkie, że mu się twarz zmieniła do niepoznania.

— Co? Co pan mówi?... Maria Anna?... Nie, to nieprawda... to nie może być!...

Demalion nie odpowiedział nawet, tak nierozsądnym wydawało mu się to uparte udawanie nieświadomości we wszystkim, co się tyczyło tragedii bulwaru Suchet. Oszałały z przerażenia Gaston Sauverand szeptał:

— Tak, to prawda... Ona musi być ofiarą tej samej pomyłki, co ja... Może jest już aresztowana. Ona! Ona! Maria Anna w więzieniu!...

Jego wzniesione pięści wygrażały wszystkim nieznanym wrogom, którzy go prześladowali, tym, którzy zamordowali Fauville'a i którzy wydali Marię Annę.

Mazeroux oraz inspektor Aucenis pochwycili go w swoje brutalne ramiona. Sauverand zrobił ruch, jakby chciał napastników odtrącić, lecz trwało to chwilę tylko, po czym padł na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach.

— Cóż to za tajemnica! — jęknął. — Nic nie rozumiem...

I umilkł. Prefekt zwrócił się do Mazeroux.

— Zupełnie ta sama komedia, co z panią Fauville. Tak samo grana i przez równie dobrego aktora. Widać, że są krewnymi.

— Trzeba go się strzec, panie prefekcie. Chwilowo widać, że jest przygnębiony, ale jak się ocknie!...

Komisarz policji Weber, który był wyszedł na chwilę, wrócił właśnie. Demalion spytał go:

— Czy wszystko gotowe?

— Tak, panie prefekcie. Kazałem podjechać taksometrowi pod samą furtkę i stanąć koło pańskiego samochodu.

— Wielu was jest?

— Ośmiu. Dwóch agentów tylko co przybyło z komisariatu.

— Czy przeszukaliście dom?

— Tak. Zresztą dom jest prawie pusty. Są w nim tylko niezbędne meble i w sypialnym pokoju stosy papierów.

— Dobrze. Prowadźcie go z największą ostrożnością.

Gaston Sauverand dał się prowadzić bez oporu i szedł spokojnie za Weberem i Mazeroux, Na progu odwrócił się:

— Panie prefekcie — rzekł — chciałem pana prosić, żeby przy poszukiwaniach nie poniszczono mi papierów. Wiele bowiem nocy nad nimi straciłem i bardzo mi na nich zależy. Prócz tego...

Zawahał się, widocznie zakłopotany.

— Prócz tego? — spytał prefekt.

— Chciałbym panu jeszcze jedną rzecz powiedzieć..., która...

Szukał słów, widocznie obawiając się, żeby za wiele nie powiedzieć. Nagle zdecydował się i rzekł:

— Panie prefekcie, tam są ukryte listy... droższe mi od własnego życia. Listy te, źle zrozumiane, mogłyby może nawet dać broń w ręce moim przeciwnikom. Lecz mniejsza o to... trzeba je koniecznie ocalić! Przekona się pan, że tam są dokumenty niezmiernej wagi... Toteż panu je polecam... tylko panu, panie prefekcie.

— Gdzie one są?

— Kryjówka łatwa jest do znalezienia. Trzeba wejść na poddasze nad moją sypialnią i nacisnąć gwóźdź, znajdujący się na prawo od okna. Gwóźdź ten pozornie jest nieużyteczny, lecz służy właśnie jako zamek sekretny dla kryjówki umieszczonej na zewnątrz pod jedną z dachówek wzdłuż rynny.

Powiedziawszy to ruszył dalej razem z towarzyszącymi mu agentami. Prefekt zatrzymał ich.

— Jeszcze chwilę, proszę... Mazeroux, idź na poddasze i przynieś te listy.

Mazeroux oddalił się, lecz wrócił wkrótce. Nie udało mu się bowiem odkryć tajemniczej kryjówki.

Prefekt rozkazał głównemu inspektorowi Aucenisowi, żeby wraz z Mazeroux i więźniem udali się na poddasze i żeby ten ostatni wskazał im działanie owego mechanizmu. Sam zaś pozostał na miejscu z Weberem, oczekując skutku poszukiwań i przeglądając tymczasem stosy książek, leżących na stole.

Były to dzieła naukowe, pomiędzy którymi zauważył traktat o chemii organicznej oraz o chemii w styczności z elektrycznością. Wszystkie te księgi były pełne zakreśleń i notatek. Demalion wertował właśnie jedną z nich, kiedy mu się wydało, że słyszy jakiś hałas. Skierował się więc szybko ku schodom, lecz nie przeszedł jeszcze przez próg, kiedy dał się słyszeć wystrzał i prawie równocześnie okrzyk bólu, ,

I znów dwa wystrzały, krzyki, odgłosy walki i jeszcze strzały... W kilku skokach, ze zwinnością zdumiewającą jak na człowieka swojej tuszy, prefekt policji wraz z komisarzem Weberem wdarli się na drugie piętro, a stamtąd po wąskich i stromych schodach dostali się na trzecie.

Kiedy znaleźli się na ostatnim zakręcie schodów, z góry spadł im w objęcia ranny Mazeroux. O kilka kroków dalej leżał inspektor Aucenis, nie dający już znaku życia.

W małych drzwiczkach na górze stał Gaston Sauverand z dzikim wyrazem twarzy i wyciągniętą ręką, uzbrojoną w rewolwer. Dał piąty strzał przed siebie na chybił trafił. Ujrawszy jednak Demaliona wycelował w niego.

Prefekt widząc lufę rewolweru skierowaną ku sobie miał się już za zgubionego. Lecz w tej chwili właśnie usłyszał poza sobą strzał. Gastonowi Sauverandowi wypadła broń z ręki zanim zdołał strzelić i prefekt ujrzał jakąś postać, przeskakującą przez sierżanta i inspektora i rzucającą się w kierunku drzwi, poza którymi znikł Sauverand. Agenci pośpieszyli w ślad za nim. Prefekt poznał go.

Był to don Luis Perenna, który swym przybyciem w samą porę uratował mu życie. Don Luis wbiegł na poddasze, gdzie się skrył Sauverand. Lecz zdążył tylko zobaczyć, jak ten ostatni, stanąwszy na brzegu okna, skoczył w przestrzeń z trzeciego piętra.

— Rzucił się stąd! — zawołał prefekt wzburzony. — Nie dostaniemy go już żywym.

— Ani żywym ani umarłym, panie prefekcie. Proszę patrzeć, już wstał. Chyba specjalna opatrność czuwa nad takimi ludźmi.. Już zmyka ku furcie... Ledwo kuleje trochę.

— Gdzie są policjanci?

— Wszyscy są na schodach i w domu, zwabieni strzałami i zajęci opatrywaniem rannych.

I rzeczywiście Gaston Sauverand uciekał, nie spotkawszy nikogo po drodze.

— Złapcie go! na miłość boską! — ryknął Demalion.

Dwa samochody stały wzdłuż chodnika w tym miejscu bardzo szerokiego. Był to samochód prefekta policji i taksometr sprowadzony przez komisarza Webera dla więźnia. Obaj szoferzy siedząc w swych maszynach nie zauważyli walki, która się odbyła w pobliżu. Ale widzieli skok Gastona Sauveranda z trzeciego piętra, toteż szofer prefekta, który miał pod ręką cały stos dowodów rzeczowych, zabranych podczas przeszukiwania domu, pochwycił leżącą na wierzchu laskę hebanową i skoczył odważnie naprzeciw uciekającemu.

— Zatrzymajcie go! — ryczał dalej pan Demalion.

Spotkanie nastąpiło u wyjścia z dziedzińca. Nie trwało jednak długo. Sauverand rzucił się na swego napastnika, wyrwał mu laskę i odskoczywszy w bok złamał mu ją jednym uderzeniem na głowie, po czym, nie wypuszczając rączki od laski, zaczął uciekać, ścigany przez drugiego szofera oraz czterech agentów policji, którzy się nareszcie wyłonili z domu. Wyprzedzał ich jednak co najmniej o trzydzieści kroków. Jeden z policjantów strzelił do niego kilka razy z rewolweru, lecz daremnie.

Demalion schodząc z góry wraz z komisarzem Weberem, zastali w sypialni Gastona Sauveranda na drugim piętrze głównego inspektora Aucenisa, leżącego na łóżku z twarzą trupioblada. Trafiony w głowę konał.

Rana sierżanta Mazeroux była nieznaczna. Podczas kiedy go opatrywano, opowiadał, jak ich Sauverand wyprowadził na poddasze i tam z kieszeni od jakiejś bluzy domowej, wiszącej na gwoździu koło drzwi, wyciągnął szybko rewolwer i strzelił prosto w głównego inspektora, który się zwałił na miejscu. Mazeroux pochwycił go w ramiona, lecz tamten wyrwał mu się i dał i jeszcze trzy strzały, z których ostatni trafił sierżanta w ramię.

Było to rzeczywiście zdarzenie niesłychane, żeby w walce, w której policja rozporządzała całą grupą agentów doświadczonych i w której nieprzyjaciel, ze wszystkich stron osaczony, zdawał się nie mieć żadnej szansy ocalenia, żeby ten ostatni potrafił nadzwyczaj przebiegłym podstępem uprowadzić na bok dwóch przeciwników, obezwładnić ich i umknąć.

Demalion był błądliwy ze wściekłości, i rozpaczy.

— A to nas oszukał!... Jego listy... skrytka... ów gwóźdź rzekomy... wszystko blaga! Zbój! Bandyta!

Wyszedłszy na dziedziniec spotkał jednego z agentów, którzy ścigali zabójcę.

— Cóż się z nim stało? — zapytał gwałtownie prefekt.

— Panie prefekcie, uciekł nam... skręcił w pobliską ulicę, gdzie czekał na niego samochód i tyleśmy go widzieli!

— Czemuście go moim autem nie gonili?

— Zanim szofer puścił w ruch motor, tamci już byli daleko.

— Czy to był prywatny samochód?

— Nie... taksometr.

— No to go odnajdziemy. Szofer sam się zgłosi, jak się z gazet dowie...

Weber wzruszył ramionami powątpiewająco i rzekł: ,

— O ile się nie okaże, że ów szofer jest też współnikiem. A nawet gdyby tak nie było, Sauverand na pewno potrafił zmylić pogoń. Będziemy mieli jeszcze ciężki orzech do zgryzienia, panie prefekcie.

— Tak — szepnął don Luis, który był obecny przy całej rozmowie i został na chwilę sam z sierżantem Mazeroux — łatwo wam z tym nie pójdzie, szczególnie jeśli pozwolicie swoim więźniom tak umykać. A nie mówiłem ci, Aleksandrze, że sami sobie rady nie dacie? Ale swoją drogą co to za bandyta! I on nie jest sam... Zaręczam ci, że ma współników... i to nie dalej jak w moim domu!

Rozpytawszy się Mazeroux o cały przebieg aresztowania i ucieczki Gastona Sauveranda, don Luis wrócił do domu. Badania, które zamierzał przeprowadzić, tyczący się wydarzeń niezwykłych i choć rola Gastona Sauveranda w sprawie sukcesji Morningtona zasługiwała na całą jego uwagę, może więcej jeszcze intrygowało go zachowanie się panny Levasseur.

Perenna nie mógł zapomnieć tego okrzyku zgrozy, który się jej wyrwał na wieść o niedoszłym zamachu samobójczym pani Fauville w czasie telefonicznej rozmowy z Mazeroux.

Don Luis wszedł wprost do swego gabinetu i skierował się ku telefonicznej kabinie. Była to jakby wnęka sklepiona, na dwa metry szeroka i dość niska. Zamknięta była tylko aksamitną kotarą, zwykle podniesioną. Poza kotarą na ścianie don Luis odkrył guzik ruchomy, za pociśnięciem którego spadała owa zasłona żelazna, która go odcięła od świata dwie godziny temu.

Po kilka razy sprawdzał mechanizm i przekonał się, że jest w doskonałym stanie i działa tylko za pociśnięciem. Trzeba więc było przypuścić, że panna Levasseur rozmyślnie spuściła kotarę w celu pozbawienia go życia. Lecz z jakiej przyczyny?...

Chciał już zadzwonić i kazać ją prosić, żeby się z nią nareszcie rozmówić. Lecz nie był zdecydowany. Spojrzał przez okno i ujrzał ją przechodzącą przez dziedziniec. Ruchy jej były powolne i niezwykle harmonijne.

A włosy miały w słońcu blask złota.

Resztę poranka spędził Perenna w domu, leżąc na i kanapie i paląc cygaro. Był w złym usposobieniu, niezadowolony z siebie i z biegu rzeczy. Rwał się do czynu, a tu na każdym kroku natrafiał na przeszkody, przeciwstawiane mu jakąś niewidzialną ręką, lub też czuł się skrępowanym okazywaną mu nieufnością. Kiedy około dwunastej kazał sobie podać śniadanie, wszedł do kabiny kamerdyner z tacą w ręku i zawołał wzburzony:

— Proszę pana — prefekt policji przyjechał.

— Co mówisz? prefekt policji? Gdzież on jest?

— Na dole. Nie wiedziałem sam... chciałem uprzedzić pannę Levasseur. Lecz...

— Pewien jesteś, że to prefekt?

— Oto jest karta, proszę pana.

Perenna wziął podaną mu kartę i przeczytał:

Gustave Demalion

Don Luis zbliżył się do okna, otworzył je i za pomocą umieszczonego lustra obserwował przez chwilę plac Palais-Bourbon. Z pół tuzina jakichś osobistości spacerowało przed domem, Perenna poznał ich. Byli to ci sami tajni agenci.

— Nie ma ich więcej niż zwykle — powiedział sobie Perenna. — Prefekt ma widocznie przyjazne względem mnie zamiary. Przewidywałem to wprawdzie. Dobrze się też stało, że mu życie uratowałem.

Demalion wszedł nie mówiąc ani słowa. Skłonił tylko lekko głowę. Weber, który mu towarzyszył, nie starał się nawet ukrywać uczucia, które mógł w nim wzbudzać człowiek w rodzaju Perenny...

Don Luis udał, że tego nie zauważył, lecz w zamian ostentacyjnie jeden tylko fotel podsunął prefektowi. Lecz Demalion zaczął chodzić po pokoju, jakby chcąc się dobrze namyślić, zanim miał przemówić.

Milczenie przedłużało się. Don Luis czekał spokojnie, Nagle prefekt zatrzymał się i zapytał:

— Czy Z bulwaru Richard-Wallace wrócił pan wprost do domu?

— Tak, panie prefekcie — odparł don Luis.

— Wprost tu, do gabinetu?

— Tak, wprost do gabinetu.

Demalion po chwili namysłu ciągnął dalej:

— Ja zaś wyjechałem stamtąd trzydzieści do czterdziestu minut po panu i udałem się wprost do prefektury, gdzie otrzymałem ten list, nadany pocztą pneumatyczną, który pan może przeczytać. Jak pan widzi, nadany był w okręgu giełdy o godzinie pół do dziesiątej.

Don Luis wziął podany list i przeczytał, co następuje:

„Uprzedzamy pana, że Gaston Sauverand po swojej ucieczce udał się do swego wspólnika Perenny, który, jak panu wiadomo, jest nie kim innym jak Arsenem Lupinem. Arsen Lupin wskazał panu poprzednio adres Gastona Sauveranda w zamiarze pozbycia się go i zawładnięcia spadkiem Morningtona. Dziś rano jednak pogodzili się i Arsen Lupin wskazał Gastonowi Sauverandowi bezpieczną kryjówkę. Przy czym łatwo panu będzie sprawdzić to, że są w zmowie, gdyż Sauverand przez ostrożność powierzył Arsenowi złamaną rączkę od laski, którą w ucieczce przy sobie zatrzymał. Znajdzie pan ją ukrytą pod poduszkami na otomanie, stojącej pomiędzy oknami w gabinecie pana Perenny”.

Don Luis wzruszył ramionami. List był wprost niedorzeczny, gdyż od swego powrotu do domu nie widział nikogo i nie opuszczał wcale gabinetu. Złożył go spokojnie i oddał prefektowi, nie mówiąc nic na swe usprawiedliwienie.

Prefekt zapytał go:

— Co pan ma do powiedzenia na te zarzuty?

— Nic, panie prefekcie.

— Przyzna pan, że są wyraźne i łatwe do sprawdzenia.

— Niechże je pan sprawdzi, panie prefekcie, Otomana stoi tam pomiędzy oknami.

Demalion zatrzymał się kilka sekund, po czym zbliżył się do otomany i podniósł poduszki...

Pod jedną z nich leżała srebrna rączka od laski.

Don Luis nie mógł powstrzymać gestu zdumienia i irytacji. Am chwili nie przypuszczał takiej ewentualności. Jednakże opanował się zaraz. Ostatecznie nic nie dowodziło, że była to rzeczywiście rączka od złamanej laski Sauveranda.

— Mam tu drugą połowę tej laski — rzekł prefekt. — Komisarz Weber podniósł ją na bulwarze Richard-Wallace.

I wydobył z wewnętrznej kieszeni palta odłamaną część hebanowej laski. Obie połowy pasowały do siebie doskonale.

Zapanowało znów milczenie. Perenna był zmieszany tym nieoczekiwanym zajściem. I nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Gaston Sauverand zdołał w tak krótkim czasie dostać się do jego mieszkania. Trzeba było przypuścić, że miał współnika na miejscu... Lecz kogo?

Tym razem nie wykręcę się — pomyślał Perenna. Udało mi się poprzednio z owym turkusem pani Fauville, lecz Demalion nigdy nie uwierzy, że Sauverand, również jak pani Fauville chcąc mnie z drogi usunąć, stara się skompromitować mnie ostatecznie i doprowadzić do zaareztowania.

— No i cóż! — zawołał prefekt zniecierpliwiony — niechże się pan wytłumaczy.

— Nie, panie prefekcie, nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie...

Prefekt tupnął nogą zniecierpliwiony,

— Jeśli tak... jeśli się pan przyznaje... w takim razie...

I zbliżył się do okna, jakby je chciał otworzyć. Chwila jeszcze... jedno gwizdnięcie... i agenci wpadną...

— Czy mam kazać zawołać inspektora policji, panie prefekcie? — zapytał don Luis spokojnie.

Demalion nie odpowiedział. Oddalił się od okna i zaczął znowu chodzić po pokoju. Nagle, kiedy Perenna gubił się w domysłach, nie rozumiejąc przyczyny jego wahania, prefekt zatrzymał się naprzeciw niego i zapytał znienacka:

— A gdybym uważał dzisiejsze zdarzenie za niebyłe? Albo raczej gdybym je uważał jako dowód niezaprzeczony zdrady ze strony pańskiej służby, nie mogący w żadnym razie skompromitować pana? Gdybym, przez wzgląd na oddane nam już przez pana usługi pozostawił pana na wolności?...

Perenna nie mógł powstrzymać uśmiechu. Pomimo zdarzenia z hebanową laską, w chwili, w której wszystko zdawało się świadczyć przeciw niemu, bieg rzeczy jednakże zwracał się w kierunku przewidzianym z góry przez niego. W kierunku, o którym mówił sierżantowi Mazeroux na początku śledztwa w sprawie Fauville'a. Krótko mówiąc: potrzebowano go.

— Pozostawiłby mi pan wolność zupełną? Żadnego nadzoru?...

— Żadnego.

— A jeśli prasa będzie w dalszym ciągu prowadzić przeciw mnie kampanię? Jeśli na podstawie oszczerstw i plotek zażądam mego aresztowania?

— To ich nie usłuchamy.

— Nie mam się więc czego obawiać?

— Absolutnie niczego!

— I nawet pan Weber wyzbędzie się swych uprzedzeń do mnie?

— Przynajmniej będzie postępował tak, jakby się ich wyzbył. Nieprawdaż, Weber?

Komisarz mruknął coś, co można było przyjąć za potakiwanie. Perenna zaś zawołał:

— W takim razie, panie prefekcie, pewien jestem zwycięstwa. I sprawiedliwości stanie się zadość.

Sytuacja zmieniła się najniespodziewaniej i policja sama skłaniała głowę przed wyjątkowymi zdolnościami don Luisa Perenny, uznając wszystko, co działał dotychczas i przewidując, co jeszcze uczyni, prosiła go o pomoc, powierzając mu jakby kierownictwo dalszych działań.

Był to hołd dla Perenny niezmiernie pochlebny. Czy zwracał się on jednak w stronę don Luisa Perenny? Czy groźny i nieposkromiony Arsen Lupin nie miałby prawa upomnieć się o swoją cząstkę odniesionego zwycięstwa? Czy można było

uwierzyć, że Demalion w głębi duszy nie przypuszczał tożsamości tych dwóch postaci?...

Nic jednak w zachowaniu prefekta nie zdradzało jego myśli. Pozornie proponował Perennie układ taki, jakiego policja często zmuszona jest robić dla łatwiejszego osiągnięcia celu.

— Czy nie potrzebuje pan żadnych wyjaśnień? — zapytał prefekt Perenny.

— I owszem, panie prefekcie. Dzienniki mówiły o jakimś notesie, znalezionym w jednej z kieszeni tego biednego Verota. Czy ów notes nie zawierał żadnych wskazówek?

— Nie, żadnych. Jakieś osobiste notatki i cyfry tylko. Ale... ale... zapomniałem... była w nim fotografia kobiety, o której dotychczas nic się dowiedzieć nie mogłem... Wątpię jednak, żeby to miało coś wspólnego ze sprawą, toteż nie zakomunikowałem tego dziennikom. Zaraz ją panu pokażę.

Demalion wyjął z portfela fotografię i podał ją Perennie, który spojrzawszy na nią drgnął. Nie uszło to uwagi prefekta.

— Czy zna pan tę kobietę?

— Nie... panie prefekcie, w pierwszej chwili zdawało mi się... lecz nie... tylko lekkie podobieństwo rodzinne, o czym łatwo bym się mógł przekonać, gdyby mi pan zechciał zostawić tę fotografię do wieczora...

— Chętnie zostawię ją panu, z tym że ją pan dziś wieczorem odda sierżantowi Mazeroux, któremu zresztą rozkażę, żeby działał tylko w porozumieniu z panem we wszystkim, co się tyczy sprawy Morningtona.

Na tym zakończyła się rozmowa. Don Luis odprowadził prefekta do hallu. Na progu Demalion zwrócił się do Perenny i rzekł mu z prostotą:

— Uratował mi pan dziś rano życie. Gdyby nie pan, ten bandyta Šauverand...

— Ależ panie prefekcie... — zaprotestował don Luis.

— Tak, ja wiem, dla pana to są rzeczy zwykłe. Pozwoli pan sobie jednakże wyrazić moją wdzięczność...

I prefekt policji skłonił się, jakby się rzeczywiście kłaniał don Luisowi Perennie, szlachcicowi hiszpańskiemu i bohaterskiemu legioniście. Za to Weber, włożywszy obie ręce do kieszeni przeszedł z miną psa na uwięzi, rzucając przeciwnikowi spojrzenie pełne nienawiści.

— No pomyślał Perenna — ten mi nie daruje, jeśli mu się kiedy nadarzy sposobność!

Z okna ujrzał odjeżdżający samochód Demaliona. Za nim podążyli tajni agenci. Oblężenie skończyło się...

— Teraz bierzemy się do roboty! — zawołał don Luis. — Nic mi już ruchów nie krępuje. Będziemy działać!

Zadzwoił do kamerdynera i kazał sobie podać śniadanie, opóźnione wizytą prefekta. Równocześnie uprzedził pannę Levasseur, że chce się z nią po śniadaniu rozmówić.

Poszedł do sali jadalnej i usiadłszy przy stole położył przed sobą fotografię zostawioną mu przez Demaliona. Wpatrywał się w nią badawczo. Była trochę wyblakła i zniszczona, jak fotografie noszone dłuższy czas w portfelach wśród innych papierów, lecz obraz pozostawał zupełnie wyraźny. Był to promienny wizerunek młodej kobiety w balowej sukni, o obnażonych ramionach, z kwiatami we włosach i czarującym uśmiechem na ustach.

— Czyżby to była panna Levasseur? — szepnął do siebie.

Na dole w rogu widniały jeszcze starte litery. Odczytał je: Flora. Jej imię widocznie. Powtórzył raz jeszcze:

— Florencja Levasseur... Ale jakim sposobem fotografia jej mogła się znaleźć w portfelu Verota? I co ją może łączyć z tą całą historią?

Przypomniał sobie zdarzenie z żelazną zasłoną, a także z artykułem w „Echo de France”, którego brulion znalazł na własnym dziedzińcu i to ostatnie, niezrozumiałe wydarzenie z rączką od laski, ukrytą w jego gabinecie.

I podczas kiedy myśl jego starała się przejrzeć wszystkie te wypadki i określić w nich rolę panny Levasseur, oczy jego błędziły po fotografii, mimo woli podziwiała ładny rysunek ust, wdzięk uśmiechu i śliczną linię ramion i szyi.

Nagle drzwi się otwały i weszła panna Levasseur. W tej chwili właśnie Perenna podniósł do ust szklankę z wodą, którą sobie przed chwilą nalał. Panna Levasseur rzuciła się ku niemu i wytrąciła mu z rąk szklankę, która upadła na dywan i rozbiła się.

— Czy się pan napił tej wody? — zapytała zdławionym głosem.

— Nie — odparł Perenna. — Dlaczego?

— Bo woda w tej karafce... jest zatruta... — wyjąkała sekretarka.

— Zatruta? Co pani mówi? Czy pani wie na pewno? Pomimo zwykłego panowania nad sobą był naprawdę przerażony. Znał już działanie straszliwej trucizny, używanej przez bandytów, z którymi walczył. Widział trupy Verota i Fauville'ów i rozumiał, że choć organizm jego był przyzwyczajony do zażywania różnych trucizn w dość znacznych dawkach, nie oparłby się jednak piorunującemu działaniu tej właśnie trucizny. Gdyż ta zabijała niechybnie.

Panna Levasseur milczała.

— Niechże pani odpowie! — rozkazał Perenna. — Czy jest pani pewna?

— Nie... wydało mi się tylko... pewien zbieg okoliczności... przecucie może...

Zdawała się żałować słów wypowiedzianych i pragnęła je odwołać.

— Łatwo nam będzie przekonać się o tym — powiedział Perenna, sięgając ręką po karafkę.

Ona jednak uprzedziła go i błyskawicznym ruchem chwyciwszy karafkę, jednym uderzeniem o stół rozbiła ją.

— Co pani robi? — krzyknął Perenna gwałtownie.

— Mówię panu, że się pomyliłam, nie trzeba więc przywiązywać znaczenia...

Don Luis wyszedł szybko z sali jadalnej. Woda do picia brana była zawsze według jego rozkazu z filtra, stojącego w korytarzu, prowadzącym do kuchni. Perenna tam się skierował i wzięwszy miskę z pobliskiej półki, nalał w nią wody z filtra. Następnie, idąc dalej korytarzem, który zawracał w tym miejscu, wyszedł na dziedziniec. Opoдал bawiła się Mirza, suczka woźnicy. Don Luis przywołał ją i podał jej naczynie z wodą. Mirza zaczęła chleptać, lecz prawie natychmiast przestała pić i jakby zdrętwiała. Wstrząsnął nią silny dreszcz. Wydała jakiś jęk ochryply, zakręciła się dwa razy na miejscu i padła.

— Nie żyje — powiedział don Luis dotknąwszy jej.

Panna Levasseur stała w pobliżu. Perenna zwrócił się do niej gwałtownie:

— A więc woda była zatruta... I pani wiedziała o tym... Ale skąd pani wiedziała?...

Zmęczona jeszcze szybkim krokiem, powstrzymując ręką silne bicie serca odrzekła:

— Widziałam przed chwilą pieska, który się napił wody i padł nieżywy. Uprzedziłam więc szofera i woźnicę, którzy tu są w stajni i pobiegłam panu powiedzieć...

— Nie było więc żadnej wątpliwości. Dlaczego pani w takim razie twierdziła, że pani nie wie?

Szofer i woźnica wyszli ze stajni. Perenna skierował pannę Levasseur ku domowi, mówiąc:

— Muszę się z panią rozmówić. Chodźmy do mieszkania pani.

Weszli na korytarz, który na zakręcie w okolicy filtra łączył się z drugim korytarzem, wiodącym do mieszkania panny Levasseur. Perenna otworzył drzwi. Przez niewielki przedpokój, weszli do salonu. Po czym don Luis zamknął szczelnie drzwi jedne i drugie.

— A teraz niech się pani tłumaczy — rzekł tonem stanowczym.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ósmy tom Shakespeare'a

Pałac na placu Palais-Bourbon miał dwa skrzydła zakończone pawilonami. W jednym skrzydle mieściły się wozownie, siodlarnie, garaż i mieszkanie odźwiernego. W drugim kredens, pralnia, kuchnia i na końcu w pawilonie mieszkanie panny Levasseur.

To ostatnie położone było na parterze i składało, się z ciemnego przedpokoju i dużego pokoju, którego główna część służyła za salon, w głębi zaś alkowa oddzielona kotarą mieściła łóżko i toaletę. Dwa duże okna wychodziły na plac Palais-Bourbon.

Don Luis po raz pierwszy wchodził do mieszkania panny Levasseur. I choć był bardzo zaabsorbowany ostatnimi zdarzeniami, doznał jednakże miłego wrażenia. Meble były proste, bez pretensji, stare fotele i krzesła mahoniowe, biurko w stylu empire, bez brązów, stolik na grubych nogach masywnych i półki z książkami tworzyły całe umeblowanie. Lecz jasne, kolorowe firanki płócienne rozweselały pokój. Na ścianach wisiły reprodukcje obrazów i widoki słonecznych miast włoskich.

Panna Levasseur stała, czekając na zapowiedziane wyjaśnienia. Odzyskała zimną krew, twarz jej przybrała znów swój zwykły, tajemniczy wyraz chłodny i obojętny, pod którym Perenna domyślał się całej głębi uczuciowości, opanowanej niezwykle siłą woli.

Spojrzenie jej nie było ani niespokojne ani wyzywające. Można było rzeczywiście pomyśleć, że się nie obawia żadnych tłumaczeń.

Don Luis milczał długą chwilę. Irytowała go świadomość, że wobec tej kobiety, zasługującej w jego mniemaniu na najcięższe zarzuty, czuł się zakłopotany. Nie mając odwagi jasno postawić kwestii zapytał:

— Wie pani zapewne o tym, co się dziś rano stało.

— Dziś rano?

— Tak, podczas kiedy telefonowałem.

— Dowiedziałam się niedawno od służby, mówił mi kamerdyner...

— Dopiero od służby dowiedziała się pani?

— A jakże inaczej mogłabym o tym wiedzieć?

Kłamała najwidoczniej. Lecz mówiła to dziwnie spokojnym głosem.

— Oto więc w kilku słowach co zaszło — ciągnął dalej don Luis. — Wychodziłem właśnie z kabiny telefonicznej, kiedy żelazna zasłona, ukryta w murze u góry, opadła tuż przede mną. Przekonawszy się, że o własnych siłach spoza niej się nie wydostanę,

skorzystałem z telefonu, żeby wezwać pomocy. Major d'Astrignac, do którego się zwróciłem, przybył tu natychmiast i wraz z kamerdynerem uwolnił mnie.

— Tak mi to też opowiadano. Nie wiedziałam nic o tym zajściu ani o bytności majora d'Astrignaca, gdyż byłam właśnie w swoim pokoju.

— Jednakże wiedziała pani, jako i służba cała, o istnieniu owej żelaznej zasłony.

— Wiedziałam.

— Od kogo?

— Od barona Maloriesco. Opowiadał mi kiedyś, że w czasie rewolucji jego prababka, która zamieszkiwała wówczas ten pałac i której mąż został ścięty na szafocie, spędziła w tej kryjówce trzynaście miesięcy. Lecz za owych czasów zasłona ta była pokryta boazerią, tak jak i reszta pokoju.

— Szkoda tylko, że ja nie byłem o niczym powiadomiony. Gdyby nieszczęśliwy traf, który mnie ocalił, byłbym zdruzgotany na miejscu.

— Trzeba będzie zrewidować mechanizm i przekonać się, jaka mogła być przyczyna opadnięcia zasłony — rzekła panna Levasseur z niewzruszonym spokojem.

— Mechanizm działa doskonale. Sprawdziłem to osobiście. Nie mogło to więc być przypadkowe.

— Jeśli zaś nie przypadek, to co?

— Jakiś ukryty wróg...

— Widziano by go przecież.

— Jedna tylko osoba mogła go widzieć, a tą osobą jest pani. Była pani bowiem w moim gabinecie w czasie mojej telefonicznej rozmowy z Mazeroux i słyszałem pani okrzyk przerażenia na wieść o niedoszłym samobójstwie pani Fauville.

— Tak, wiadomość ta ogromnie mnie wzruszyła. Serdecznie mi żał tej kobiety niezależnie od tego, czy jest winna lub nie.

— A ponieważ znajdowała się pani tuż koło arkady w pobliżu owego mechanizmu, obecność złooczyńcy nie uszłaby pani uwagi.

Nie spuściła wzroku. Może tylko lekki rumieniec oblał jej policzki.

— Na wszelki wypadek byłabym go spotkała po drodze, gdyż jak się okazuje, opuściłam gabinet na parę sekund przed tym wypadkiem.

— Ale jeszcze dziwniejsze, że pani nie słyszała hałasu opadającej zasłony, ani też wołania i rumoru, który robiłem w nadziei przywołania kogoś na ratunek.

— Wychodząc z gabinetu drzwi zamknęłam za sobą, tak że nic nie słyszałam.

— W takim razie przypuścić trzeba, że był tu ktoś w gabinecie ukryty. Ktoś, kto ma stosunki wśród mojej służby, a jest zarazem współnikiem bandytów, którzy dokonali morderstwa przy bulwarze Suchet. Bo właśnie prefekt znalazł w moim gabinecie części laski, należącej do jednego z nich.

Ta ostatnia wiadomość zdziwiła ogromnie pannę Levasseur. Widocznie była jej zupełnie nieznaną. Perenna zbliżył się do niej i patrząc jej w oczy powiedział z naciskiem:

— Proszę przyznać, że jest to co najmniej dziwne.

— Że co jest dziwne?

— Cały ten szereg wypadków skierowanych przeciwko mnie. Wczoraj ten brulion listu znaleziony na dziedzińcu, a który był brulionem artykułu w „Echo de France”! Dziś rano opadnięcie kurtyny w chwili właśnie, kiedy pod nią przejść miałem. Następnie ukrycie laski tego bandyty na mojej kanapie... a teraz jeszcze karafka wody zatrutej...

— Tak... tak... — szeptała — jest to rzeczywiście szereg wydarzeń...

— Nie pozwalający wątpić, że jest kierowany przez mego najstraszliwszego wroga — dokończył Perenna. — Jego cel widoczny. Za pomocą artykułu i laski chciał mnie skompromitować i doprowadzić do tego, żeby mnie aresztowano. Opuszczeniem

zasłony żelaznej dążył do zabicia mnie lub co najmniej uwięzienia na kilka godzin. Teraz przysłała kolej na truciznę, podstępnie wsypaną do wody i której jutro dodadzą mi do innych potraw. A potem będzie sztylet, kula z rewolweru lub sznur, który dusi... Wszystko jedno co, byle się mnie pozbyć. Jestem przeciwnikiem, którego się boją, który wcześniej czy później odkryje całą sprawę i weźmie miliony, na które oni ostrzą sobie zęby... Oni stoją na straży spadku Morningtona. Na mnie więc kolej. Cztery ofiary już padły. Ja będę piątym... Tak postanowił Gaston Sauverand lub inny, który kieruje tą sprawą. A współnik ich jest tu, w moim pałacu, u mego boku. Czyha na mnie... Żyje w cieniu moim i czeka sposobnej chwili... Dość tego mam, do kroćset! Chcę i dowiem się kto to jest!...

Panna Levasseur cofnęła się o parę kroków i oparła o stół. Perenna postąpił ku niej i nie spuszczać z niej oka szukał na jej nieporuszonej twarzy bodaj najlżejszej oznaki zmieszania lub niepokoju. Powtórzył potem gwałtownie:

— Kto jest tym współnikiem? Kto mi śmierć poprzysiągł?

— Ja nie wiem... nie wiem... — odparła. — Może to nie żadna zmowa, jak się to panu wydaje, lecz przypadkowy zbieg okoliczności.

Don Luis miał ochotę krzyknąć: „Kłamiesz! tym ich współnikiem ty jesteś! Ty jedna mogłaś to wszystko podstępnie uczynić! To ty zabić mnie pragniesz! I ta ręka grożąca mi w ciemności jest twoją ręką!”

Lecz nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie tych wszystkich zarzutów. Bezwiednie tylko chwycił jej rękę i miażdżył jej palce w uścisku. Panna Levasseur wyrwała mu rękę szybkim gestem, w którym wyczuć można było jakby bunt i nienawiść. Perenna opanował się i rzekł:

— Dobrze więc, wypytam jeszcze służbę i w razie danym odprawię tych, którzy mi się wydadzą podejrzani.

— Ależ nie! Niech pan tego nie robi. Ja ich znam wszystkich.

Czyżby ich chciała bronić? Czy przemówiło w niej sumienie w chwili, w której przez swoją dwulicowość i upór narażała ludzi, o których uczciwości była przekonana? Don Luis miał wrażenie, że w jej oczach wyczytał prośbę o litość. Lecz o litość dla kogo? dla nich czy dla siebie?

Milczeli długą chwilę. Don Luis, stojąc o kilka kroków od niej, myślał o fotografii znalezionej w portfelu Verota. I ze zdumieniem odnajdywał w stojącej opodal kobiecie piękność tamtego wizerunku, piękność, której dotychczas nie zauważył, a która uderzyła go w tej chwili jak objawienie. Jej złote włosy lśniły nieznanym mu dotąd blaskiem. Usta miały wprawdzie wyraz mniej radosny, może nawet trochę zgorzkniały, lecz pomimo tego zachowały formę uśmiechu. Owal twarzy, rysunek szyi i ramion, ręce oparte na kolanach, wszystko to było pełne wdzięku i tchnęło łagodnością i jakby wielką prostotą i szczerością. Czyż ta kobieta mogła być zbrodniarką i trucicielką?...

— Nie pamiętam, jakie mi pani imię podała jako swoje, lecz to nie było prawdziwe — powiedział jej don Luis.

Ależ owszem... Marta. Nazywam się Marta — odparła żywo.

— Nie, pani imię jest Flora. Florencja Levasseur...

Ona drgnęła.

— Co? Kto panu powiedział? Flora... Skąd pan wie?

— Oto pani fotografia i imię trochę zatarte.

— Ach! — zawołała zdumiona, patrząc na portret. — To nie do uwierzenia! Skąd to się wzięło? Gdzie to pan znalazł?

Nagle dodała:

— To prefekt policji musiał ją panu dać, nieprawdaż? Tak... to on... jestem tego pewna... Jestem pewna, że ta fotografia służy policji jako opis mojej osoby... i że mnie poszukują... Mnie także... I to za pańską przyczyną... Wszędzie, zawsze pan...

— Niech się pani nie obawia — rzekł Perenna. — Wystarczy zrobić kilka kresek na tej odbitce, żeby ją uczynić zupełnie niepodobną... Ja to zrobię... Może się pani nie obawiać.

Ona jednak nie słuchała, tak zapatrzona była w fotografię.

— Miałam lat dwadzieścia... — szeptała. — Mieszkałam we Włoszech... Boże! jaka ja byłam szczęśliwa wówczas! I tak się cieszyłam tą fotografią! Czułam się piękna... A potem ktoś mi ją ukradł...

I ciszej jeszcze wymówiła swe imię, jakby zwracając się do innej, drogiej i nieszczęśliwej istoty:

— Flora...

I łzy płynęły jej po twarzy.

Ta kobieta nie byłaby zdolna zabić — powiedział sobie Perenna. To nawet niemożliwe, żeby w zмовie była z tymi bandytami... A jednak...

Oddalił się od niej i począł chodzić po pokoju. Przypatrywał się widokom włoskim na ścianach. Następnie oglądał książki na półce i odczytywał tytuły. Były to różne wybitne dzieła literatury francuskiej i obcej, świadczące o rozległej i różnorodnej kulturze właścicielki. Racine stał koło Dantego, dalej Stendhal i Edgar Poe.

Montaignę zaś znajdował się między Goethem i Wergiliuszem. Nagle uwagę jego zwrócił jeden tom Shakespeare'a, który mu się wydał inny niż tamte. Grzbiet oprawny w czerwoną szagrynową skórę zdawał się trochę sztywniejszy, bez tych załamań i fałd, które oznaczają zużycie książki.

Był to ósmy tom. Perenna dyskretnie wziął go do ręki. Przekonał się, że miał rację. Książka była fałszywa, a właściwie było. to pudełko w formie książki, mogące służyć za doskonałą skrytkę. Był w nim papier listowy i koperty i prócz tego kartki papieru kratkowanego, jakby wyrwane z blok-notesu.

Wygląd tych kartek uderzył go. Przypomniały mu brulion artykułu, znalezione na dziedzińcu. Ten sam rozmiar papieru i tej samej, wielkości kratka. Podniósł kilka ćwiartek jedne po drugich i ujrzał na przedostatniej jakieś notatki, pisane naprędce ołówkiem. Przeczytał:

„Villa przy bulwarze Suchet.

Pierwszy list. W nocy z 15 kwietnia na 16.

Drugi. W nocy z 25 kwietnia na 26.

Trzeci i czwarty. W nocy 5 maja i 16 maja.

Piąty list oraz wybuch. W nocy 25 maja”.

Zwróciło jego uwagę przede wszystkim to, że pierwszy list nosił datę nadchodzącej nocy. Następnie, że pomiędzy jednym a drugim listem była zawsze 10-dniowa przerwa. Przy czym uderzyło go podobieństwo pisma notatki z pismem brulionu artykułu „Echo de France”.

Brulion ten miał w portfelu. Chcąc więc sprawdzić charakter pisma oraz wygląd papieru, sięgnął do kieszeni po portfel. Brulionu w nim nie było.

— Psiakrew! — zaklął z wściekłością.

I równocześnie przypomniał sobie, że kiedy rano telefonował do Mazeroux, portfel jego znajdował się w kieszeni palta leżącego na krześle w gabinecie, opodal telefonicznej kabiny. W tej chwili właśnie panna Levasseur z niewiadomej przyczyny przechodziła przez gabinet.

— Ależ to komediantka! — powiedział do siebie Perenna, zirytowany — łzy jej i rozczulające wspomnienia — wszystko to oszukaństwo i błaga! Z tej samej rasy

dziewczyna co pani Fauville i Gaston Sauverand, jak oni fałszywa i komediantka do szpiku kości w najdrobniejszych ruchach i dźwięku głosu tchnącego niewinnością!

Tym razem dowód był niezbity. Widocznie w obawie śledztwa, które by mogło aż do niej dotrzeć, wolała nie zostawiać brulionu artykułu w ręku swego przeciwnika. I jakże wątpić w takim razie, że to ona była współniczką bandytów, prowadzących sprawę Morningtona i pragnących się go pozbyć? I kto wie nawet, czy to nie ona przewodniczyła tej bandzie zbrodniarzy czy nie brała czynnego udziału w morderstwie Fauville'ów — czy nie jej ręką została im trucizna wstrzyknięta?

Don Luis drgnął patrząc na jej ładne szczupłe ręce. Znalezioną notatkę złożył z powrotem do książki i książkę wsunął na dawne miejsce. Następnie zbliżył się do panny Levasseur i rzekł jej tonem kategorycznym;

— Życzę sobie, żeby cała służba została dziś zapłacona. Ureguluje pani ich pensje i zapłaci im odszkodowanie, jakiego zażądatają. Dziś jeszcze mają opuścić mój dom. Wieczorem zjawi się tu nowy personel przeze mnie wybrany.

Wyszedł nie czekając odpowiedzi i unosząc jakieś dziwne uczucie niesmaku, zrodzonego przez jego stosunek do panny Levasseur. Pomiędzy nimi atmosfera była zawsze ciężka i przygnębiająca. Zamieniane słowa nie wyrażały ich szczerych myśli ani czyny nie odpowiadały słowom; Jedynym logicznym wyjściem z sytuacji było natychmiastowe wydalenie Florencji Levasseur. Jednakże Perennie nie przyszło to nawet na myśl. Wróciwszy do gabinetu zavezwał Mazeroux do telefonu i mówiąc szeptem prawie, żeby nie być słyszonym z drugiego pokoju, zapytał:

— To ty, Mazeroux?

— Tak, szefie.

— Czy prefekt oddał cię do mojej dyspozycji?

— Tak jest.

— No to powiedz mu, że wypędziłem całą moją służbę i że ci dałem ich adresy, żebyś rozciągnął nad nimi czujny nadzór. Zdaje mi się, że tam, a nie gdzie indziej trzeba szukać współników Gastona Sauveranda. Prócz tego proś prefekta o pozwolenie dla ciebie i dla mnie na przepędzenie dzisiejszej nocy w domu inżyniera Fauville'a.

— Jak to? W domu przy bulwarze Suchet?

— Tak, mam dane po temu, że się tam tej nocy coś stanie.

— Ależ co się ma stać?

— Nie wiem jeszcze co, ale coś się stanie. Żądam tego koniecznie. Rozumiesz?

— Rozkaz, szefie. Spotykamy się więc o dziewiątej wieczór na bulwarze Suchet.

Dnia tego Perenna nie widział więcej panny Levasseur. W ciągu popołudnia udał się do biura zleceń, gdzie wybrał nowy personel służby, a mianowicie szofera, woźnicę, kamerdynera, kucharkę itd.

Następnie był u fotografa, któremu kazał zrobić zdjęcie z portretu panny Levasseur, przy czym odbitkę tę kazał wyretuszować w taki sposób, żeby zatrzeć podobieństwo, lecz żeby prefekt nie spostrzegł zmiany. Obiad zjadł w restauracji. O godzinie dziewiątej udał się na spotkanie z Mazeroux.

Od czasu zbrodni willa inżyniera Fauville'a zostawała pod opieką odźwiernego. Wszystkie pokoje i zamki byty opieczętowane, oprócz drzwi wewnętrznych, prowadzących do pracowni inżyniera, od których klucze zatrzymała policja, dla potrzeby prowadzącego śledztwo.

Pokój ten przedstawiał wygląd ten sam co poprzednio. Tylko papiery i rysunki zostały sprzątnięte lub zabrane, tak że na dużym stole służącym za biurko nie było nic, ani jednej książki, ani świstka papieru. Trochę kurzu pokrywało czarną skórą wyklejony środek oraz mahoniowe brzegi stołu.

— No cóż, Aleksandrze — zawołał don Luis, gdy usiedli wygodnie przy stole — czyż to nie ciekawe uczucie wrócić tu znów w tak odrębnych warunkach? Tylko że tym razem nie będziemy drzewi barykadować, lecz przeciwnie, zostawimy tym panom wszelką swobodę działania.

Don Luis mówił to żartobliwym tonem, jednakże w rzeczy samej pozostawał pod wrażeniem wspomnień owej tragicznej nocy i zbrodni, której nie zdołali wówczas przeszkodzić. Wzruszeniem też przejmowało go wspomnienie bezlitosnej walki, którą stoczył przeciw pani Fauville, jej rozpacz i aresztowanie.

— Mów mi o niej — rzekł do Mazeroux — i czy naprawdę chciała się zabić?

— Tak, naprawdę, i to przez powieszenie się za pomocą sznura z podartego prześcieradła. Ledwo ją odratowano. Obecnie ma się już dobrze, lecz muszą jej pilnować ciągle, gdyż zapowiedziała, że nie da za wygraną i że tak czy owak odbierze sobie życie.

— Do winy się jednak nie przyznaje?

— Nie, twierdzi zawsze, że jest niewinna.

— A jakie jest mniemanie władz sądowych?

— Oczywiście przeciw niej. I nie może być inaczej. Śledztwo potwierdziło wszystko, co przeciw niej zebrano. A głównie udowodniło niezbitcie, że odcisk na jabłku jest odciskiem jej zębów i nie mógł być przez nikogo zrobiony, gdyż nie ma na świecie dwóch szczęk, które by dawały to samo odbicie.

— Tak, masz słusność — potwierdził don Luis — to nie ulega wątpliwości. Ale co z tym wszystkim ma do czynienia Flora...

— Jaka Flora?

— Nie... nie... tak wyrwało mi się. Widzisz, w całej tej historii jest tyle rzeczy niezwykłych, tak dziwne zbiegi okoliczności, często jedno drugim przeczące, że nie śmiem już w coś wierzyć!

Długo jeszcze rozmawiali półgłosem, studiując ubiegłe wypadki. Około północy zgasili elektryczność i postanowili czuwać na zmianę.

Godziny uchodziły jedna za drugą, jak owej pamiętnej nocy. Te same dalekie odgłosy spóźnionych powozów i aut. Te same przeciągłe świsty pociągów. Ta sama cisza. I tak im noc zesłała bez wydarzeń.

Nad ranem życie zewnętrzne znów się rozpoczęło. I w czasie swych godzin czuwania don Luis nie słyszał w pokoju nic prócz monotonnego chrapania swego towarzysza.

Czyżbym się był pomylił? — zastanawiał się zdziwiony. — Czyżby owa notatka z ósmego tomu Shakespeare'a miała inne znaczenie? Lub może tyczyła się rzeczy już ubiegłych?

Pomimo tego ogarniał go niepokój, w miarę jak dzień wślizgiwał się do pokoju przez szpary zamkniętych okiennic. W ową noc pamiętną przed dwoma tygodniami też nic nie zaszło, a jednak rano zastali dwa trupy. O siódmej zawołał na śpiącego sierżanta:

— Aleksandrze!

— Rozkaz, szefie!

— Żyjesz jeszcze?

— A no tak, żyję!

— Pewien tego jesteś?

— A to dobre! Czemuż bym miał umierać prędzej niż pan?

— Och, na mnie też kolej przyjdzie! Po takich bandytach można się spodziewać, że swego dopną.

Około ósmej Perenna otworzył okna i okiennice.

— Wiesz co, Aleksandrze — zawołał — możesz ty i nie umarł, lecz za to jesteś... zielony!

Mazeroux zaśmiał się trochę wymuszonym śmiechem.

— Prawdę mówiąc, przeżyłem niemiłe chwile podczas czuwania.

— Jak to, bałeś się?

— Straszliwie. Ciągłe mi się zdawało, że coś się stanie. Ale pan też nie wydaje mi się być w swoim sosie! Czyżby pan też?...

Przerwał, patrząc na Perennę, którego twarz wyrażała w tej chwili najgłębsze zdumienie.

Co się stało, szefie?

— Patrz... na stole... list...

Mazeroux spojrział. Na stole leżał rzeczywiście list, a właściwie kartka zwana sekretnikiem, której brzeg był wokoło obdarty. Na wierzchu widoczny był adres oraz ostemplowany znaczek pocztowy.

— Czy to ty położyłeś tu ten list, Aleksandrze?

— Żartuje pan chyba? Przecież nikt inny nie mógł go tu położyć prócz pana.

— Tak, ale to nie ja...

— Więc któż?...

Don Luis wziął kartkę do ręki i przypatrzawszy się jej stwierdził, że adres był zatarty w taki sposób, że go nie można było wyczytać, stempel zaś zupełnie wyraźny nosił datę i miejsce wysłania: Paryż, 4 stycznia 1919.

A więc to list sprzed trzech miesięcy — rzekł Perenna.

Otworzył kartkę i zawołał nagle:

— Podpis inżyniera Fauville'a!

— I jego pismo — dodał Mazeroux. — Znam je już dobrze. Lecz co to może znaczyć? List Fauville'a w trzy miesiące po jego śmierci...

Perenna przeczytał głośno:

„Kochany Przyjacielu!

Mogę ci tylko potwierdzić, co ci już, pisałem poprzednio, że spisek zacieśnia się. Nie znam jeszcze ich planu i nie wiem, jak go wykonają, lecz widzę ze wszystkiego, że koniec zbliża się. Widzę to w jej oczach. Jakże ona dziwnie na mnie czasem patrzy! I co to za nikczemność! Któż by się był spodziewał, że ona byłaby zdolna... Smutno mi strasznie, przyjacielu...”

— I podpisano: Hipolit Fauville — dokończył Mazeroux. Mógłbym zaręczyć, że to przez niego pisane. I to pisane do jakiegoś przyjaciela, którego wcześniej czy później odnajdziemy i który nam udzieli wszelkich objaśnień i dowodów.

Mazeroux zapalał się coraz bardziej:

— Dowody! Ależ my ich więcej nie potrzebujemy! Przecież Fauville daje nam dostatecznie: „Zakończenie zbliża się. Widzę to w jej oczach”. „Ona” to jego żona, to Maria Anna Fauville, i to świadectwo męża potwierdza wszystko, cośmy już przeciw niej wiedzieli. Nieprawdaż, szefie?

— Masz rację — odparł Perenna z roztargnieniem — list ten jest decydujący. Jednakże chciałbym wiedzieć... Kto go tu mógł położyć? Tak, bo przecież bylibyśmy coś słyszeli... To mnie najwięcej zdumiewa!

— Rzeczywiście... trudno zrozumieć...

— Nieprawdaż? Przed dwoma tygodniami było to już zdumiewające. Lecz wówczas byliśmy w korytarzu, kiedy tu się zbrodnia stała. Ale dziś byliśmy na miejscu. I na tym stole, na którym z wieczora nie było ani świstka papieru, rano znajdujemy ten list.

Szczegółowe badania na miejscu nie dały żadnego rezultatu. Zwiedzili dom cały od piwnic aż do strychów i przekonali się, że nie ukrywał się tam nikt. Tajemnica pozostała- nie wyjaśniona.

— Dajmy spokój tym poszukiwaniom — rzekł Perenna w końcu — gdyż to do niczego nie prowadzi. W sprawach tego rodzaju wcześniej czy później jakiś promień światła zakradnie się zniecka i rozjaśni wszystko. Zanieś ten list prefektowi policji, opowiedz mu, jakieś tu noc spędzili i proś go o pozwolenie przybycia tu znów 25 kwietnia. Ciekaw jestem niezmiernie, czy drugi list otrzymamy też za pośrednictwem jakiegoś ducha.

Pozamykali drzwi i opuścili willę. Kiedy zwrócili się na prawo, żeby poszukać taksometra i doszli do końca bulwaru Suchet, don Luis obrócił się ku szosie. Jakiś mężczyzna szedł przed nimi. Perenna ledwo zdołał dojrzeć jego twarz wygoloną i błyszczące oczy na nich zwrócone.

— Baczość! — krzyknął don Luis do sierżanta i pchnął go tak, że się ten o mało nie przewrócił.

Mężczyzna ów wyciągnął rękę, uzbrojoną w rewolwer. Padł strzał. Kula gwizdnęła nad uchem Perenny, który się w porę pochylił.

— Pędźmy za nim! — zawołał. — Nie jesteś ranny, Aleksandrze?

— Nie, szefie.

Rzucili się obaj za uciekającym, wołając o pomoc. Lecz o tak wczesnej godzinie mało jeszcze było przechodniów w tej dzielnicy miasta. Toteż mężczyzna, który ich znacznie wyprzedził, oddalił się jeszcze bardziej. Nareszcie zawrócił w ulicę Oktawa Feuilleta i znikł im z oczu.

— Znajdę ja cię jeszcze, nicponiu! — zgrzytnął don Luis zaprzestając bezowocnego pościgu.

— Przecież pan nawet nie wie, kto to jest, szefie.

— Owszem, to on.

— Kto taki?

— Człowiek o hebanowej lasce. Poznałem go, pomimo że sobie ogolił brodę i wąsy. Ten sam, który do nas strzelał ze schodów swego domu na bulwarze Richard-Wallace, ten, który zabił głównego inspektora Aucenisa. Nędznik! Ale skąd on wiedział, żeśmy nocowali w willi Fauville'ów. Chyba mnie ktoś szpieguje. Ale w jakim celu i jakim sposobem?

Mazeroux pomyślał chwilę i rzekł:

— Proszę sobie przypomnieć, szefie; Rozmawialiśmy telefonicznie wczoraj po południu. Mówił pan wprawdzie głosem przyciszonym, ale kto wie, czy pana ktoś z drugiego pokoju nie słyszał.

Don Luis nie odpowiedział. Myślał o Florencji...

Dnia tego panna Levasseur nie przyniosła mu korespondencji jak zwykle. I on też jej nie wzywał. Widział ją parę razy przez okno, wydającą rozkazy nowej służbie. Po czym musiała pójść do siebie, gdyż więcej się nie ukazała.

Po południu udał się samochodem do willi przy bulwarze Suchet, żeby tam z rozkazu prefekta razem z Mazeroux robić dalsze poszukiwania, które zresztą pozostały bez rezultatu.

Była już szósta, kiedy wrócił. Zjadł obiad w towarzystwie sierżanta Mazeroux. Wieczorem, chcąc jeszcze zbadać mieszkanie człowieka o hebanowej lasce, pojechał wraz z Mazeroux na bulwar Richard-Wallace. Przejechali Sekwanę i jechali jej prawym brzegiem.

— Prędej — zawołał Perenna do szofera. — Nie cierpię powolnej jazdy.

— Przewróci się pan niechybnie, dziś albo jutro — zauważył Mazeroux.

— Wypadki zdarzają się tylko głupcom — odparł Perenna lekceważąco.

Przejeżdżali właśnie plac de l'Alma. Samochód zwrócił na lewo.

— Jedź prosto przez plac Trocadero — krzyknął don Luis.

Samochód zawrócił we wskazanym kierunku, lecz nagle zatoczył się raz i drugi w pełnym biegu, wjechał na chodnik, uderzył o drzewo i przewrócił się. W parę sekund kilkunastu przechodniów nadbiegło. Rozbito okna, żeby otworzyć drzwiczki. Don Luis ukazał się pierwszy.

— Nic mi nie jest — zawołał. — A ty, Aleksandrze?

Wydobyto sierżanta trochę potłuczonego, lecz bez poważnych ran. Tylko szofer, który wypadł z siedzenia, leżał na chodniku z pokrwawioną głową, nie dając znaku życia. Przeniesiono go do pobliskiej apteki, gdzie w 10 minut potem zmarł.

Kiedy Mazeroux, który towarzyszył nieszczęsnej ofierze wypadku, sam nieco oszołomiony wrócił do auta, zastał tam dwóch policjantów spisujących protokół. Perenny już nie było.

Don Luis wskoczył do taksometra i kazał się wieźć do domu. Wsiadłszy, przebiegł dziedziniec i skierował się korytarzem do mieszkania panny Levasseur... Doszedłszy do drzwi zapukał i, nie czekając odpowiedzi, wszedł. W drzwiach salonu ukazała się Florencja.

Perenna usunął ją z drogi i wszedłszy do pokoju zawołał silnie wzburzony:

— A więc stało się. Mieliśmy wypadek, pomimo że nikt z dawnej usługi przygotować go nie mógł, gdyż nikogo z nich już tu nie ma. Zresztą po południu wyjeżdżałem autem. Widocznie więc między szóstą a dziewiątą wieczorem musiał się ktoś zakraść do garażu i przepiłować w samochodzie kierownicę.

— Nie rozumiem... Nic nie rozumiem — powtórzyła widocznie przerażona.

— Doskonale pani rozumie, że współnikiem bandytów nie może być żaden z nowych służących, i rozumie pani też, że się wypadek nie mógł w tych warunkach nie udać. Jest też ofiara, która za mnie życiem przepłaciła.

— Ależ jaki wypadek?. Co się stało? Mówże pan nareszcie!

— Samochód przewrócił się i szofer zabity.

— Jezus Maria! — krzyknęła. — Ależ to straszne! I pan przypuszcza, że ja... że ja bym mogła... Ta śmierć! to okropne! biedny człowiek...

Głos jej był coraz słabszy. Stała tuż koło Perenny blada jak chusta. Nagle zamknęła oczy i zachwiała się. Perenna chwycił ją w ramiona. Chciała uwolnić się, lecz sił jej zabrakło. Don Luis ułożył ją na fotelu, ona zaś jęczała z cicha:

— Biedny człowiek... biedny człowiek...

Podtrzymując jej głowę ramieniem ocierał jej chustką czoło potem zroszone i blade policzki, po których łzy spływały. Straciła widocznie wszelką świadomość tego, co ją otaczało, gdyż poddawała się biernie i bez protestu jego opiece. On zaś nieruchomie patrzył na jej usta, te ładne usta zwykle tak czerwone, w tej chwili jednak jakby pozbawione krwi.

I pod wpływem straszliwego podejrzenia, które nurtowało w nim od dawna, delikatnie dwoma palcami rozchylił jej wargi jak dwa płatki róży i spojrzał na podwójny rząd jej zębów.

Były to zęby śliczne, nieporównanej formy i białości, może trochę mniejsze niż zęby pani Fauville i tworzące trochę szersze półkole. Lecz któż mógł zaręczyć, że ich ślad nie byłby ten sam? Przypuszczenie nieprawdopodobne. Wiedział o tym. Jednakże tyle okoliczności świadczyło przeciw niej, oskarżając ją jako najśmielszą i najokrutniejszą zbrodniarkę...

Oddech jej stawał się równym. Perenna uczuł na swojej twarzy jej lekkie tchnienie, świeże i upajające jak woń kwiatów. Mimo woli pochylił się nad nią tak blisko, że go ogarnął zawrót głowy i tylko wielkim wysiłkiem woli zdołał się opanować i oderwać oczy od jej pięknej twarzy o rozchyłonych ustach.

Ułożył jej głowę na poręczy fotelu i wyszedł.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stodoła wisielców

Ze wszystkich tych wydarzeń wiedziano tylko o próbie samobójstwa Marii Anny Fauville, o pochwyceniu i ucieczce Gastona Sauveranda, zabójstwie inspektora Aucenisa i odkryciu listu Hipolita Fauville'a. Wystarczyło to wprawdzie dla zaostrenia ciekawości publicznej, żywo interesującej się sprawą Morningtona i pasjonującej się każdym ruchem tajemniczego don Luisa Perenny, którego stale poczytywano za Arsena Lupina.

Rozumie się, że jemu przypisywano chwilowe ujęcie „człowieka o hebanowej lasce”. Wiedziano też, że uratował życie prefektowi policji i w końcu że spędziwszy noc w willi przy bulwarze Suchet, niepojętym sposobem otrzymał ów słynny list od Hipolita Fauville'a. Wszystko to podniecało ciekawość w niebywały sposób.

Lecz o ileż więcej zawyłymi zdawały się te zagadnienia don Luisowi Perennie. Po czterokroć w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin nastawano na jego życie. Udział Florencji we wszystkich tych zamachach był niewątpliwy. Dzięki notatce znalezionej w ósmym tomie Shakespeare'a można było stwierdzić stosunek jej z zabójcami Hipolita Fauville'a. Lecz jak wytłumaczyć rolę, którą odgrywała ta tajemnicza istota we wszystkich tych wypadkach?

Życie w pałacu przy placu Palais-Bourbon wróciło do normalnego biegu, jak gdyby nic niezwykłego nie było zaszło. Co rano Florencja przynosiła do gabinetu korespondencję Perenny i czytała mu głośno artykuły dzienników, dotyczące się sprawy Morningtona.

Don Luis nie wspominał jej ani razu o wydarzeniach dni ostatnich. Zdawało się, że jakby rozejm zawarty był między nimi i nieprzyjaciel zaprzestał chwilowo ataków. Perenna czuł się bezpiecznym i rozmawiał z nią obojętnie i spokojnie.

Lecz z jak gorączkowym zaciekawieniem śledził ją ukradkiem! Jakże badał jej wyraz twarzy spokojnej i ognistej zarazem, w której pod zewnętrzną maską obojętności działała przeczulona wrażliwość z trudnością opanowana i zdradzająca się chwilami nieznacznym drgnieniem ust lub poruszeniem nozdrzy.

Kim jesteś? — miał chwilami ochotę wykrzyknąć. — W jakim celu siejesz trupy po drodze twego życia? Czy i moja śmierć jest ci potrzebną dla osiągnięcia celu? Skąd idziesz i dokąd dążysz?

Patrzył na nią, gubiąc się w domysłach i nie mogąc znaleźć odpowiedzi na te zawile pytania. Pewnego dnia rano rzekła mu:

— Dzienniki zapowiadają drugi list na dziś wieczór.

— Jak to, na dziś wieczór?

— Tak jest — odparła pokazując mu artykuł. — Dziś jest 25 kwietnia, policja zaś twierdzi według informacji udzielonych jej przez pana, że co dziesięć dni będzie się ukazywać nowy list w domu przy bulwarze Suchet. Z ukazaniem się zaś piątego listu willa wyleci w powietrze wskutek Wybuchu!

Czy miał to uważać za wyzwanie? Czy chciała mu dać do zrozumienia, że cokolwiek by się stało, tajemnicze listy ukazywać się będą nadal, według wskazówek notatki z ósmego tomu Shakespeare'a? Spojrzał na nią badawczo, ona jednak nie drgnęła.

— Rzeczywiście — odpowiedział z naciskiem — na tę noc zapowiedziany jest drugi list. Będę tam zresztą i nic mi w tym przeszkodzić nie zdoła.

Chciała coś odpowiedzieć, lecz powstrzymała się, nakazując milczenie miotającym ją uczuciom.

Dnia tego don Luis miał się na baczności. Śniadanie i obiad jadł w restauracji i nakazał sierzantowi Mazeroux, żeby baczny nadzór rozciągnięto nad placem Palais-Bourbon.

Panna Levasseur po południu nie opuszczała pałacu. Wieczorem don Luis rozkazał agentom, przysłanym przez Mazeroux, żeby śledzili każdą osobę wychodzącą z domu.

O godzinie dziesiątej Perenna udał się do willi inżyniera Fauville'a, gdzie niebawem przybył sierzant Mazeroux w towarzystwie komisarza Webera i dwóch policjantów. Don Luis zapytał sierzanta z cicha:

— Nie dowierzają mi? Przyznaj się.

— Dopóki jest Demalion, to nic panu nie zrobią. Tylko Weber twierdzi, że to pan wszystkie te historie sam przygotowuje.

— Ależ w jakim celu?

— Żeby przysporzyć dowodów przeciw Marii Annie Fauville i doprowadzić do tego, żeby ją skazano. Prosiłem więc o obecność komisarza i agentów dzisiejszej nocy. Będzie nas zatem czterech dla stwierdzenia pańskiej niewinności.

— Każdy z obecnych zajął swoje stanowisko. Dwóch policjantów miało czuwać na zmianę. Tym razem po przeszukaniu pokoiku Edmunda Fauville'a zamknięto szczelnie okiennice i zaryglowano drzwi.

O jedenastej zgaszono elektryczność. Don Luis i Weber prawie nie spali. Noc przeszła spokojnie i bez wydarzeń. Lecz kiedy o siódmej rano pootwierano okiennice, ujrzano list leżący na stole...

Kiedy się już pierwsze wrażenie trochę uspokoiło, komisarz Weber wziął list, miał bowiem rozkaz nie czytać go i nie pokazywać nikomu.

Oto zawartość tego (drugiego już z rzędu) tajemniczego listu, podana w dziennikach wraz ze świadectwem ekspertów, stwierdzających tożsamość pisma Hipolita Fauville'a:

„Widziałem go! Rozumiesz to, drogi mój przyjacielu, widziałem go! Spacerował w Lasku Bulońskim z kołnierzem podniesionym i w kapeluszu naciśniętym na uszy. Czy on mnie widział? Nie zdaje mi się. Było już prawie ciemno. Lecz ja go poznałem zaraz. Poznałem też srebrną rączkę jego hebanowej laski. To był na pewno on! ten nikczemnik!

A więc jest tu w Paryżu pomimo obietnicy. Gaston Sauverand w Paryżu! Czy rozumiesz, czym to mi grozi? Jeśli on tu jest, to znaczy że zamierza działać... czyli że moja śmierć jest postanowiona. Ileż on mi złego uczynił, ten człowiek! Wydarł mi już szczęście, a teraz chce mnie jeszcze życia pozbawić! Boję się...”

Inżynier Fauville wiedział więc, że człowiek o hebanowej lasce, Gaston Sauverand, zamierzał go zabić. Stwierdzał to własnoręcznym listem. Co w zestawieniu ze słowami Gastona Sauveranda pozwalało się domyślać, że ludzie ci znali się dawniej, że następnie jakieś nieznane okoliczności wpłynęły na zerwanie ich przyjaźni i Sauverand obiecał nawet nie bywać więcej w Paryżu.

Nareszcie więc trochę światła przeniknęło ciemności, otaczające dotychczas sprawę Morningtona. Lecz z drugiej strony jakże niepojętą tajemnicą było zjawienie się owego listu na stole!

Toteż zdumienie publiczności nie miało granic. Gubiono się w domysłach, lecz nikt wytłumaczyć tego nie był w stanie — tym bardziej, że przeprowadzone badania wykazały, iż wszelkie działania z zewnątrz były wykluczone.

Jedno zdawało się być sprawdzone, a mianowicie akuratność wskazówek don Luisa Perenny. Noc 25 kwietnia, tak jak poprzednio noc 15 kwietnia, wywołała przewidziane wydarzenie. Nikt więc nie wątpił, że 5 maja będzie dalszym ciągiem podobnych wydarzeń. Toteż całą noc z 5 na 6 maja tłumy publiczności znajdowały się na bulwarze Suchet, wyczekując ostatnich wiadomości.

Prefekt policji, mocno zainteresowany owym dwukrotnym cudem i chcąc sobie zdać sprawę osobiście, przybył w towarzystwie kilku inspektorów, żeby sprawdzić przebieg wydarzeń tej trzeciej nocy. Umieściwszy inspektorów w ogrodzie, w korytarzu oraz na poddaszu, sam zajął miejsce w pracowni wraz z komisarzem Weberem, sierżantem Mazeroux i don Luisem Perenną.

Oczekiwania jednakże zawiodły. I to z winy Demaliona. Pomimo bowiem protestu ze strony don Luisa, chcąc się przekonać, czy światło będzie miało wpływ na dalsze wydarzenia, prefekt nie pozwolił gasić elektryczności. Oczywiście list się nie ukazał. Czarnoksiężskiej magii jako i sprawkom złoczyńców potrzebna jest sprzyjająca tajemniczość nocy. Było to więc dziesięć dni straconych. Pod wieczór 15 maja rozpoczęło się znów gorączkowe wyczekiwanie tłumu, który z zapartym tchem wpatrywał się w okna willi Fauville'ów. Tym razem elektryczność zgaszono. Lecz prefekt nie wypuszczał z ręki kontaktu. Kilka, może kilkanaście razy zapalał światło. Na stole nie było nic.

Nagle z piersi obecnych wyrwał się okrzyk. Jakiś szmer nieuchwytny jakby zmiętego papieru przerwał ciszę.

Demalion po raz może dwudziesty zapalił elektryczność i oniemiał ze zdumienia. List leżał na dywanie obok stołu. Mazeroux przeżegnał się, a komisarz Weber zbladł jak ściana. Demalion spojrział na don Luisa, który skinął głową nie mówiąc nic. Sprawdzone stan zamków i rygla u drzwi i okien. Były nienaruszone.

Zawartość listu rozpraszała ostatnie chmury niepewności, które ciążyły jeszcze nad zbrodnią bulwaru Suchet Pisany ręką inżyniera z datą ósmego lutego, bez widocznego adresu, brzmiał jak następuje:

„Drogi mój przyjacielu!

Otóż nie! nie dam się zarżnąć jak baran. Będę się bronił, będę walczył do ostatniej chwili. Zmieniła się postać rzeczy. Mam przeciw nim nareszcie niezbite dowody... listy, które do siebie pisali! Wiem też, że się zawsze kochają, że chcą się pobrać, że ich nic nie wstrzyma. Oto są słowa pisane ręką Marii Anny: miej cierpliwość, Gastonie, mój kochany, czuję rosnącą w mym sercu odwagę. Tym gorzej dla tego, który nas rozdziela...

Jeśli padnę w walce, znajdziesz te listy wraz z kompletnymi aktami, które zbieram przeciw tej nędznej istocie. Wówczas pomścij mnie! Do widzenia. Zegnaj, może na zawsze...”

Tak więc Hipolit Fauville z głębi mogiły oskarżał wyrodną żonę. Z głębi mogiły wyjaśniał przyczynę, dla której zbrodnia popełniona została: była nią miłość Marii Anny i Gastona Sauveranda.

Jedno jeszcze zagadnienie pozostawało do wyjaśnienia, a mianowicie, kto był tym tajemniczym przyjacielem, któremu Hipolit Fauville powierzył pomszczenie swej śmierci — a który zamiast po prostu oddać owe listy prokuratorowi, wysłał się na

jakieś makiawielskie pomysły i sztuki. Chyba może sam miał powody, dla których wolał pozostać w cieniu?

Na te wszystkie pytania Maria Anna odpowiedziała w najmniej oczekiwany sposób. W osiem dni potem po długim badaniu, w ciągu którego wypytywano ją bezowocnie o nazwisko owego przyjaciela męża, Maria Anna, pogrążona jak zwykle w upartym milczeniu — wieczorem, wróciwszy do swej celi więziennej, przecięła sobie arterie kawałkiem znalezionej szkła.

Nazajutrz przed ósmą rano Mazeroux pośpieszył powiadomić o tym don Luisa. Sierżant przybył z walizką podróżną w rękę i zastał Perennę w łóżku.

Wiadomość, którą przyniósł, wzburzyła niezmiernie don Luisa.

— Czy umarła? — zawołał gwałtownie.

— Nie... Podobno tym razem jeszcze, ją odratują. Lecz czy to warto!

— Jak to, czy warto?

— Ano przecież! Wcześniej czy później i tak sobie coś zrobi.

— Czy i tym razem też nic nie zeznała? ;

— Nie. Przed samobójstwem jednakże napisała kilka słów na kartce papieru, w której mówi, że po głębszym namyśle doszła do przekonania, że owym tajemniczym korespondentem męża musiał być niejaki Langernault. Był to bowiem jedyny człowiek, z którym inżynier Fauville był swego czasu w przyjaźni. Dodaje przy tym, że Langernault nie omieszka ją uniewinnić i wytłumaczyć to okropne nieporozumienie, którego padła ofiarą.

— Jeśli więc jest ktoś, kto może ją uniewinnić, to czemu ucieka się do samobójstwa.

— Bo, jak mówi, wszystko jej obrzydło. Życie jej jest złamane. Jedynej rzeczy, której jeszcze pragnie, to spokoju, a więc śmierć...

— Nie tylko w śmierci spokój znaleźć można. Jeśli wyjaśnienie prawdy byłoby dla niej zbawieniem, to może nie jest tek trudne, jak się wydaje.

— Co pan mówi? Czyżby się pan czegoś domyślał?

— Och, nic jeszcze wyraźnego, jednakże ta niesłychana akuratność owych listów wydaje mi się nienormalną i daje mi do myślenia...

Po chwili ciągnął dalej:

— Czy badano ponownie zatarty adres listów?

— Tak, i udało się rzeczywiście odczytać nazwisko Langernault.

— A gdzie mieszka ów Langernault?

— Według pani Fauville mieszka on na wsi w Formigny w Normandii.

— Czy wyczytano tę nazwę na liście? — Nie, lecz wyczytano nazwę pobliskiego miasta Alencon.

— I ty tam jedziesz?

— Tak jest. Prefekt posyła mnie tam, zalecając pośpiech. Jadę na Dworzec Inwalidów.

— Chciałeś powiedzieć, że siadasz wraz ze mną do mego samochodu!

— Jak to?

— Ano tak! Pojedziemy razem. Zasiedziałem się już i potrzebuję ruchu i powietrza. A przy tym dom ten jest dla mnie śmiertelny.

— Dlaczego śmiertelny, szefie?

— Ech, nic. Kiedyś zrozumiesz.

W pół godziny później mknęli już drogą do Wersalu. Perenna kierował autem sam, a pędził tak, że Mazeroux nie mogąc złapać tchu z trudnością od czasu do czasu bąkał:

— Ależ sypimy! Czy nie obawia się pan wypadku?

Przybyli do Alencon na śniadanie. Po skończonym posiłku udali się na główną pocztę. Tam jednakże nie znano żadnego Langernaulta, przy czym poinformowano ich, że w Formigny jest osobny urząd pocztowy. Jeśli więc Langernault kazał sobie przysyłać korespondencję do Alencon, to widocznie otrzymywać ją musiał na poste-restante.

Perenna wraz z sierżantem pojechali więc do Formigny. Lecz i tam nazwisko to było nieznanne, pomimo że miejscowość ta liczyła zaledwie tysiąc mieszkańców.

— Chodźmy do burmistrza — rzekł don Luis.

U burmistrza okazało się, że Langernault rzeczywiście zamieszkiwał niegdyś u Formigny, był to zacny człowiek, były przemysłowiec, który przed czterema laty zginął z powodu wypadku. Mianowicie czyszcząc strzelbę, jak się okazało nabitą, zabił się na miejscu. Z początku przypuszczano nawet możliwość zabójstwa, lecz wobec braku jakichkolwiek poszlak zaniechano sprawy.

— Czy miał pieniądze? — zapytał Perenna.

— Tak, i to właśnie wydawało się podejrzane, gdyż po jego śmierci nie znaleziono ani grosza.

Don Luis namyślał się długą chwilę, po czym zapytał jeszcze:

— Czy zostawił kogoś z rodziny?

— Nikogo, ani bliższych ani dalszych krewnych. Tak dalece, że jego majątność, zwana Starym Zamkiem, z powodu ruiny, w jakiej się znajduje, przeszła na własność skarbu. Administracja dóbr państwowych kazała opieczetować drzwi domu i zabarykadować bramy i furtki parku.

— I nikt tam po parku nie chodzi?

— Nie. Przede wszystkim mury są bardzo wysokie. A potem... Stary Zamek miał zawsze złą reputację w okolicy. Mówiono o duchach, które straszą... i innych tym podobnych historiach.

— A to dobre — zawołał Perenna, kiedy już opuścili kancelarię burmistrza. — Więc inżynier Fauville, pisywał listy do nieboszczyka! I to w dodatku do nieboszczyka, który mi coś mocno wygląda na zamordowanego!

— Ktoś widocznie musiał te listy przejmować.

— Prawdopodobnie, lecz to nie zmienia faktu, że Fauville zwierzał się nieboszczykowi i opowiadał mu o zbrodniczych zamiarach żony.

Całe popołudnie spędzili na badaniu różnych osób, chcąc się dowiedzieć czegoś o panu Langernault i jego zwyczajach. Wszelkie ich wysiłki pozostały jednak bezowocne.

W chwili wyjazdu około szóstej don Luis przekonawszy się, że nie mają benzyny na dalszą drogę, posłał sierżanta wózkiem na przedmieście Alencon. Sam zaś korzystając z wolnej chwili poszedł obejrzeć Stary Zamek, znajdujący się na końcu wsi.

Brama w murze była zamknięta. Perenna szedł więc wzdłuż muru, rzeczywiście bardzo wysokiego, rozglądając się, czy nie znajdzie jakiego wylotu. Nareszcie za pomocą gałęzi pobliskiego drzewa udało mu się przedostać na drugą stronę. W ogrodzie trawniki pokryte dzikim kwieciem otoczone były alejami, porośniętymi zielskiem, z których jedne prowadziły na prawo ku wzgórzu, na którym piętrzyła się jakaś ruina, drugie zaś szły na lewo w kierunku domu, widocznie opuszczonego.

W tę stronę udał się Perenna. Lecz jakież było jego zdziwienie, kiedy na ścieżce, rozmięklej od niedawnego deszczu, ujrzał wyraźny ślad kroków. I to, jak się po bliższym zbadaniu przekonał, świeży ślad eleganckiego kobiecego obuwia.

— Co u licha — pomyślał sobie. — Któż tu może spacerować?

Z zaciekawieniem śledził, owe kroki, które to tracił z oczu, to odnajdywał i które go wiodły w kierunku przeciwnym od domu, ku zadrzewionej części parku. Tam stracił je ostatecznie.

W pobliżu znajdowała się stodoła, oparta tylną ścianą o dość wysokie wzgórze. Stodoła ta była mocno zrujnowana i drzwi jej zdawały się trzymać tylko dzięki jakiejś niewytłumaczonej równowadze.

Perenna zbliżył się i spojrział pomiędzy szpary drzewa. Wewnątrz, w półcieniu owej stodoły pozbawionej okien, w której otwory, słomą pozatykane, przepuszczały tym mniej światła, że się już miało ku wieczorowi, rozróżnić można było nagromadzone kadzie, baryłki, rozbite prasy do wina, stare pługi i moc różnorodnego żelaziwa.

— Chyba że nie tu zawiodły kroki moją tajemniczą damę? — pomyślał Perenna.

Nie oddalał się jednakże, gdyż wydało mu się, że usłyszał jakiś ruch wewnątrz. Nadśluchiwał dalej, lecz nic już słyszać nie było. Chcąc się jednak naocznie przekonać, jednym uderzeniem ramienia wywalił deskę i wszedł.

Przez uczyniony otwór wchodziło trochę światła. Szedł przed siebie. Oczy jego przywykły do ciemności. Po chwili jednak głową zawadził o coś twardego, co się zahuściło w powietrzu wydając jakiś dziwny suchy szelest.

Ciemności były stanowczo zbyt wielkie. Don Luis wyjął z kieszeni elektryczną latarkę i zapalił ją.

— Do kroćset! — zaklął, cofając się przerażony.

Ponad nim wisiał szkielet ludzki.

I ledwo się rozejrzył, zaklął po raz wtóry, Obok pierwszego szkieletu wisiał jeszcze drugi!

Wisały oba na grubych sznurach, zaczepionych na hakach przytwierdzonych do belki stodoły. Głowy, a raczej czaszki, zwisały im na piersi. Ten, którego Perenna potrafił, huścił się jeszcze z lekka, a kości jego wydawały przy tym ponury klekot.

Don Luis spod innych rupieci wydobył jakiś stół kulawy, podparł go jak mógł i wszedł nań, żeby z bliska obejrzeć wisielców. Strzępy ubrania wraz ze strzępami stwardniałych i wyschłych mięśni, przylegając do kości, łączyły je i chroniły od rozpadnięcia się. Jeden z nich jednakże miał już tylko jedno ramię, drugiemu zaś brakowało nogi i ramienia.

Wiatr, przewiewający przez otwory w ścianach, kołysał nimi z lekka, zbliżał je lub oddalał rytmicznie, jakby w jakimś tańcu ponurym. Lecz najsilniejsze wrażenie zrobił na Perennie widok obrączek złotych na wyschłych palcach szkieletów, zgiętych jak haczyki. W dreszczu obrzydzenia zdjął je.

Były to obrączki ślubne. Wewnątrz każdej z nich wryta była data: 12 sierpnia 1892, i dwoje imion: Alfred, Wiktorja.

— Mąż i żona — szepnął. — Lecz czy to podwójne samobójstwo, czy zbrodnia? I jakim sposobem nie odkryto tych szkieletów dotychczas?

Czyżby można przypuszczać, że się tu znajdują jeszcze od śmierci Langernaulta, od czasu, kiedy administracja państwowa wzięła tę majątność w opiekę i opieczętowała wszystko tak, że nikt wejść nie może? Zastanowił się.

— A owe ślady kroków, przed chwilą widziane?

Myśl ta znów w nim poczęła nurtować. Zlazł ze stołu i rozejrzawszy się jeszcze po szopie miał już wychodzić, kiedy w głębi na lewo powstał rumor walących się przedmiotów i pęk obręczy od kadzi runął opodal niego.

Spadało to z góry ze strychu, zavalonego też całą masą narzędzi i różnych przedmiotów. W środku sufitu był otwór, o brzeg którego, stała oparta drabina.

Don Luis skierował swoją latarkę elektryczną w taki sposób, żeby oświetlić w pełni otwór sufitu. Nie widząc nic podejrzanego przypuszczać zaczął, że hałas ten

spowodowany być musiał przez jakieś zwierzę, kota lub kunę, i żeby się o tym przekonać, wszedł szybko na stopnie drabiny.

Nagle w chwili, w której jego głowa znajdowała się na wysokości otworu, powstał znów rumor straszliwy i jakaś postać wyłoniła się z cienia. Równocześnie prawie don Luis ujrzał ostrze kosy, przecinające powietrze jak błyskawica na wysokości swojej głowy. Jedna chwila wahania i byłby ścięty.

Ruchem szybszym niż myśl przyłgnął do drabiny. Kosa świsnęła mu nad głową, on zaś ześliznął się na dół. Lecz w oczach pozostał mu widziany obraz: Złowroga maska Gastona Sauveranda, a za nim w świetle latarki blada twarz Florencji Levasseur.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Gniew Arsena Lupina

Perenna krótką chwilę pozostał bez ruchu, osłupiały z doznanego wrażenia. Na strychu powstał znów hałas przewracanych narzędzi, jak gdyby oblężeni robili barykady. Lecz nagle na prawo światło dzienne zabłysło przez szczelinę, w której ujrzał dwie pochylone sylwetki, znikające jedna za drugą.

Don Luis wycelował z rewolweru i strzelił, lecz ręka mu drgnęła, gdy pomyślał o Florencji. Dał jeszcze trzy strzały bezskutecznie. Dopiero za piątym strzałem posłyszał okrzyk. Rzucił się więc znowu na drabinę.

Na strychu powstrzymały go w pościgu nagromadzone rupiecie oraz snopy wyschniętego rzepaku, tworzące prawdziwą zaporę. Po pewnym czasie udało mu się jednak przedostać do otworu na dachu.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy znalazłszy się po przeciwnej stronie przekonał się, że jest na szczycie pagórka, poniżej którego stała owa stodoła.

Po dokładnym lecz bezskutecznym przeszukaniu pobliskich lasków Perenna wrócił do wsi, zastanawiając się nad wydarzeniami tej nowej potyczki. Jeden raz więcej starano się go pozbyć. I jeden raz więcej Florencja stawała się być ośrodkiem tej piekielnej matni. W chwili, kiedy trafem dowiadywał się, że Langernault umarł prawdopodobnie zamordowany, kiedy trafem wiedziony znalazł się w stodole wisielców (jak ją w myśli nazwał), Florencja ukazywała mu się jak widmo zbrodni, duch zniszczenia, napotykanany wszędzie, gdzie tylko przeszła śmierć, Wszędzie, gdzie były trupy i krew.

— Co za potworna istota! — szepnął, drżąc z oburzenia. — Wierzyć się nie chce, że pod tak szlachetną powłoką może się kryć tak ohydna zbrodnia!... I te jej oczy takie głębokie i szczere, prawie naiwne chwilami!

Na placu kościelnym naprzeciw gospody Mazeroux napelniał zbiornik benzyną i zapalał latarnie. Don Luis spostrzegłszy przechodzącego burmistrza podszedł do niego i spytał na uboczu:

— Panie burmistrzu, czy nie słyszał pan przypadkiem o zniknięciu w okolicy przed paru laty małżeństwa, może pięćdziesięcioletniego? Mąż nazywał się Alfred...

— A żona Wiktorii! — przerwał burmistrz. — Ależ naturalnie! Ta sprawa dość narobiła hałasu w całej okolicy. Byli to drobni kapitaliści z Alençon, którzy zniknęli nagle i nikt się nie dowiedział dotychczas, co się z nimi stało. Jak w wodę wpadli wraz z całym majątkiem, który wynosił ze dwadzieścia tysięcy franków, tylko co otrzymanych za sprzedany dom. Jak dziś pamiętam! Byli to państwo Dedessuslamare.

— Dziękuję bardzo, panie burmistrzu — odrzekł Perenna, któremu otrzymane wskazówki wystarczyły najzupełniej.

Samochód czekał w pogotowiu. W kilka minut później pędzili w stronę Alençon.

— Dokąd jedziemy, szefie? — zapytał Mazeroux.

— Na dworzec. Mam bowiem wszystkie dane, że: 1) Gaston Sauverand został powiadomiony dziś rano o rewelacjach, zrobionych tej nocy przez panią Fauville; 2) że przybył do Formigny i kręcił się w okolicy majątności pana Langernault. W jakim celu tam był i kto go mianowicie poinformował o owych rewelacjach, dowiemy się z czasem. Tymczasem zaś przypuszczam, że przyjechał tu pociągiem i również pociągiem wraca do Paryża.

Przypuszczenia Perenny sprawdziły się. Na dworcu powiedziano mu, że jacyś państwo przybyli z Paryża o godzinie drugiej, że najęli dorożkę i zajęli pokój w pobliskim hotelu, a po załatwieniu swoich interesów odjechali do Paryża ekspresem o 7.40. Opis danych osób zgadzał się najzupełniej z powierzchownością Gastona Sauveranda i Florencji.

— W drogę! — zawołał Perenna, sprawdzwszy rozkład jazdy. — Spóźniliśmy się wprawdzie godzinę, lecz może zdążymy przed tymi bandytami do Mans.

— Zdążymy, szefie, na pewno i capniemy tego jegomościa wraz z jego damą!... bo jest ich dwoje, nieprawdaż?

— Tak, jest ich dwoje. Tylko...

— Tylko co? *

Don Luis nie odpowiedział zrazu. Dopiero kiedy siedli do auta i ruszyli, odparł nareszcie:

— Tylko... mój drogi, zostawisz tę damę w spokoju.

— A to dlaczego?

— Czy masz przeciw niej rozkaz aresztu?

— Nie.

— No to siedź cicho.

— Jednakże...

— Jedno słowo jeszcze, Aleksandrze, a zostawię cię tu na drodze, gdzie będziesz mógł aresztować kogo ci się podoba.

Mazeroux nie pisał więcej. Zresztą szybkość, z którą pędzili, nie dała mu możliwości protestowania. Drzewa po bokach drogi migwały ledwo dostrzegalnie, liście ich ponad głowami szemrały jak fale morskie. Napotykanе zwierzęta szalały z przerażenia na widok światła latarni. Mijali wioski, wzgórza, doliny, nareszcie wśród ciemności ujrzeli światła wielkiego miasta Le Mans.

— Czy wiesz, gdzie jest dworzec, Aleksandrze?

— Na prawo, szefie, a potem prosto przed siebie.

Naturalnie trzeba było zawrócić na lewo. Stracili z osiem minut na błądzenie po ulicach miasta i słuchanie sprzecznych wskazówek. Kiedy samochód zatrzymał się nareszcie, przed dworcem rozległ się świst lokomotywy.

Don Luis wyskoczył z auta, rzucił się do poczekalni, gdzie zastał drzwi zamknięte, nareszcie roztrącając urzędników, którzy go chcieli zatrzymać, wydostał się na peron.

Pociąg miał właśnie ruszyć. Zamykano ostatnie drzwi wagonu. Perenna przebiegł wzdłuż pociągu, czepiając się poręczy mosiężnych.

— Proszę o bilet! — krzyknął rozgniewany urzędnik. — Pan bez biletu...

Don Luis, nie zwracając na to uwagi, zabawiał się dalej w ekwilibrystykę na stopniach wagonów, zaglądając w okna i odtrącając osoby, które mu zawadzały, gotów wpaść do przedziału, gdzie by się znajdowała ścigana para. Nie było ich nigdzie. Pociąg ruszył. Nagle Perenna krzyknął. Ujrzał ich! Florencja leżała na ławce z głową opartą o ramię Sauveranda, który pochylał się ku niej, otaczając ją obu ramionami!...

Perenna wściekły chwycił za rączkę mosiężną i już ją otwierał, kiedy stracił równowagę, szarpnięty silnie przez rozzłoszczonego konduktora i sierżanta, wrzeszczącego na całe gardło:

— Ależ to szaleństwo, szefie! wpadnie pan pod pociąg!...

— Bałwany! — ryknął don Luis. — Puśćcież mnie!... To oni...

Wagony mijaly ich jeden za drugim. Perenna chciał wskoczyć na stopień jednego z nich. Tragarze jednak zatrzymali go. Naczelnik stacji nadbiegi sam dowiedzieć się, co się stało. Pociąg oddalił się.

Perenna jednym uderzeniem pięści powalił trzymającego go tragarza, drugim przewrócił Mazeroux i odzyskawszy tym sposobem wolność rzucił się ku dworcowi. W kilku susach przebył salę bagażową, przeskakując przez kufry i walizy.

— A to osioł — mruknął przekonawszy się, że Mazeroux zatrzymał motor samochodu. — Nigdy nie opuści okazji palnięcia jakiegoś głupstwa!

O ile don Luis jechał za dnia dobrą szybkością, o tyle teraz jazda stała się zawrotna. Coś na kształt powietrznej trąby przeleciało przez przedmieścia Mans i wpadło na szosę. Perenna jedną miał tylko myśl, jeden cel, dopędzić pociąg przed następną stacją i skoczyć do gardła Sauverandowi. Z rozkoszą myślał o chwili, kiedy w dzikim uścisku swych ramion zgruchocze kości kochankowi Florencji.

Jej kochanek!... Tak, teraz wszystko, się wyjaśnia. Musieli się oboje zmówić przeciwko swej trzeciej współniczce, pani Fauville, i ta nieszczęsna zapłaci sama teraz za szereg ich zbrodni. Pytanie nawet, czy była ich współniczką? Kto wie? Może ta szatańska para zamordowała inżyniera Fauville'a i jego syna, zdołała pochwycić w swe sidła Marię Annę Fauville i obmyślić jej zgubę, żeby w ten sposób usunąć tę ostatnią zapórę, dzielącą ich od milionów Morningtona? Dlatego też i mnie chcieli się pozbyć, obawiając się mojej domyślności... Ona mnie nienawidzi!...

W szalonym pędzie samochodu, w szumie drzew migających wokoło, Perenna szeptał wyrazy bez związku. Wspomnienie kochanków, czułe ku sobie pochylonych, napawało go zazdrością niewypowiedzianą. Po raz pierwszy w. życiu żądza krwi w nim zawrzała.

— Psiakrew! — zaklął nagle. — Motor źle działa! Mazeroux! Mazeroux!

— Jak to, to pan wiedział, że ja tu jestem? — wrzasnął sierżant, wychylając się iz cienia.

— A ty myślałeś, bałwanie, że pierwszy lepszy osioł potrafi mi się uczepić stopnia maszyny bez mojej wiedzy? Dobrze ci tam musi być? Co?

— I na torturach gorzej by nie było! A w dodatku zmarzłem na kość.

— Tym lepiej, to cię nauczy! Gdzieś ty benzynę kupował?

— W składzie kolonialnym.

— Złodzieje, sprzedali ci jakieś świństwo a nie benzynę. Świece się zanieczyszczają. Słyszysz przerwy w motorze?

Samochód jakby się wahał chwilami, chwilami zaś działał normalnie. Don Luis zwiększył szybkość. Zjeżdżając z pochyłości zdawali się rzucać w przepaść. Latarnia jedna zgasła, druga świeciła gorzej niż zwykle. Lecz nic nie zmniejszało zapachu Perenny.

I znów się daty odczuć przerwy w motorze, nastaly nowe wahania, potem znów jakby wysiłek motoru, żeby dzielnie spełnić zadanie. Aż nagle przyszła ostateczna niemoc. I stanęli bezradni wśród drogi.

— A do stu piorunów! — ryknął don Luis w rozpacz — tego nam tylko brakowało!

— Ależ szefie, nie ma co się znów tak bardzo martwić! Motor jakoś naprawimy i naszego Gastona nakryjemy w Paryżu zamiast w Chartres.

— Czyż ty nie rozumiesz, bałwanie jeden, że mamy tu roboty na godzinę całą. A po jakimś czasie znów będzie to samo! Zamiast benzyny wlepili ci jakieś błoto.

Otaczała ich kompletna cisza. Rozległe połą rozciągały się w nieskończoność i oprócz gwiazd na niebie nie było widać ani jednego światełka na horyzoncie.

Don Luis nie posiadał się z wściekłości. Z przyjemnością byłby rozbił auto na kawałki. Chwycił Mazeroux za ramiona i trzęsąc nim jak gruszką, wyzywał go i klął jak umiał. Nagle zmienił ton i głosem przerywanym, chwilami nienawistnym, chwilami zaś zbolalym, zaczął mówić:

— Słuchaj, Mazeroux, to ona... to towarzyszka Sauveranda wszystkiemu winna. Mówię d to teraz, bo się boję własnej słabości... Ona ma twarz tak szczerą i tak głębokie oczy!... Jednak to ona, Mazeroux... Zapamiętaj dobrze jej nazwisko: Florencja Levasseur... Mieszka u mnie... Zaaresztujesz ją. Nieprawdaż? Ja bym nie mógł... Kiedy na nią spojrzę, tracę odwagę. Bo, widzisz, ja się nigdy dawniej nie kochałem... tamto wszystko to nie była miłość!... inne kobiety... nie pamiętam ich nawet!... Ale Florencja... Musisz mnie uwolnić od niej, Aleksandrze! uwolnić mnie od jej oczu, które mnie palą. To najstraszniejsza trucizna... Jeśli mnie nie uwolnisz, to ja ją zabiję... albo mnie zabiją... albo... Sam już nie wiem... tracę głowę!... Ona innego kocha... Pomyśl tylko! Ona kocha Gastona Sauveranda... Zbrodniarza. Zabili Fauville'a i Edmunda, starego Langernauta i tych dwoje w spichrzu i innych jeszcze... Kosmę Morningtona, Verota i może jeszcze innych... to są potwory, nie ludzie... Ona szczególnie!... A gdybyś spojrzął jej w oczy...

Perenna mówił coraz ciszej, tak że go Mazeroux ledwo słyszał. Uścisk jego dłoni rozluźnił się, on zaś zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpacz, zdumiewającej w człowieku tak zwykle dzielnym i panującym nad sobą.

— Ależ, szefie — rzekł mu w końcu sierżant tonem perswazji. — Czy to warto przejmować się takimi głupstwami?... Wiadomo, babskie historie... Znam się na tym i ja... Pani Mazeroux...Mój Boże, tak, podczas pańskiej nieobecności ożeniłem się. Otóż zawiodłem się... Pani Mazeroux nie była taką, jaką być powinna... Cierpiałem więc bardzo... A pani Mazeroux... Opowiem panu to wszystko...

Powoli sierżant zaprowadził Perennę do samochodu i usadowił go na tylnym siedzeniu.

— O tak, niech sobie szef wypocznie... Noc nie jest zimna, na szczęście... Mamy też i futra do okrycia... A ja już złapię tu pierwszego przejeżdżającego chłopa i pošlę go do miasta po zapasowe części no i po aprowizację, bo jestem diabło głodny. A tamto wszystko ułoży się... Z babami wszystko się układa... byle ich nie brać na serio!... Otóż, pani Mazeroux...

Lecz don Luis nigdy się nie dowiedział, co się stało z panią Mazeroux. Wyczerpany przebytymi wrażeniami spał jak zabity.

Nazajutrz późno już było, kiedy się nareszcie obudził. O godzinie siódmej udało się sierżantowi posłać jakiegoś cyklistę do Chartres. O dziewiętej auto już było naprawione i wyruszyli w drogę. Don Luis odzyskał kompletnie zwykłą zimną krew. W drodze zwrócił się do sierżanta:

— Nagadałem ci wczoraj całą masę głupstw i nie żałuję tego, gdyż moim obowiązkiem jest wszelkimi siłami bronić pani Fauville i dotrzeć do rzeczywistych winowajców. I zadanie to wypełnię! Dziś jeszcze Florencja Levasseur będzie w celi więziennej.

— Może pan liczyć na moją pomoc — odparł Mazeroux trochę dziwnym tonem.

— Niczyjej pomocy nie potrzebuję. I uprzedzam cię, że jeśli jej włos z głowy spadnie, będziesz ty odpowiadał! Zrozumiałeś?

— Tak, szefie.

— Zachowaj się więc spokojnie.

Gniew go ogarniał znowu. Objawiało się to w coraz większej szybkości, z jaką pędzić zaczęli. Mazeroux brał to za osobistą zemstę. Przelecieli przez Chartres. Następnie Rambouiller, Chevreuse, Versailles ujrzały meteor przelatujący z błyskawiczną szybkością. Potem Saint-Cloud i Lasek Buloński..

Na placu Concorde, w chwili kiedy samochód zawracał ku Tuileries, Mazeroux zapytał:

— Nie wraca pan do siebie?

— Nie, trzeba przede wszystkim uwolnić Marię Annę Fauville od prześladowanej ją myśli samobójczej, to jest powiadomić ją, że prawdziwi winowajcy są nareszcie odkryci. W tym celu udamy się wprost do Demaliona...

— Demalion jest nieobecny i wróci dopiero po południu.

— W takim razie jedziemy do sędziego śledczego.

— Sędzia będzie w Pałacu Sprawiedliwości dopiero o dwunastej, teraz zaś mamy jedenastą.

— Przekonamy się.

Mazeroux miał słuszość; w Pałacu Sprawiedliwości nie było nikogo. Don Luis zjadł śniadanie w pobliskiej restauracji, Mazeroux zaś udał się do dyrekcji policji, po czym wrócił, żeby go zaprowadzić do gabinetu sędziów. Jego zdenerwowanie i silny niepokój zwróciły uwagę sierżanta.

— No cóż? Zdecydowany pan jak zawsze? — zapytał.

— Więcej niż kiedykolwiek. Jedząc śniadanie przerzuciłem dzienniki i jak się okazuje, pani Fauville, która po drugiej próbie samobójstwa przeniesiona została do infirmerii, starała się znów rozbić sobie głowę o ścianę pokoju. Włożono jej więc kaftan bezpieczeństwa. Ona zaś odmawiała pożywienia. Moim obowiązkiem jest ratować ją!

— W jaki sposób?

— Wydając prawdziwych winowajców. Uprzedzę sędziego śledczego i dziś wieczorem przywiozę wam Florencję Levasseur żywą lub umarłą.

— A Sauverand?

— Sauveranda też. Chyba że...

— Chyba że co?

— Że się z nim sam rozprawię.

— Szefie!...

— Stul...

Dziennikarze poznając Perennę ubliżyli się do nich, prosząc o informacje.

— Możecie panowie zapowiedzieć, że od dziś biorę w obronę Marię Annę Fauville i poświęcam się całkowicie jej uniewinnieniu.

Ze wszech stron odezwały się protesty. Przecież to on pierwszy oskarżył ją. On zebrał przeciw niej całą osnowę niezbitych dowodów...

— Wszystkie te dowody obalę jeden po drugim. Maria Anna Fauville padła ofiarą niecných knowań, które dziś jeszcze wyjaśnię sprawiedliwości...

— Lecz owe zęby?... Odcisk jej zębów?

— Traf. Traf niesłychany, który dziś uważam właśnie za najlepszy dowód jej niewinności. Gdyby bowiem Maria Anna Fauville była dość przebiegła, żeby popełnić wszystkie te zbrodnie, byłaby nią też dostatecznie, żeby nie zostawiać po sobie dowodów tak kompromitujących, jak odcisk własnych zębów.

— Jednakże...

— Pani Fauville jest niewinna! Raz jeszcze powtarzam i pójdę wprost stąd do sędziego śledczego, żeby mu to powiedzieć. Trzeba i ją zaraz uwiadomić o krokach czynionych dla uniewinnienia jej. Trzeba w nią wlać nadzieję. Gdyż inaczej zabije się i śmierć jej dążyć będzie na tych wszystkich, którzy obwiniali niewinną. Trzeba...

Przerwał i szepnął do Mazeroux:

— Czy nie mógłbyś mi się dowiedzieć, jak się nazywa ten jegomość na prawo? Gdzieś go już widziałem, lecz nie mogę sobie przypomnieć, kto to taki?

W tej chwili właśnie jeden z woźnych otworzył drzwi do gabinetu sędziego śledczego, który wyczytawszy na karcie wizytowej nazwisko Perenny kazał go prosić natychmiast.

Don Luis skierował się ku drzwiom i miał już wejść wraz z sierżantem, kiedy odwrócił się nagle do towarzysza z okrzykiem wściekłości:

— To on! To Sauverand tu był w przebraniu! Zatrzymajcie! Nie dajcie mu się wymknąć! Śpieszcie się!...

Rzucił się sam w pogoń, a za nim Mazeroux i dziennikarze. Wyprzedził ich jednak od razu, tak że po paru minutach nie słyszał już nikogo za sobą. Zbiegł pędem ze schodów i przebył w kilku skokach przejście podziemne, prowadzące z jednego podwórza na drugie. Tam spotkał dwie osoby, które go zapewniły, iż minęły tylko co człowieka, idącego przyśpieszonym krokiem.

Informacja okazała się fałszywa. Przekonał się o tym niebawem. Spowodowało to znaczną stratę czasu. Jednakże udało mu się ustalić, że Sauverand uciekł bulwarem Pałacu Sprawiedliwości i na Quai de l'Horloge spotkał młodą i ładną blondynkę, Florencję Levasseur widocznie... Oboje wsiedli do autobusu idącego z placu św. Michała do dworca św. Łazarza.

Don Luis wrócił do swego auta, które zostawił w bocznej uliczce pod opieką jakiegoś chłopaka. Puścił w ruch motor i pełną szybkością skierował się na dworzec św. Łazarza. Z biura autobusów puścił się w ślad za nowym tropem, jak się okazało fałszywym. Stracił znów przeszło godzinę, wrócił na dworzec i doszedł do przekonania, że Florencja sama wsiadła do autobusu idącego na plac Palais-Bourbon. Przeciwnie wszelkiemu prawdopodobieństwu wróciła widocznie do domu.

Myśl ujrzenia jej podniecała jego gniew. Jadąc ulicą Królewską i przejeżdżając plac Concorde powtarzał słowa groźby i zemsty, które by pragnął jak najprędzej wykonać. Obsypywał ją w myśli obelgami. Odczuwał żądzę zgnębienia tej podłej istoty.

Lecz przybywszy na plac Palais-Bourbon zatrzymał się na miejscu. Objąwszy plac wzrokiem zauważył od razu co najmniej pół tuzina różnych osobistości, których zachowanie i wygląd nie mogły ująć jego uwagi. Rozpoznał w nich natychmiast tajnych agentów. Mazeroux zaś, ujrawszy go z daleka, zawrócił się na pięcie i ukrył w najbliższej bramie.

Don Luis zawołał sierżanta, który się wydawał ogromnie zdziwiony jego widokiem. Twarz jego wyrażała takie zamieszanie, że Perenna uczuł przejmujący go niepokój.

— Słuchaj, mam nadzieję, że to nie dla mnie twoi agenci tu spacerują?...

— Ależ cóż znowu, szefie! — odrzekł Mazeroux strapiony. — Pan jest przecież w łaskach!...

Don Luis drgnął, zrozumiał bowiem, że go Mazeroux zdradził. I rzeczywiście, sierżant trochę przez skrupulatność, trochę zaś, żeby uwolnić szefa od nowej fatalnej miłości, wydał Florencję Levasseur.

Perenna musiał użyć całego wysiłku woli, żeby opanować ogarniającą go wściekłość. Pojął nagle wszystkie błędy popełnione wskutek szału zazdrości,

miotającego nim od wczoraj. Przeczuiwać też zaczął złowrogie skutki, które z tego wynikną. A co najgorsze, kierownictwo wydarzeń wymykało mu się z rąk.

— Czy masz mandat? — zapytał.

— Nie... to jest, niby... Trafem spotkałem prefekta, który był tylko co wrócił... i rozmówiliśmy się co do tej panny. No i okazało się właśnie, że ta fonografia, którą panu prefekt pożyczał, została przez pana wyretuszowana. Toteż jak powiedziałem imię Florencja, to prefekt od razu zaraz sobie wszystko przypomniał...

— A więc masz mandat?

— No, jakże? trzeba było... Demalion... i sędzia...

Gdyby plac Palais-Bourbon był pusty, byłby sobie don Luis niezawodnie ulżył przez poczęstowanie, sierżanta „swingiem” w brodę, według wszelkich przepisów sztuki. Mazeroux, przewidując tę okoliczność, trzymał się ostrożnie w przyzwoitym oddaleniu, starając się przy tym złagodzić gniew szefa całą litanią usprawiedliwień.

— Przecież to dla pańskiego dobra, szefie... Nie można było inaczej... Proszę sobie przypomnieć! Nakazał mi to pan wyraźnie: „Uwolnij mnie od tej istoty. Ja się na to nie zdobędę. Zaresztujesz ją, nieprawdaż? Oczy jej palą mnie... To prawdziwa trucizna...” Czyż więc mogłem inaczej postąpić? Niechże pan sam powie! Tym bardziej, że komisarz Weber...

— Ach, więc i Weber też jest powiadomiony?...

— Ano tak! Prefekt już panu trochę nie ufa, od kiedy przekonał się o wyretuszowaniu portretu. Więc Weber przybędzie tu pewnie za jaką godzinę z pomocą. Ale zacząłem, panu opowiadać, że komisarz dowiedział się, że osoba, która odwiedzała Gastona Sauveranda w Neuilly, wie pan, tam na bulwarze Richard-Wallace, była blondynką bardzo ładną i nazywała się Florencja. Często nawet zostawała tam na noc.

— Kłamiesz! — syknął Perenna.

Nienawiść zalewała mu znów serce. Ścigał przed chwilą Florencję, nie zdając sobie jasno sprawy, w jakim celu. W chwili tej zaś zapragnął jej zguby świadomie. Sam już nie wiedział co czyni, porwany prądem rozbieżnych uczuć, opętany tą rozszalałą namiętnością, która niejednokrotnie zniewolić może człowieka do pozbawienia życia ukochanej istoty jak i do złożenia jej w ofierze ostatniej kropli krwi.

Roznosiciel gazet przeszedł w pobliżu, wykrzykując na cały głos:

— Deklaracja don Luisa Perenny! Pani Fauville niewinna! Bliskie aresztowanie winowajców!

— Tak — wyrzekł głośno Perenna. — Dramat zbliża się ku końcowi. Florencja zapłaci zaciągnięte długi. Tym gorzej dla niej!...

Puścił swoje auto w ruch, wjechał w bramę i powiedział szoferowi, który się przybliżył:

— Zawróć autem, lecz go do garażu nie zamykaj, gdyż może mi wypadnie lada chwila znów wyjechać.

Wysiadłszy z auta zapytał kamerdynera:

— Czy jest panna Levasseur?

— Tak, jest w swoim apartamencie.

— Wczoraj wyjeżdżała, nieprawdaż?

— Tak, proszę pana, wyjeżdżała do chorej ciotki, wezwana depeszą. Dziś w nocy wróciła.

— Potrzebuję się z nią rozmówić. Proszę mi ją zawołać.

— Czy do gabinetu?

— Nie, do buduaru na górę.

Był to niewielki pokój koło jego sypialni na drugim piętrze. Dawniej służył widocznie za damski buduar. Perenna przebywał w nim chętnie w ostatnich czasach i

wolał go od gabinetu po niedawnych próbach zabójstwa, które go tam spotkały. Czuł się tu bezpieczniejszym więcej na uboczu, i tu też przechowywał ważniejsze papiery. Z kluczem od buduaru nie rozstawał się nigdy. Był to klucz niezmiernie skomplikowany, o potrójnych, nacięciach i wewnętrznej sprężynie.

Mazeroux towarzyszył Perennie i nie odstępował go na krok, lecz ten nie zdawał się na to zważać. Po chwili wziął sierżanta pod ramię i rzekł mu, prowadząc go ku domowi:

— Wszystko w porządku. Obawiałem się, że Florencja przeczuwając niebezpieczeństwo nie wróci. Widocznie jednak nie spostrzegła się, że ją widziałem wczoraj. Teraz nam już nie umknie.

Przeszli hall i weszli na pierwsze piętro. Mazeroux zacierał ręce z radości.

— Cieszę się, widząc pana tak rozsądnym!

— Na wszelki wypadek jestem zupełnie zdecydowany. Nie mogę dopuścić do tego, żeby się pani Fauville zabiła, ponieważ zaś nie widzę innego sposobu, żeby tej katastrofy uniknąć, poświęcam Florencję.

— Bez żalu?

— Bez wyrzutu sumienia...

— A więc przebacza mi pan?

— Dziękuję ci nawet...

Mówiąc to mocnym uderzeniem pod brodę powalił sierżanta na ziemię.

Mazeroux padł zemdlony na schodach drugiego piętra, nie wydając nawet jęku.

W tym miejscu właśnie zrobiona była w murze mała komórka ciemna, która służyła jako schowek dla gospodarskich przyborów: szczotek, ścierek oraz brudnej bielizny. Don Luis zaniósł tam sierżanta, posadził go wygodnie na ziemi, opierając go plecami o kufer, wsadził mu chustkę do ust i zakneblował serwetą, związał mu ręce i nogi dwoma obrusami, końce zaś przytwierdził mocno do podłogi dużymi gwoździami.

Ponieważ sierżantowi wracała już powoli przytomność, rzekł mu na pożegnanie:

— Zdaje mi się, że masz tu wszystko, co d trzeba... obrusy... serwetki... i gruszkę w ustach dla zaspokojenia pragnienia. Spożywaj ją sobie w spokoju. A gdybyś się zdrzemnął trochę, to wyjdiesz stąd wypoczęty i świeży jak pączek róży.

Po czym zamknął go i spojrzał na zegarek.

— Mam całą godzinę czasu. To wystarczy...

Miał zamiar zwymyślać Florencję, rzucić jej w twarz wszystkie zbrodnie popełnione i wymusić przyznanie się do winy na piśmie. Zapewniwszy tym sposobem uwolnienie pani Fauville zobaczyłby dopiero, co dalej czynić. Może by wywiózł Florencję swoim samochodem i ukrył gdzieś na prowincji... A może... Sam jeszcze nie wiedział. Jediną rzeczą, której pragnął w tej chwili, było natychmiastowe i gwałtowne rozmówienie się z Florencją.

Pobiegł do swego pokoju i zanurzył twarz w zimnej wodzie. Nigdy jeszcze nie odczuwał takiego podniecenia całego organizmu, takiego szału pierwotnych instynktów.

— To ona! Słyszę ją! — wyszeptał. — Zbliża się! Co za rozkosz mieć ją tu nareszcie samą! Zajrzeć jej do głębi duszy... Być panem jej losu!

Skierował się do buduaru. Sięgnął po klucz... Drzwi otworzył...

I krzyknął ze zdumienia.

Pośrodku zamkniętego pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersi stał Gaston Sauverand.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sauverand tłumaczy się

Gaston Sauverand!

Instynktownie don Luis cofnął się i wyjąwszy rewolwer z kieszeni wymierzył do bandyty.

— Ręce do góry! — rozkazał — ręce do góry, bo strzelę!

Sauverand spokojnie wskazał mu spojrzeniem dwa rewolwery leżące na stole i rzekł:

— Oto moja broń. Nie przyszedłem tu walczyć, lecz rozmówić się.

— Jak pan tu wszedł? — zawołał don Luis, którego irytował spokój przeciwnika.

— Za pomocą fałszywego klucza chyba? Ale gdzie go pan dostał?

Sauverand nie odpowiadał. Don Luis uderzył pięścią w stół.

— Mówże pan! Mów, bo...

W tej chwili nadbiegła Florencja. Minęła Perennę, który nie usiłował jej zatrzymać i rzuciła się ku Gastonowi Sauverandowi, wołając:

— Czemu pan tu przyszedł? Obiecał mi pan przecież... przysiągł mi pan...

Sauverand uwolnił się z jej objęć i nakłonił ją, żeby usiadła na fotelu.

— Nie przeszkadzaj mi, Florencjo. Moje obietnice miały na celu uspokojenie ciebie tylko. Zostaw mnie.

— Nie... nie... — zaprzeczyła dziewczyna gorąco — to szaleństwo! Zabraniam panu mówić cokolwiek... Błagam pana, niech pan milczy!

Powoli pogładził ją po czole, odchylając jej złote włosy.

— Nie przeszkadzaj mi, Florencjo — powtórzył z cicha.

Ona umilkła, jakby rozbrojona łagodnością jego głosu. On zaś powiedział jej jeszcze słów parę, których don Luis nie dosłyszał, a które zdawały się ją przekonywać. Naprzeciw nich Perenna stał nieporuszony z wyciągniętym ramieniem i palcem na cynglu, mierząc w nieprzyjaciela.

Kiedy Sauverand przemówił do Florencji po imieniu, Perenna drgnął od stóp do głowy i cudem chyba nie wystrzelił. Nadludzkiem wysiłkiem woli opanował szal nienawiści i zazdrości, palący go jak ogień, Opuścił ramię. Zabije ich później. Tak, później się z nimi rozprawi. I tak są przecież w jego mocy i nic ich od zemsty nie uchroni.

Chwycił oba rewolwery Sauveranda i schował je do szuflady. Następnie podszedł do drzwi, żeby je zamknąć. Lecz usłyszawszy jakiś ruch na schodach wyjrzał żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Był to kamerdyner z listem na tacy.

— Co to? — zapytał Perenna.

— List bardzo ważny dla pana Mazeroux.

— Pan Mazeroux jest tu ze mną, proszę mi to dać i więcej pod żadnym pozorem nie przeszkadzać.

Rozerwał kopertę. List był naprędce pisany ołówkiem ręką jednego z inspektorów policji strzegących pałacu i brzmiał jak następuje:

„Sierzancie, miejcie się na baczności, Gaston Sauverand jest w pałacu. Dwie osoby mieszkające naprzeciw widziały młodą osobę, znaną w tej dzielnicy jako rządczynię domu, wracającą jakieś półtorej godziny przed naszym przybyciem. Widziano ją potem w oknie pawilonu. Następnie w kilka chwil później małe drzwiczki, prowadzące do piwnicy pod pawilonem otwarły się. I prawie równocześnie jakiś mężczyzna prześliznął się pod murem i znikł w drzwiach od piwnicy. Był to bez wątpienia Gaston Sauverand. A więc, sierzancie, miejcie się na baczności. My zaś w każdej chwili gotowi jesteśmy przybyć z pomocą”.

Don Luis zastanowił się chwilę. Zrozumiał nareszcie, jaką drogą bandyta ów dostawał się do jego mieszkania i jak ukryty w najbezpieczniejszej kryjówce mógł się wymknąć dotychczas wszelkim poszukiwaniom.

— Tym razem porachunek go nie minie... ani też jego pannę! Będą mieli do wyboru kulę z mego rewolweru albo kajdanki...

Nie myślał już o samochodzie ani ucieczce Florencji. Dwie tylko ewentualności stawały przed nim jasno: jeśli ich nie zabije, to odda ich w ręce sprawiedliwości. Może by i lepszym było to ostatecznie wyjście, niech społeczeństwo samo ukarze winowajców, których on mu wyda.

Zamknął drzwi i zaryglował je. Po czym wzięwszy krzesło usiadł naprzeciw swych więźniów i rzekł do Sauveranda:

— A teraz rozmawiamy.

Pokój, w którym się znajdowali, był niewielki. Don Luis miał uczucie, że dotyka prawie tego człowieka, którego nienawidzi do głębi duszy. Co najwyżej metr oddzielał ich od siebie. Stół podłużny wznosił się pomiędzy nimi a oknem, którego framuga wycięta w grubym murze tworzyła niszę, jakie się widuje tylko w starych mieszkaniach.

Florencja zwróciła swój fotel tak, że don Luis nie rozróżniał dobrze jej rysów. Lecz widział w pełni twarz Gastona Sauveranda i obserwował go z gorącą ciekawością i gniewem, pobudzonym na widok jego rysów młodych jeszcze, o ustach wyrazistych i oczach inteligentnych i pięknych, pomimo ostrego wejrzenia.

— A więc czekam... Niech pan mówi — rzekł don Luis tonem rozkazującym. — Zgodziłem się na zawieszenie broni, lecz tylko chwilowo, żeby panu dać czas wypowiedzenia słów niezbędnych. Czyżby się pan bał teraz? Czy żałuje pan uczynionego kroku?

Spokojny uśmiech rozjaśnił twarz Sauveranda, który odpowiedział:

— Nie obawiam się niczego i nie żałuję że przyszedłem, gdyż mam przecucie, że możemy, a nawet musimy się porozumieć...

— Jak to porozumieć się? — rzucił się Perenna.

— Dlaczego nie?

— Sojusz pomiędzy panem a mną?

— Dlaczego nie? Myśl ta przychodziła mi już po kilkakroć, dziś zaś wydaje mi się możliwa do urzeczywistnienia, od kiedy przeczytałem pańską deklarację w dziennikach, głoszącą niewinność pani Fauville. Czy wierzy pan w to naprawdę?

Don Luis wzruszył ramionami.

— Niewinność pani Fauville nie ma tu nic do rzeczy. Nie o nią nam idzie, lecz o was dwoje i o mnie. A więc prosto do celu i to jak najprędzej. Jest to w waszym interesie jeszcze więcej niż w moim.

— W naszym interesie?

— Ano tak, zapominacie widocznie o dalszym ciągu mojej deklaracji. Głosiłem w niej nie tylko niewinność pani Fauville, lecz zapowiedziałem też bliskie aresztowanie rzeczywistych winowajców.

Sauverand i Florencja podnieśli się z miejsc równocześnie.

— A dla pana... winowajcy?...

— Ha, cóż! Znacie ich równie dobrze jak ja. Jest nim człowiek o hebanowej lasce, który na wszelki wypadek nie może zaprzeczyć zabójstwu inspektora Aucenisa, i współniczka jego wszystkich zbrodni. Oboje pamiętają niezawodnie kilkakrotne próby pozbawienia mnie życia... i nie dalej jak wczoraj w stodole tej, gdzie wiszą szkielety, ową kosę, która mi o mało głowy nie ścięła...

— A więc?

— A więc przegraliście. Musicie więc długi płacić, tym bardziej że się w najgłupszy sposób sami rzuciliście w lwią paszczę.

— Nie rozumiem? Co to znaczy?

— To znaczy po prostu, że Florencję Leyasseur już znają. Że wiedzą, iż pan się tu znajduje. Że dom jest otoczony policją i lada chwila zjawi się tu komisarz Weber.

Sauverand wydawał się mocno zmieszany tą nieoczekiwaną groźbą. Florencja była blada jak płótno i szalony niepokój odbijał się na jej twarzy.

— Stało się — rzekł Sauverand po chwili skupienia. — Niech się przeznaczenie spełni! Czy mogę jednakże przedtem powiedzieć panu wszystko? Jest to już moim jedynym pragnieniem.

— Proszę, niech pan mówi. Drzwi są zamknięte, otworzę je, kiedy sam zechcę.

— Postaram się być treściwym, tym bardziej, że wiem niewiele. Nie proszę też pana o wiarę w słowa moje, lecz chciałbym, żeby mnie pan wysłuchał, przypuszczając możliwość, że mówię prawdę.

I zaczął w tych słowach:

— Nie znałem Hipolita Fauville'a ani Marii Anny, choć korespondowaliśmy ze sobą, jak panu wiadomo, jestem bowiem ich bliskim krewnym, kiedy los zbliżył nas przed paru laty w Palermo, gdzie spędzali zimę. Przebyliśmy tam pięć miesięcy razem, widując się ciągle. Pomiędzy małżeństwem zachodziły częste nieporozumienia. Kiedyś po jakiejś ostrzejszej sprzeczce zastałem ją płaczącą. Wzruszony do głębi jej łzami, nie mogłem dłużej utrzymać mojej tajemnicy. Od pierwszego wejrzenia kochałem Marię Annę... I miałem ją kochać zawsze, coraz bardziej.

— Kłamie pan! — przerwał don Luis gwałtownie. — Widziałem was wczoraj w pociągu koło Alencon!

Sauverand spojrział na Florencję; siedziała milcząca z głową opartą na ręku. Nie odpowiadając więc na wykrzyknik Perenny ciągnął dalej:

— Maria Anna też mnie kochała. Wyznała mi to, lecz kazała mi równocześnie przysiąc, iż nigdy nie zażadam od niej więcej niż to, na co może zezwolić przyjaźń najczystsza. Dotrzymałem przysięgi. Mieliśmy wówczas kilka tygodni niezrównanego szczęścia. Hipolit Fauville podkochiwał się w jakiejś śpiewaczce kabaretowej i często bywał nieobecny. Ja zaś gorąco zająłem się wychowywaniem fizycznym Edmunda, którego zdrowie pozostawiało wiele do życzenia. Mieliśmy też przy sobie najlepszą przyjaciółkę, serdeczną i oddaną, śpieszącą zawsze z dobrą radą i pociechą, podtrzymującą naszą energię i humor, która udzielała naszej miłości coś ze swojej siły i szlachetności; jednym słowem Florencja była z nami.

Don Luis uczył przyspieszone tętno serca. Niewiele wprawdzie wiary wzbudzały w nim słowa Gastona Sauveranda, lecz miał nadzieję, że poprzez te słowa dotrze jednakże do jądra prawdy. Może też poddawał się bezwiednie wpływowi Gastona Sauveranda, którego szczerłość pozorna wywoływała w nim pewne zdziwienie.

Sauverand mówił dalej:

— Piętnaście lat temu brat mój, Raul Sauverand, zamieszkały w Buenos Aires, zaopiekował się sierotą, córeczką swoich przyjaciół. Umierając powierzył ją starej bonie, która mnie swego czasu wychowała i która wyjechała później wraz z nimi do Ameryki Południowej. Zaczynała ta staruszka przywiozła mi ową dziewczynkę, wówczas już czternastoletnią, i wkrótce po przyjeździe do Francji umarła skutkiem wypadku. Zawiozłem dziewczynkę do Włoch i umieściłem ją u przyjaciół, pod kierunkiem których uczyła się i pracowała i stała się... tym, czym jest. Pragnąc zarabiać na własne utrzymanie przyjęła miejsce nauczycielki w prywatnym domu. Później zaś poleciłem ją moim krewnym Fauville'om, u których spotkałem ją w Palermo, jako guwernantkę Edmunda. Chłopak ubóstwiał ją. Nie mniej ją też kochała Maria Anna Fauville. której Florencja stała się najgorętszą, najbardziej oddaną przyjaciółką. Była też i moją

serdeczną przyjaciółką w tym szczęśliwym okresie tak promiennym i krótkim, niestety! Szczęście nasze runęło nagle i to w najgłupszy sposób. Co wieczór pisałem swój dziennik, dziennik mojej miłości, pozbawionej wszelkich wydarzeń, nadziei i przyszłości, lecz jakże gorącej i wspaniałej! Marię Annę podnosiłem w nim pod niebiosa i czciłem jak bóstwo, układając do niej litanie o jej piękności. Podniecona imaginacja podsuwała mi nieraz obrazy, w których ubóstwiana istota w gorących słowach obiecywała mi rozkosze, których wyrzekliśmy się dobrowolnie. Otóż nie wiem dotychczas jakim trafem czy też zrządzeniem losu dziennik ten wpadł w ręce Hipolita Fauville'a. Gniew jego był straszny. W pierwszej chwili chciał żonę wypędzić. Jednakże wobec jej zachowania, wobec dowodów jej niewinności, wobec jej silnego oporu przeciw rozwodowi i obietnicy niewidywania mnie więcej uspokoił się w końcu. Wyjechałem z rozpaczą w duszy. Florencja wydalona też wyjechała. I od tej pory nigdy, mogę panu na to przysiąc, nigdy nie zamieniłem słowa z Marią Anną. Łączyła nas jednak miłość dozgonna, której ani rozłąka, ani czas osłabić nie były zdolne.

Zatrzymał się chwilę, chcąc jakby wyczytać na twarzy don Łuisa wrażenie wywołane jego słowami. Perenna nie ukrywał żywego zainteresowania. Zdumiewał go najbardziej niesłychany spokój Gastona Sauveranda, głęboki wyraz jego oczu i swoboda, z jaką mówił spokojnie z ogromną prostotą o tym dramacie moralnym swego życia.

— Co za komediant! — pomyślał.

I myśląc to przypomniał sobie, że Maria Anna Fauville zrobiła na nim to samo wrażenie. Miałaby więc powrócić do swego pierwotnego zdania i uważać Marię Annę za winną i komediantkę na równi z jej współnikiem Sauverandem i Florencją? Czy też udzielić trochę kredytu słowom tego człowieka?

— I cóż dalej? — zapytał.

— Następnie zostałem zmobilizowany w jednym z miast środkowej Francji.

— A pani Fauville?

— Maria Anna mieszkała z mężem w Paryżu i o przeszłości nie było więcej mowy między nami.

— Skąd pan o tym wie? Czy pisywała do pana?

— Nie, pani Fauville miała, zbyt wysokie poczucie honoru i surowe pojęcie obowiązku; nie pisała do mnie ani razu. Lecz Florencja, która przyjęła miejsce sekretarki i lektorki u barona Malonesco, miewała w swoim pawilonie częste wizyty Marii Anny. Nie mówiły o mnie nigdy, ale dusza Marii Anny pozostała mi oddaną na wieki i wszystkie jej myśli i uczucia do mnie należały. Nieprawdaż, Florencjo? W końcu, znużony długotrwałym oddaleniem od niej i zresztą zdemobilizowany, wróciłem do Paryża. Niestety, stało się to naszą zgubą. Było to mniej więcej przed rokiem. Nająłem mieszkanie przy ulicy du Roule i żyłem tam w odosobnieniu kompletnym, obawiając się, żeby wiadomość o moim powrocie nie doszła do Hipolita Fauville'a. Gdyż spokój Marii Anny był mi droższym nad wszystko. Tylko Florencja odwiedzała mnie od czasu do czasu. Wychodziłem mało i tylko pod wieczór przeważnie w oddalone aleje Lasku Bulońskiego. Zdarzyło się jednak, że mimo wszelkich heroiczych postanowień zawiodły mnie bezwiednie kroki w stronę bulwaru Suchet i przeszedłem pod oknami willi Fauville'ów. Traf chciał, że był to piękny wieczór letni i Maria Anna stała w oknie swego pokoju. Zobaczyła mnie i poznała, byłem tego pewny, i nogi zdrząły pode mną ze wzruszenia. Był to wtorek i od tej pory każdego wtorku około jedenastej przechodziłem pod oknami Marii Anny Fauville. I prawie zawsze, pomimo iż jej towarzyskie stanowisko zmuszało ją do częstego bywania w świecie, prawie zawsze Maria Anna była w oknie, dając mi tę radość bezmierną i nieoczekiwaną.

— Prędej! prędej!... do rzeczy... — przerwał Perenna. — Każda chwila jest droga!

— Prędeż mówić nie mogę. Każde moje słowo jest obmyślane i pełne wagi, opuścić nic nie mogę, gdyż nie w odosobnionych faktach znajdzie pan wyjaśnienie, lecz w całości, złożonej z najdrobniejszych, powiązanych ze sobą szczegółów. Tam się prawda ukrywa.

— Prawda ta zaś ma udowodnić pańską niewinność?

— Niewinność pani Fauville.

— Ależ ja o niej nie wątpię.

— Cóż z tego, jeśli pan jej nie potrafi dowieść?!

— Pańską rzeczą jest dostarczyć mi dowodów!...

— Dowodów panu nie dostarczę, gdyż ich nie mam!

— Jak to? I chce pan żebym wierzył? — zawołał Perenna z irytacją w głosie. — Nie!... po stokroć nie!... Jeśli mi pan nie dostarczy zupełnie przekonujących dowodów, nigdy pańskim słowem nie uwierzę!

— Uwierzył pan jednakże w to, co dotychczas mówiłem — odparł spokojnie Sauverand.

Don Luis nie zaprzeczył. Spojrzał na Florencję Levasseur i wydało mu się, iż patrzyła na niego z mniejszą odrazą i jakby pragnąc ze wszystkich sił, żeby się opierał ogarniającym go wrażeniom. Szepnął więc:

— Niech pan mówi dalej.

— Zbliżamy się właśnie do najważniejszych wydarzeń — ciągnął swoim poważnym głosem Sauverand. — Wydarzeń, które w nowym dla pana oświeceniu, jednakże ściśle zgodnym z prawdą, dowiodą panu naszej dobrej wiary. Zły los zdarzył, że w czasie jednej z moich przechadzek w alejach Lasku Bulońskiego, znalazłem się na drodze Hipolita Fauville'a. Przez ostrożność więc zmieniłem mieszkanie i przenieśliśmy się do owego domku przy bulwarze Richard-Wallace, gdzie Florencja odwiedzała mnie parokrotnie. Wkrótce jednak i tegośmy się wyrzekli, a korespondowaliśmy tylko na poste-restante. Uspokojony zupełnie, pracowałem w kompletnej samotności i bezpieczeństwie, nie obawiając się niczego. Toteż jak grom z jasnego nieba spadło na mnie nieszczęście. Kiedy prefekt policji wraz ze swymi agentami przyszli mnie aresztować, dowiedziałem się od nich równocześnie o zamordowaniu Hipolita Fauville'a i Edmunda oraz o aresztowaniu mojej ukochanej Marii Anny!

— To niemożliwe! — wykrzyknął znów don Luis Perenna z irytacją. — Wypadki te znane już były wszystkim od dwóch tygodni, nie mógł pan o nich nie wiedzieć!

Sauverand odparł stanowczo:

— Jednakże nie wiedziałem! Choć się to panu wyda nieprawdopodobnym, nie czytuję nigdy dzienników. Uważam to za absolutną stratę czasu, gdyż nie cierpię polityki i nienawidzę plotek. Z drugiej strony w dniu zbrodni powiadomiłem Florencję, że wyjeżdżam na parę tygodni. Rozmyśliłem się jednak i pozostałem w Paryżu, nie dając jej o tym znać. Przekonana o moim wyjeździe i nie wiedząc gdzie mnie szukać, nie mogła uprzedzić mnie o zbrodni i aresztowaniu Marii Anny, ani też o poszukiwaniach skierowanych przeciw „człowiekowi z hebanową laską”.

— Nie zaprzeczy pan chyba, że „człowiek z hebanową laską”, ten, który w kawiarni „Pont-Neuf” wykradł inspektorowi Verotowi list...

— Ależ ja nie jestem tym człowiekiem — przerwał mu Sauverand. — W tym wszystkim jest jakaś niewytłumaczona pomyłka, gdyż moja noga nigdy nie postąpiła w kawiarni „Pont-Neuf”. Mogę to panu przysiąc! Więc, jak to panu już mówiłem, nie wiedziałem o niczym. Grom był nieoczekiwany! I dlatego też cios ten wywołał we mnie nieoczekiwaną reakcję, stan ducha krańcowo przeciwny mojej naturze i usposobieniu, rozbudzając we mnie nagle najdziksze i najprymitywniejsze instynkty. Na myśl, że Maria Anna została aresztowana, że była oskarżona o podwójne morderstwo, wpadłem w szal. W pierwszej chwili jednak zdołałem zapanować nad

sobą, co pozwoliło odegrać komedię przed prefektem policji... Następnie, obalając po drodze wszelkie przeszkody, uwolniwszy się od inspektora Aucenisa i sierżanta Mazeroux, wyskoczyłem przez okno z jedną myślą przewodnią: uciec! Uciec, żeby zachować wolność i móc podążyć na ratunek Marii Annie Fauville. Zabiłem inspektora Aucenisa — ale byłbym zabił bez wahania dziesięciu i dwudziestu ludzi. Życie ludzkie nie przedstawiało dla mnie żadnego znaczenia. Istniało tylko jedno: Niebezpieczeństwo grożące Marii Annie.

Gaston Sauverand wysiłkiem woli starał się odzyskać opuszczającą go zimną krew. Udało mu się to powoli, lecz głos jego pozostał zmieniony ze wzruszenia i nie mógł opanować dreszczów pożerającej go gorączki. Po chwili ciągnął dalej:

— Na rogu ulicy, w którą zwróciłem się, wyprzedziwszy agentów policji w chwili, kiedy nie wiedząc co dalej począć uważałem się za zgubionego, wyratowała mnie Florencja. Ona wiedziała o wszystkim już od dwóch tygodni. Nazajutrz po dokonanej zbrodni dowiedziała się o niej z gazet, które panu głośno czytywała i słysząc pana dyskutującego nad przebiegiem sprawy doszła do przekonania, że głównym, a może nawet jedynym wrogiem Marii Anny jest pan.

— Ależ dlaczego?

— Gdyż czyny pańskie utwierdzały ją w tym mniemaniu. Więcej niż komukolwiek zależało panu na tym, żeby Marię Annę, a potem mnie usunąć z drogi, wiodącej do milionów Morningtona. W końcu zaś...

Sauverand zawahał się... po chwili jednak rzekł:

— Znała pańskie prawdziwe nazwisko.... A według niej Arsen Lupin nie cofa się przed niczym. Przeciwno więc Arsenowi Lupinowi rozpoczęła walkę w obronie ukochanej przyjaciółki. I mnie też następnie udzieliła swoich podejrzeń i nienawiści do pana. Toteż z całej duszy rzuciłem się na pomoc. Nie będę panu opowiadał całej serii sposobów przedsięwziętych przeciw panu, gdyż zna je pan zbyt dobrze. Muszę jednak wyznać, że grałem w nich główną rolę. Najgorszą krzywdę wyrządził pan Marii Annie owymi listami Hipolita Fauville'a, gdyż panu przypisywaliśmy tę nową machinację. Jakie mogło być pochodzenie tych listów i co oznaczały... Gubiliśmy się daremnie w domysłach. Florencja śledziła pana dniem i nocą. Szukaliśmy jakiejś wskazówki, jakiegoś światełka, które by nam pozwoliło coś zrozumieć...

Toteż wczoraj rano Florencja, usłyszawszy słowa Langernault i Formigny, wymienione przez Mazeroux, przypomniała sobie, że Hipolit Fauville miał przyjaciela tego nazwiska, mieszkającego w Formigny. Domyśliła się też zaraz, że musi to mieć jakiś związek z listami inżyniera Fauville'a i że panowie jadą tam dla przeprowadzenia badań na miejscu. W pół godziny później, pragnąc też przeprowadzić śledztwo na własną rękę, wsiedliśmy do pociągu idącego do Alencon. Stamtąd dorożką pojechaliśmy do Formigny, gdzie dowiedzieliśmy się o śmierci pana Langernaulta i postanowiliśmy zwiedzić jego posiadłość. Ledwośmy się zdołali przedostać do ogrodu, kiedy Florencja nagle spostrzegła pana w oddali. Pragnąc za wszelką cenę uniknąć spotkania przebiegliśmy trawnik i ukryliśmy się poza krzewami. Pan nas jednak śledził i zbliżał się w naszą stronę. W pobliżu była jakaś stara stodoła, pchnęliśmy więc drzwi, które się rozchyliły, szybko przedostaliśmy się poprzez różne narzędzia i graty nagromadzone tam i po drabinie weszliśmy na strych. W tej samej chwili pan wszedł do stodoły. Jak potem w obronie własnej chwyciłem za kosę, jako jedyną broń, którą miałem pod ręką i jak następnie uciekaliśmy pod ogniem pańskiego rewolweru, mówić panu nie potrzebuję... Dodam więc tylko, że wieczorem w pociągu Florencja zemdląła. Kiedy ją przywodziłem do przytomności, zauważyłem, że jedna z pańskich kul zadrasnęła ją w ramię. Była to ranka nieznaczna i nie sprawiająca jej wielkiego bólu, lecz wpływało to jeszcze na naprężenie nerwów i tak już silne. Kiedy nas pan

ujrzał przez okno w wagonie na stacji Mans, Florencja spała z głową opartą na moim ramieniu.

Sauverand mówił głosem coraz bardziej wzruszonym, w którym drżała nuta szczerości i prawdy. Ani razu don Luis nie przerywał opowiadania. Z naprężoną uwagą śledził każde słowo, każdy ruch Sauveranda i zapisywał je sobie w pamięci. I w miarę wymawianych słów miał wrażenie, że obok dotychczasowej Florencji powstaje chwilami jakby druga kobieta, wolna od błota i hańby, którymi był ją okrył pod wpływem wypadków.

Gaston Sauverand siedząc w pobliżu don Luisa nie starał się już ukrywać unoszących go uczuć i z niepokojem śledził wyraz twarzy swego byłego wroga.

— Wierzy mi pan, nieprawdaż? — zapytał w końcu.

— Nie... nie... przeciwnie! — odparł Perenna, broniąc się przed wpływem tego człowieka.

— Musi pan wierzyć! — zawołał Sauverand gwałtownie. — Musi pan uwierzyć w siłę mego uczucia. Maria Anna jest moim życiem! Gdybym ją stracił, pozostałaby mi tylko śmierć... Niech ją pan ratuje! Błagam pana... Gotów jestem ponieść wszelkie kary, byle ona była wolna! Ratuj ją! bo ja nie potrafię... nie wiem co robić... Ratuj ją od więzienia i śmierci!

Łzy płynęły mu po twarzy, wyrażającej głęboką rozpacz. Florencja też cicho płakała. Don Luis uczył nagle coraz bardziej przejmujący go niepokój. Wprawdzie słuchając opowiadania Sauveranda poddawał się powoli wpływowi jego słów i przekonania jego ulegały zmianie, lecz dopiero teraz uczył nagle, że wiara jego w słowa Sauveranda jest kompletna i niezachwiana. Że Florencja nie była tą ohydłą istotą, za którą ją dotychczas uważał, lecz była kobietą o duszy równie pięknej jak jej twarz, o oczach szlachetnych i szczerych. Zrozumiał nagle, że Maria Anna i tych dwoje, walczących tak niezręcznie z miłości dla niej, zamknięci byli w żelaznej obręczy, której o własnych siłach zerwać nie zdołają. I że tę obręcz, zarysowaną nieznaną ręką on, Perenna, zacieśnił wkoło nich jeszcze bardziej z nieubłaganą zjadłością.

— O Boże! — wykrzyknął — byleby nie było za późno!

Zachwiał się pod ciosem wrażeń i myśli, które go opadły. Kotłowały mu się w mózgu najsprzeczniejsze uczucia: pewność, radość, przerażenie, rozpacz, wściekłość... Wił się jak w szponach sennej mary, widząc już w myśli ciężką rękę policjanta na ramieniu Florencji.

— Uchodźmy stąd. Uchodźmy prędzej! — wykrzyknął z dreszczem przerażenia. — To byłoby szaleństwem pozostać tu dłużej!

— Przecież dom jest osaczony przez policję... — zauważył Sauverand.

— Cóż z tego? Myślicie, że mógłbym przypuścić choć chwilę... Nie! Musimy walczyć razem... Musimy ratować panią Fauville! Przejdziemy obok agentów.

— A komisarz Weber?

— Nie ma go tu. A dopóki jego tu nie ma, podejmę się wszystkiego. Chodźmy więc. Będziecie szli za mną, lecz z daleka. Kiedy dam wam znak... i dopiero wtedy...

Odsunął rygiel drzwi i wziął za klamkę. W tej samej chwili ktoś do drzwi zapukał.

— Czego? — zapytał Perenna. — Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzano.

— Komisarz policji Weber przyszedł przed chwilą.

Don Luis był wprawdzie przygotowany na tę groźną ewentualność, zdawał się jednakże zaskoczony znienacka i powtórzył parę razy:

— Ach, Weber jest... Komisarz Weber...

Cały jego zapał rozbijał się o tę przeszkodę. Przybył Weber, wódz nieprzyjaciół, który zorganizuje atak w taki sposób, że nie pozostanie żadnej nadziei ratunku. Weber

na czele swoich agentów to siła poważna, z którą liczyć się trzeba. Nie może też być mowy o przejściu im po grzbietach...

— Otworzyłeś mu? — zapytał.

— Nie było przeciwnego rozkazu...

— Czy sam jest?

— Komisarzowi towarzyszy sześciu agentów, których. pozostawił na podwórzu.

— A komisarz gdzie się znajduje?

— Komisarz kazał się zaprowadzić do gabinetu. Myślał, że tam pana zastanie.

Perenna wahał się chwilę, po czym rzekł:

— Powiedz mu, że mnie tu nie zastałeś i że jestem w mieszkaniu panny Levasseur. Gdyby tam zechciał pójść z tobą, to tym lepiej.

Po czym drzwi zamknął. Burza, która nim wstrząsnęła, nie pozostawiła śladów na jego twarzy. Teraz, kiedy się trzeba było brać do czynu i kiedy wszystko zdawało się stracone, wracał mu ten wspaniały spokój i zimna krew, które go nie opuszczały nigdy w ważnych chwilach życia.

Zbliżył się do Florencji. Błada była bardzo i płakała cicho.

— Niech się pani nie obawia — rzekł jej. — Jeśli mnie ślepo słuchać będziecie, nic wam nie grozi.

Nic mu nie odpowiedziała. Don Luis zrozumiał, że mu jeszcze nie ufa i pomyślał z radością prawie, że ją jednak nakłoni do ufności.

— Chciałbym jeszcze wyjaśnić niektóre szczegóły — rzekł do Sauveranda.

— Proszę pytać — odparł Sauverand z najwyższym spokojem.

Wówczas, nakłaniając do dyscypliny i porządku myśli kotłujące mu w mózgu, spokojnie zapytał:

— W dniu, zbrodni, rano, kiedy człowiek z laską hebanową, którego rysopis odpowiadał pańskiemu wyglądowi wszedł do kawiarni „Pont-Neuf” — gdzie się pan znajdował?

— W domu.

— Pewny pan jest tego?

— „Najzupełniej i pewien jestem w dodatku, że w kawiarni „Pont-Neuf” nigdy nie byłem i nie wiedziałem nawet o jej istnieniu.

— Dobrze. Niech pan powie jeszcze, dlaczego, gdy się pan dowiedział o całą sprawę, nie udał się pan wprost do prefekta lub do sędziego śledczego? Czyż nie było lepiej powiedzieć mu od razu całą prawdę, niż rozpoczynać tak nierówną walkę?

— Chciałem to uczynić, jednakże po namyśle doszedłem do przekonania, że spisek uknuty przeciwko mnie był tak zręcznie obmyślany, że proste powiedzenie prawdy nie wystarczyłoby dla przekonania władz sądowych. Nie uwierzono by mi. Jakie mógłbym przedstawić dowody? Żadnych... Wówczas przeciwnie, obciążające nas dowody były tego rodzaju, że im nie było co przeciwstawić. Czyż odcisk zębów Marii Anny nie świadczył niezbicie o jej winie? Z drugiej zaś strony moje milczenie, ucieczka, zabójstwo inspektora Aucenisa, czyż nie były to też zbrodnie? Nie, dla ratowania Marii Anny musiałem być wolny.

— Lecz ona mogła mówić.

— Mówić o naszej miłości? Przede wszystkim wstrzymywała ją zwykła wstydlivość niewieścia, a potem do czego by się to przydało? Byłoby to jeszcze dodało mocy czynionym zarzutom. I stało się to właśnie z chwilą, kiedy listy Hipolita Fauville’a ukazujące się jeden po drugim wyjawiały władzom sądowym nieznanym dotąd powód przypisywanych nam zbrodni: była nim nasza miłość.

— A jak pan sobie tłumaczy te listy?

— Nie mogę ich sobie wytłumaczyć. Nie podejrzewaliśmy wcale zazdrości Fauville'a. Krył się z nią widocznie. Lecz z drugiej strony dlaczego nam nie dowierzał? Skąd to chorobliwe urojenie? Jest to dla mnie tajemnicą...

— A ślad zębów, ten ślad pozostawiony niezawodnie przez panią Fauville?

— Nie wiem. Wszystko to jest dla mnie niezrozumiałe.,

— Czy nie wie pan też, co ona robiła tego wieczoru po wyjściu z opery, między dwunastą a drugą w nocy?

— Nie... Przypuszczam, że musiała być wciągnięta w jakieś sidła. Ale przez kogo? I dlaczego? Nie chce nic powiedzieć?...

— Tego samego wieczora widziano pana na stacji Auteuil. Co pan tam robił?

— Poszedłem na bulwar Suchet, żeby o jedenastej przejść się pod oknami Marii Anny. Był to bowiem wtorek. W tydzień później byłem tam znów jak zawsze i nie wiedząc w dalszym ciągu o zbrodni i aresztowaniu Marii Anny, wróciłem tam jeszcze w następnym wtorek.

— Czy wiedział pan o spadku Morningtona?

— Nie, ani ja ani Florencja nicemy o tym nie wiedzieli i mamy wszystkie dane po temu, że Marii Annie i Fauville'owi też to wiadomym nie było.

Don Luis milczał. Szukał jeszcze w myśli, czy nie zapomniał czegoś. Potem rzekł:

— To wszystko, co wiedzieć chciałem. Ze swojej strony czy powiedział mi pan wszystko potrzebne?

— Wszystko.

— Chwila jest ważna. Możliwym jest, że się więcej nie zobaczymy. Nie dał mi pan żadnego dowodu na swe twierdzenie.

— Podąłem panu prawdę. Takiemu człowiekowi jak j pan prawda wystarcza. Ja czuję się zwyciężony. Opuszczam walkę, a właściwie oddaję się pod pańskie rozkazy. Ratuj Marię Annę.

— Wyratuję was wszystkich troje — rzekł Perenna. — Jutro wieczorem ma się ukazać czwarty list tajemniczy. Mamy dostateczną ilość czasu do opracowania planu dalszej działalności. Jutro zaś będę tam z nowymi danymi, które mi się uda zebrać, muszę zdobyć dowody waszej niewinności. Najważniejsze — to być jutro 25 maja na tym zebraniu.

— Panie, błagam pana, niech pan myśli tylko o Marii Annie! Niech pan mnie poświęci, jeśli będzie trzeba. Niech pan nawet Florencję poświęci. W jej i swoim imieniu błagam pana. Lepiej, żeby nas pan opuścił, niż gdyby pan miał narazić szanse powodzenia.

— Uratuję was wszystkich troje — powtórzył don Luis.

Uchylił drzwi i posłuchawszy chwilę rzekł im:

— Nie ruszajcie się stąd. I nie otwierajcie nikomu drzwi pod żadnym pretekstem, aż po was wrócę.

Zamknął drzwi na klucz i zszedł na pierwsze piętro. Nie odczuwał tego radosnego podniecenia, które go zwykle przejmowało przy zbliżaniu się wielkiej bitew. Gdyż stawką tym razem była Florencja i skutki możliwej klęski wydawały mu się groźniejsze niż śmierć.

Wyjrzał przez okno i zauważył agentów, pilnujących podwórza. Naliczył ich sześciu. W oknie zaś od swego gabinetu ujrzał komisarza Webera.

Masz tobie! — pomyślał — nie dał się wywieść w pole! Będzie ciężko. Widocznie nie dowierzał. Nie ma co, chodźmy!

Przeszedł pierwszy salon, wszedł do gabinetu. Weber spostrzegł go. Wrogowie zmierzli się oczyma. Kilka sekund jeszcze trwała cisza, poprzedzająca pojedynek, który musiał być szybki, ostry, bez najmniejszego wahania, bez chwili roztargnienia. W trzy minuty najdalej musiało być wszystko skończone.

Radość połączona z niepokojem malowała się na twarzy komisarza. Nareszcie miał prawo, rozkaz nawet, walczenia przeciw temu przekłętemu Perennie, przeciw któremu odczuwał nigdy nienasyconą chęć zemsty. Była to tym większa rozkoszne posiadał w ręku wszystkie atuty, gdyż don Luis broniąc Florencji i retuszując jej fotografię popełnił błąd, który się przeciw niemu zwrócił. Z drugiej strony jednak Weber nie zapomniał, że don Luis Perenna był to nie kto inny jak Arsen Lupin i myśl ta wprawiała go w pewien niepokój.

— Najmniejszy błąd, a będzie źle ze mną — myślał sobie widocznie.

Rozpoczął tonem żartobliwym:

— Jak widzę nie był pan w pawilonie panny Levasseur, jak mnie poinformował pański służący.

— Mój służący mówił według moich wskazówek. Byłem w swoim pokoju na drugim piętrze. Nie chciałem schodzić, zanim z nimi nie skończę.

— I cóż, udało się panu?

— Tak jest, Florencja Levasseur i Gaston Sauverand są tam u mnie związani i zamknięci. Może ich pan zabrać.

— Gaston Sauverand! — krzyknął Weber. — A więc to jego rzeczywiście widziano wchodzącego?

— Tak, mieszkał u Florencji Levasseur, której jest kochankiem.

— Ho, ho! jej kochankiem? — powtórzył komisarz głosem drwiącym.

— Tak, i kiedy sierżant Mazeroux sprowadził Florencję do mego pokoju, żeby ją wy badać z dala od służby, Sauverand przewidując aresztowanie kochanki miał śmiałość dogonić nas, chcąc nam ją wyrwać z rąk.

— I obezwładniliście go?

— Oczywiście.

Jasnym było, że komisarz nie daje najmniejszej wiary całej historii. Wiedział już przez Demaliona i sierżanta Mazeroux, że Perenna kocha się we Florencji. Wiedział też, że don Luis nie był człowiekiem zdolnym wydać kobietę kochaną, nawet w przystępie zazdrości.

— No, toście się dobrze spisali — rzekł z udaną dobroduszością. — Niechże mnie pan zaprowadzi do swych więźniów. Ciężką mieliście przeprawę?

— Nie bardzo. Udało mi się rozbroić tego bandytę. Jednakże Mazeroux został lekko zraniony sztyletem w palec.

— Nic poważnego?

— Ach nie, poszedł do apteki zrobić opatrunek.

Komisarz zdziwiony zatrzymał się.

— Jak to! Mazeroux nie jest na górze z więźniami?

— Nie.

— Ależ pański służący mówił mi...

— Mój służący mylił się. Mazeroux wyszedł na kilka minut przed pańskim przybyciem.

— To dziwne, moi agenci mówili mi też, że się tu znajduje. Nie widzieli go wychodzącego...

— Jak to nie widzieli go wychodzącego? — powtórzył don Luis z udanym niepokojem. — Gdzież by on był w takim razie? Mówił mi przecież wyraźnie, że idzie do pobliskiej apteki.

Komisarz z rosnącym niedowierzaniem spojrzął na Perennę. Widocznie don Luis chciał go się pozbyć, wysyłając na poszukiwanie sierżanta.

— Poślę jednego z moich agentów — rzekł. — Gdzie się znajduje ta apteka?

— W pobliżu, przy ulicy Bourgogne. Można zresztą zatelefonować.

— Ach! Można zatelefonować? — szepnął komisarz.

Teraz nic już nie rozumiał. Wyglądał na człowieka, który sam nie wie, co mu na głowę spadnie. Powoli skierował się do telefonu, zagrażając równocześnie drogę Perennie, tak żeby się ten ostatni nie mógł wymknąć. Don Luis cofnął się aż do aparatu i niby ulegając nakazowi komisarza Webera wziął do ręki słuchawkę i zawołał:

— Halo... Halo... Saxe 24-09...

Drugą ręką opartą o ścianę przeciął nieznacznie drut telefoniczny szezypczykami, które był wziął przezornie ze stołu.

— Halo... 24-09... Czy to apteka? Halo... Czy jest tam u was sierżant Mazeroux z dykcji policji? Co takiego?... Co pan mówi?... Ależ to okropne!... Czy pan jest tego pewien? Rana jest zatruta?

Ruchem szybszym od błyskawicy rzucił się Weber do aparatu, odtrącając don Luisa, który się znalazł tak jak tego pragnął na progu kabiny przy ścianie pod żelazną zasłoną. Komisarz chwycił słuchawkę, wzburzony na myśl o zatrutej ranie sierżanta.

— Halo... Halo! — zawołał, nie spuszczać oka z Perenny i nakazując mu skinieniem, żeby się nie oddalał. — Halo... Mówi komisarz Weber... Halo... Więc sierżant Mazeroux... Halo... Odpowiadajcież, do diabła!...

Nagle puścił słuchawkę, spojrzął na druty i zobaczywszy przecięcie odwrócił się, ukazując twarz, na której malowała się Wyraźnie myśl:

— Masz tobie, oszukał mnie!

Perenna stał trzy kroki za nim, oparty od niechcienia o ścianę arkady. I uśmiechał się. Uśmiechał się mile, z serdeczną dobrodusnością.

— Nie ruszaj się — rzekł mu, skinąwszy prawą ręką.

Weber stał jak wryty, przerażony tym uśmiechem, nie wróżącym nic dobrego.

— Nie ruszaj się! — powtórzył don Luis. — Nie obawiaj się niczego... Nic ci się złego nie stanie. Pięć minut tylko ciemnicy dla niegrzecznego chłopczyka. Gotów jesteś? Raz, dwa, trzy, krak!

Usunął się z lekka na bok i nacisnął guzik mechanizmu. Żelazna zasłona opadła... Komisarz Weber był uwięziony.

— Dwieście milionów spada — zaśmiał się gorzko Perenna. — Piękne uderzenie, lecz troszkę drogie. Żegnaj mi spadku po Morningtonie! Żegnaj! Żegnaj mi również Perenna! A teraz, mój kochany Lupinie, jeśli nie chcesz, żeby się Weber zemścił, to zmykaj co sił starczy!

Mówiąc to zamknął z wewnątrz na klucz szerokie drzwi podwójne, prowadzące z pierwszego salonu na korytarz. Następnie wróciwszy do gabinetu zamknął drzwi wiodące do salonu.

W tej chwili uwięziony komisarz zaczął walić z całych sił w zasłonę, tak że go chyba można było przez otwarte okno na podwórzu usłyszeć.

— Głośniej, panie komisarzu — zawołał don Luis.

Wyjął rewolwer z kieszeni i dał kilka strzałów w okno, przy czym rozbił jedną z szyb. Następnie szybko wyszedł z gabinetu małymi drzwiczkami ukrytymi w boazerii ściany, przeszedł korytarzyk okalający oba pokoje i oddzielony od głównego korytarza jeszcze jednymi drzwiami i ukrywając się za odrzwia takowych, czekał.

Zwabieni wystrzałami i hałasem, czynionym przez komisarza, policjanci wpadli niebawem na korytarz i zastawszy główne drzwi zamknięte rzucili się wszyscy w boczny korytarzyk przez otwarte drzwi, za którymi ukryty był Perenna.

Tego właśnie wyczekiwał don Luis. Cicho wysunął się z kryjówki i zamknął drzwi na klucz. Policjanci również jak i komisarz byli uwięzieni.

Trzeba im będzie przynajmniej pięciu minut czasu, żeby się rozpoznać w sytuacji i, wywalić pierwsze drzwi. A za pięć minut będziemy już daleko.

Na schodach spotkał swego kamerdynera i szofera, którzy nadbiegli przerażeni. Rzucił im dwa tysiącfrankowe papierki, mówiąc do szofera:

— Puść motor w ruch, artysto. I żeby mi tam nikogo wokoło auta nie było. Po dwa tysiące jeszcze dla każdego z was, jeśli mi się uda wydostać na czyste pole. Nie róbcieź tak zgłupiałej miny. Mówię wyraźnie: dwa tysiące franków. Wasza w tym głowa, żeby je dostać! Pośpieszajcie panowie!

Sam nie śpiesząc się zbytnio wszedł na drugie piętro i skierował się do buduaru. Ogromna radość zalewała mu serce, toteż triumfującym tonem zawołał, otwierając drzwi:

— Zwycięstwo! Lecz ani chwili do stracenia. Kto żyw za mną!

Zanim dokończył tych słów, wyrwało mu się z ust straszliwe przekleństwo. W pokoju nie było nikogo.

— Co?... — wybełkotał. — Co to znaczy? Uciekli. Florencja...

Zdumionym wzrokiem rozejrzał się wokoło. I zrozumiał natychmiast. W głębokiej niszy poniżej okna szerokość muru tworzyła jakby wielką skrzynię, której drewniany wierzch tworzył wieko, podniesione w tej chwili i oparte o szyby okna. Wewnątrz zaś owej skrzyni widać było pierwsze szczeble stromych schodków, prowadzących w dół...

W jednej chwili, stanęło mu w pamięci opowiadanie o babce jego poprzednika, hrabiego Malonesco, która ukryta w pałacu swych przodków uszła wszelkich prześladowań rewolucji. Wszystko się wyjaśniło. Tajemnicze przejście, zrobione w szerokich murach pałacu, prowadziło widocznie do jakiegoś dalekiego wyjścia. Tłumaczyło się teraz, w jaki sposób Florencja mogła krążyć po pałacu nie widziana i szpiegować jego, Perennę oraz jak Gaston Sauverand wchodził i wychodził nie obawiając się niczego.

— Czemu mi tego jednak nie powiedzieli? — zapytał siebie.

Papier leżący na stole zwrócił jego uwagę. Było to kilka słów napisanych drżącą ręką Sauveranda: „Próbujemy uciec, żeby pana nie kompromitować. Tym gorzej dla nas, jeśli nas złapią. Najważniejsze jest to, żeby pan był wolny. Cała nadzieja w panu”.

Poniżej widniał dopisek Florencji: „Ratuj Marię Annę!”

— Ach! — szepnął Perenna strapiiony, nie wiedząc sam co teraz począć. — Czemu mnie nie posłuchali? Jesteśmy teraz rozdzieleni...

Na dole policjanci wybijali drzwi korytarzyka, w którym byli zamknięci. Zanim by to jednak zdołali uczynić, może by mu się jeszcze udało dotrzeć do auta? Zdecydował się jednak uciekać tą samą drogą co Florencja i Sauverand, w nadziei odnalezienia ich i udzielenia im pomocy w razie niebezpieczeństwa. Przerzucił więc nogę przez brzeg skrzyni i stanąwszy na pierwszych szczeblach schodków zaczął się spuszczać na dół.

Na wysokości pierwszego piętra znajdował się tunel sklepiony, wydrążony w szerokości muru, tak wąski, że trzeba było iść bokiem. Oświecając sobie drogę latarką szedł don Luis przed siebie. Uszedłszy z trzydzieści metrów zbliżył się do zakrętu, który pod prostym kątem zwracał się na lewo i również długim tunelem doszedł do otworu wyciętego w podłodze, gdzie widać było stopnie schodów. Niewątpliwie zbiegowie tędy uciekali. Na dole znalazł się w otwartej szafie ściennej zakrytej zwykle firanką, teraz rozsunietą. Poniżej szafy było umieszczone duże łóżko, wypełniające prawie całą alkowę. Don Luis przeszedł alkowę i wszedł do pokoju, oddzielonego od niej kotarą. I tam dopiero zrozumiał, że jest w salonie Florencji.

Tym razem znalazł już wyjście wcale nie tajemnicze, gdyż wychodzące na plac Palais-Bourbon, ale pewne i dyskretne, którego Sauverand używał zwykle, odwiedzając Florencję. Perenna przeszedł więc przedpokój, zszedł kilka stopni i trochę przed kredensem zbiegł ze schodów, prowadzących do piwnicy. W cieniu zarysowały się niskie drzwi z okienkiem zakratowanym w górze. Po omacku znalazł zamek i uradowany, że doszedł do celu wyprawy, otworzył je.

— Psiakrew! — krzyknął, cofając się gwałtownie i pośpiesznie drzwi zamykając.

Dwóch policjantów w mundurach pilnowało wyjścia. Ujrzawszy Perennę chcieli się na niego rzucić. Co ci ludzie mogli tam robić? Czy przeszkodzili Florencji i Sauverandowi w ucieczce? Lecz w takim razie don Luis byłby ich spotkał w drodze.

Nie, musieli uciec, zanim zaczęto tego wyjścia pilnować. A teraz na mnie kolej zmykać, a to nie tak łatwo! Nie dam się chyba złapać, jak królik w norze.

Wszedł z powrotem na schody z zamiarem przemknienia się przez zabudowania gospodarskie na podwórze pałacowe, wskoczenia do samochodu i przejechania przemocą mimo wszelkich przeszkód.

Lecz kiedy miał już wyjść na podwórze, zobaczył czterech agentów koło wozowni (tych samych, których był pozamykał na górze), rozprawiających żywo. Po czym uwagę jego zwrócił zgiełk jakiś w stronie mieszkania odźwiernych. Słysząc było liczne głosy, sprzeczące się gwałtownie.

Może była to okazja prześlizgnięcia się niepostrzeżenie? Wychylił więc głowę, żeby zbadać pozycję. Widok, który mu się przedstawił, napełnił go zdumieniem. Otoczony przez policjantów i tajnych agentów, przyparty do muru i obrzucany obelgami stał Gaston Sauverand w kajdankach na rękach.

Gaston Sauverand uwięziony! Jakież to dramat rozegrać się musiał pomiędzy zbiegami i policją. Z sercem ściśniętym niepokojem wychylił się jeszcze. Ale Florencji nie ujrzał. Udało się jej widocznie uciec.

Ukazanie się Webera na ganku i słowa przez niego wymówione utwierdziły go w tym mniemaniu. Weber był wściekły ze złości. Uwięzienie go przez Perennę i ogólna porażka doprowadziły go do pasji.

— Ha! — zawołał ujrzawszy więźnia. — Przynajmniej jeden! Gaston Sauverand to wyborowa zwierzyna. Gdzieście go złowili, chłopcy?

— Na placu Palais-Bourbon — rzekł jeden z inspektorów. — Widziano go, jak zmykał drzwiami od piwnicy.

— A jego towarzyszka?

— Chybiliśmy ją szefie! Uciekła pierwsza.

— A Perenna? Nie daliście mu chyba wyjść z pałacu?

— Ten próbował też wyjść przez piwnicę w kilka minut później, ale się cofnął w porę.

Weber ryknął z radości:

— Mamy go! Będzie teraz odpowiadał. Otwarty bunt przeciw policji!... Wyraźne współnictwo z bandytami!... Zapłaci nareszcie za swoje sprawy!... Hurra! Dobrzeście się spisali! Zostawcie tu dwóch ludzi dla pilnowania Sauveranda, czterech na placu Palais-Bourbon z rewolwerem w rękę, dwóch pójdzie na dach, a reszta za mną. Zaczniemy od pokoju jego panny. A potem przeszukamy jego apartament. Do roboty, chłopcy!

Don Luis, nie czekając ataku napastników, znając już ich zamiary cofnął się niepostrzeżenie do mieszkania Florencji. Weber nie znalazł jeszcze krótszej drogi, prowadzącej przez zabudowania gospodarskie, dało mu to więc możliwość sprawdzenia, że mechanizm tajemniczej szafy ściennej Florencji działa doskonale. I że skrytka ta, ukryta w głębi alkowy i zasłonięta grubą firanką, nie zwróci na pewno niczyjej uwagi.

Następnie, znanym już tajemniczym przejściem, powrócił do swego buduaru. Tam przekonawszy się, że drewniane wieko skrzyni, kryjące wejście pod oknem, pasuje doskonale i nie pozwala się nawet domyślać istnienia jakiegoś schowka, zamknął je nad swoją głową.

W kilka minut później usłyszał hałas, czyniony przez poszukujących go policjantów.

Tak więc dwudziestego czwartego maja o godzinie piątej po południu sytuacja była następująca: Florencja Levasseur pod grozą aresztu, Gaston Sauverand uwięziony, Maria Anna Fauville w więzieniu, odmawiająca wszelkiego pokarmu w celu samobójczym i don Luis Perenna, przekonany o ich niewinności, który jeden na świecie mógłby ich wybawić, don Luis zamknięty w skrytce swego pałacu i tropiony przez dwudziestu policjantów.

Co zaś do spadku Morningtona, nie było co już o nim mówić, ostatni spadkobierca bowiem wypowiedział był wojnę wszelkim prawom i władzom społecznym.

— Doskonale — zaśmiał się szyderczo Perenna — to dopiero życie takie, jak je rozumiem! Pozycja jest prosta i jasna. Pytanie w tym jednak, w jaki sposób ja, Arsen Lupin, potrafię być jutro wieczorem obecny na zebraniu w willi Fauville'a i poprowadzić tak sprawę, żeby uratować Marię Annę Fauville, Florencję Levasseur, Gastona Sauveranda i w dodatku mego najlepszego przyjaciela, don Luisa Perennę?

Słysząc było w pobliżu głucho uderzenia. Szukano prawdopodobnie na dachach i ostukiwano ściany. Don Luis położył się na ziemi z głową opartą o ramię i zamykając oczy szepnął:

— Rozmyślajmy...



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ratunku!

Kiedy następnie Arsen Lupin opowiedział mi ten rozdział owej tragicznej historii, rzekł mi nie bez pewnej zarożumiałości: — Co mnie wówczas zdziwiło i co mnie dziś jeszcze zadziwia jako jedno z największych zwycięstw, którym miałbym się prawo poniekąd chlępić, to to, że zdołałem od razu uważać za pewnik niezbitą niewinność Sauveranda i Marii Anny Fauville.

Albowiem wszystko dobrze zważywszy, nie zaszedł żaden nowy fakt, który by mnie upoważnił do ponownego rozpatrzenia sprawy. Oskarżenia nagromadzone przeciw obu więźniom pozostawały te same i były tak poważne, że żaden sędzia śledczy nie zawahałby się podpisać aktu oskarżenia, ani też żaden sąd przysięgłych nie zatrzymałby się przed daniem potwierdzającej odpowiedzi na wszystkie pytania.

O Marii Annie Fauville nie będę panu nawet mówił, wystarczyło bowiem wspomnieć o śladach jej zębów, ażeby zdobyć pewność niezachwianą. Lecz Gaston Sauverand, syn Wiktora Sauveranda, a tym samym spadkobierca Kosmy Morningtona, Gaston Sauverand, „człowiek z hebanową laską” i zabójca inspektora Aucenisa, czy także Gaston Sauverand nie był w równej mierze winny, jak Maria Anna Fauville, on, który był na równi z nią oskarżony przez jej męża, którego zabili?

A jednakże skąd ten nagły zwrot we mnie? Dlaczego szedłem przeciw oczywistości? Czemu uwierzyłem prawdzie niewiarygodnej? Czemu przypuściłem rzecz niedopuszczalną? Dlaczego? Chyba dlatego, że prawda ma dźwięk swoisty, którego naśladować niepodobna.

Po jednej stronie były wszystkie dowody, wszystkie fakty realne, wszystkie pewności — po drugiej zaś opowiadanie... I to opowiadanie jednego z oskarżonych, a więc z góry wzbudzające nieufność, prawdopodobnie kłamliwe od pierwszego do ostatniego słowa... Lecz opowiadanie uczynione głosem szczerym i uczciwym, opowiadanie jasne i zwarte, rozwijające od początku do końca zdarzenia bez nieprawdopodobnych powikłań, opowiadanie nie dające żadnego realnego rozwiązania, lecz które swoją prawością zmuszało każdy bezstronny umysł do przejrzenia poprzednio powziętych pewności. Uwierzyłem opowiadaniu. I wierząc zacząłem działać, jak mi ta wiara nakazywała.

Działać dla don Luisa znaczyło w tym wypadku powtarzać sobie bezustannie opowiadanie Gastona Sauveranda. Starał się je odtworzyć we wszystkich najdrobniejszych szczegółach. Przypominał sobie najmniej znaczące wyrażenia i rozpatrywał każde z osobna, żeby z nich wydobyć tę cząstkę tajemnicy, którą w sobie kryły. Gdyż tam była prawda. Trzeba ją było tylko zrozumieć... Godzina za godziną mijały...

Nagle wśród nocy zadrżał cały. Schwycił zegarek i przy świetle elektrycznej latarki przekonał się, że wskazuje czterdzieści trzy minuty po jedenastej.

A więc dziś o godzinie jedenastej czterdzieści trzy przedarłem mrok tajemnicy! — zawołał głośno.

Starał się opanować wzruszenie, lecz nerwy jego były tak potargane ostatnimi przejściami, że zaczął płakać.

Jak w świetle błyskawicy, rozdzierającej ciemności, zabłysła mu straszliwa prawda...

Perenna wyczerpany wysiłkiem fizycznym i brakiem pożywienia, który mu się już mocno dawał we znaki, odczuł ten wstrząs tak silnie, że nie chcąc już dalej myśleć zasnął od razu. A właściwie zanurzył się we śnie, jak się po silnym zmęczeniu zanurza z rozkoszą w wodę gorącej kąpieli.

Kiedy się nad ranem obudził, wypoczęty, pomimo niewygodnego legowiska, odczuł dreszcz na wspomnienie hipotezy, którą był przyjął za pewnik i zaczął wątpić. Lecz to nie trwało długo. Dowody same z siebie zaczęły się nasuwać, zamieniając wkrótce hipotezę na pewnik niezbity. Było tak, a nie inaczej. Tak, jak to przeczuwał, prawda znajdowała się ukryta w opowiadaniu Sauveranda. I nie pomylił się też, mówiąc sierżantowi Mazeroux, że sposób, w jaki ukazywały się tajemnicze listy naprowadził go na drogę prawdy.

A prawda była potworna! Na wspomnienie jej odczuwał ten sam lęk, który przerażał inspektora Verota, wówczas gdy go już trucizna trawiła i kiedy jęczał: „Boję się... boję... wszystko to jest tak szatańsko obmyślane!...”

Rzeczywiście, szatańsko obmyślane. Don Luis czuł się wprost zdumiony wobec ujawnienia przestępstwa, którego zrodzenie się w umyśle ludzkim zdawało się wprost niemożliwe.

Dwie godziny jeszcze poświęcił don Luis, żeby całym wysiłkiem skoncentrowanej myśli badać tę kwestię ze wszystkich stron. Samym zaś rozwiązaniem sprawy niezbyt się przejmował, czując się teraz panem straszliwej tajemnicy, widział, że wystarczy mu zbiec i udać się wieczorem na zebranie w willi Fauville'ów, gdzie mógł rzecz całą przedstawić i dowieść.

Lecz kiedy chcąc spróbować ucieczki wszedł po schodkach na górę i usiadł na ostatnim szczeblu na wysokości swego buduaru, usłyszał głosy ludzkie dochodzące go z pokoju.

— Żle ze mną — powiedział sobie — sprawa się komplikuje. Żeby się wyrwać z rąk policji, muszę się wydostać z tego więzienia, a tu już jedno wyjście co najmniej jest zamknięte. Próbujmy drugiego.

Skierował się więc ku mieszkaniu Florencji i nacisnął mechanizm ściennej szafy, kryjącej wyjście. Drzwi rozsunęły się cicho. Głodem przynaglony, w nadziei znalezienia zapasów spożywczych, które by mu pozwoliły wytrzymać oblężenie — chciał już wysunąć się zza kotary, kiedy go hałas jakiś zatrzymał. Ktoś do pokoju wchodził.

— I cóż, Mazeroux, dobrze noc tu spędziłeś? Nie nowego?

Don Luis poznał po głosie prefekta policji. Z zapytania zaś wywnioskował, że Mazeroux został uwolniony z ciemnicy, a następnie że się znajduje obok w pokoju. Na szczęście mechanizm kryjówki, w której się znajdował, działał bez najmniejszego zgrzytu, don Luis mógł więc podsłuchać rozmowę.

— Nic nowego, panie prefekcie — odparł Mazeroux.

— To ciekawe, musi tu przecież ten przeklęty osobnik gdzieś się znajdować. Albo chyba uciekł przez dachy.

— To wykluczone, panie prefekcie — dał się słyszeć głos trzeci, w którym rozpoznał don Luis komisarza Webera. — Najkompletniej wykluczone! Chybaby miał skrzydła...

— Więc waszym zdaniem?...

— Moim zdaniem, panie prefekcie! — odparł Weber — moim zdaniem ukrywa się on w pałacu. Pałac jest stary, muszą tu być różne kryjówki...

— Oczywiście, oczywiście — odparł prefekt, którego don Luis widział przez szparę firanki, chodzącego po pokoju. — Oczywiście, macie rację, weźmiemy go tu w norze. Tylko czy to warto?...

— Ależ panie prefekcie!

— Cóż chcecie, takie jest moje zdanie, a także zdanie prezydenta rady. Wskrzeszać Arsena Lupina byłoby błędem, który by się niechybnie na nas zemścił. Ostatecznie stał on się porządnym człowiekiem, jest nam użyteczny, nie robi nic złego...

— Nic złego... znajduje pan, panie prefekcie? — wycedził Weber tonem obrażonym.

Pan Demalion roześmiał się.

— Ach prawda, wczorajsza sztuka z telefonem! Przyznajcie jednak, że to było zabawne. Zniszczyć drut telefoniczny w pańskich oczach, a potem zamknąć pana za tą żelazną zasłoną... Ale wiesz co, Mazeroux, trzeba będzie zaraz ten telefon naprawić, żebyście tu byli w stałej komunikacji z prefekturą. Czy rozpoczęliście już poszukiwania w tych pokojach?

— Według rozkazu, panie prefekcie, pan komisarz i ja od godziny szukamy.

— Dobrze — odparł pan Demalion — gdyż ta Florencja Levasseur wydaje mi się jakąś niepokojącą istotą. Wspólnictwo jej w tej sprawie nie ulega wątpliwości. Ciekawym byłoby jednak wiedzieć, jakie stosunki łączyły ją z Sauverandem, a jakie z Perenną? Nie znaleźliście nic w jej papierach?

— Nic, panie prefekcie — odrzekł Mazeroux. — Jakieś rachunki i listy dostawców.

— A wy, panie komisarzu?

— Ja, panie prefekcie, znalazłem coś ciekawego...

Weber powiedział to triumfalnym tonem i kiedy Demalion zaczął go wypytywać, dodał:

— Jest to jeden z tomów Shakespeare'a, panie prefekcie, tom ósmy, Jak pan widzi, nie jest to prawdziwa książka, tylko jakby pudełko zrobione tą formą i służące za skrytkę.

— Czy było co w tym pudełku?

— Kilka kartek papieru, z których tylko trzy zapisane... Na jednej jest lista dat, według których mają się ukazywać tajemnicze listy inżyniera Fauville'a.

— Ho, ho! To byłby przygniatający zarzut przeciw Florencji Levasseur — powiedział prefekt z widocznym zainteresowaniem. — Prócz tego jest to wskazówka, skąd don Luis znał tę listę.

Perenna słuchał ze zdumieniem: zapomniał był kompletnie o tym szczególe, a Gaston Sauverand w swoim opowiadaniu nie wspomniał o nim wcale. Było to co najmniej dziwne. Skąd Florencja mogła mieć tę listę?

— A tamte dwie kartki? — zapytał Demalion.

Don Luis podwoił uwagę. Tamtych dwóch kartek nie zauważył w czasie swojej bytności u Florencji.

— Oto jedna z nich — odpowiedział Weber.

Demalion wziął kartkę i przeczytał: „Pamiętać, że wybuch jest niezależny od listów i że będzie miał miejsce o trzeciej z rana”.

— Ach, tak! — wzruszył Demalion ramionami — ów słynny wybuch, o którym przepowiadał don Luis i który ma nastąpić równocześnie z ukazaniem się piątego listu, jak to zapowiada lista dat. Ba! mamy jeszcze czas, ukazały się dopiero trzy listy, a dziś ma się zjawić czwarty. A przy tym wysadzić w powietrze willę przy bulwarze Suchet, to nie lada antreprzyza⁵! Czy to wszystko?

— Panie prefekcie, proszę się jeszcze przyjrzeć tym liniom, nakreślonym na trzeciej kartce. Czy nie wygląda to na plan domu?

— Tak, rzeczywiście.

— Jest to plan pałacu, w którym się znajdujemy — zapewnił Weber uroczyście. — Oto główne podwórze, a tam pawilon odźwiernego, a tam pawilon panny Levasseur. Z tego pawilonu idzie kreska naznaczona czerwonym ołówkiem i zygzakiem przechodzi do głównego budynku. Początek tej kreski oznaczony czerwonym krzyżykiem wskazuje ten pokój, a ściśle mówiąc alkowę.

— Ależ toby był w takim razie szkic jakiegoś sekretnego przejścia, prowadzącego z tego pawilonu do głównego budynku! Na drugim końcu kreski jest też czerwony krzyżyk.

— Tak, panie prefekcie, nie wiemy tylko jeszcze, jaki punkt oznaczony jest tym krzyżykiem. Na wszelki wypadek jednak umieściłem paru agentów w małym pokoiku koło sypialni don Luisa, gdzie miała miejsce ostatnia narada don Luisa z Florencją Levasseur i Gastonem Sauverandem. Możemy jednakże uważać za pewnik, iż znamy już kryjówkę don Luisa Perenny.

Zaległa chwila ciszy, po czym komisarz Weber ciągnął dalej głosem coraz bardziej uroczystym:

— Panie prefekcie, spotkała mnie wczoraj od tego człowieka zniewaga dotkliwa, i to w obecności moich podwładnych. Służba pałacowa nie może też o niej nie wiedzieć. Wkrótce wiadomość ta przeniknie do szerszej publiczności. Człowiek ten dopomógł zbiec Florencji Levasseur i chciał ułatwić ucieczkę Gastonowi Sauverandowi. Jest to bandyta najgorszego gatunku. Panie prefekcie, pewien jestem, iż pan mi nie odmówi upoważnienia, żeby go osaczyć i wziąć w jego własnej norze. Inaczej bowiem... inaczej, panie prefekcie, czułbym się zmuszony podać się do dymisji.

— Na mocy dobrze uzasadnionych przyczyn — zaśmiał się prefekt. — Jak widzę, stanowczo nie może pan strawić owej sztuczki z żelazną zasłoną. Niechże go pan bierze, jeśli panu tak bardzo o to chodzi. Ostatecznie don Luis sam sobie winien... Mazeroux — zwrócił się do sierżanta — jak tylko telefon będzie naprawiony, dasz mi znać do prefektury. Wieczorem zaś spotkamy się w willi Fauville'a. Nie zapominajcie, że idzie tu o czwarty list.

— Czwartego listu nie będzie, panie prefekcie — upewnił Weber.

⁵ antreprzyza — tu: przedsięwzięcie

— Dlaczego?

— Dlatego, że do tego czasu don Luis będzie zamknięty.

— Ach, więc pan podejrzewa don Luisa o autorstwo tych listów?...

Don Luis więcej nie słuchał. Cofnął się cicho i zasunął ostrożnie drzwi kryjówki za sobą.

— Psiakrew! — mruknął z cicha — a to się ubrałem!

Pobiegł do połowy przejścia z zamiarem wydostania się przez buduar, zatrzymał się jednak w drodze.

— Nie warto, przecież wyjście to jest strzeżone. A więc co? Czy dam się złapać jak królik?

Z dołu słyhać już było jakieś uderzenia w drzwi szafy ściiennej za łóżkiem Florencji, których dźwięk podejrzany zwrócił widocznie uwagę komisarza. Weber nie bawił się w badanie mechanizmu, tylko kazał po prostu drzwi szafy wywalić.

Niebezpieczeństwo było więc bliskie,

— Psiakrew... cholera! — kłął Perenna wściekły. — Co tu robić? Przejść po ich grzbietach? Żebym to ja tak był w pełni sił!...

Lecz brak pożywienia wycieńczył go, nogi mu drżały i umysł zaczynał tracić swoją zwykłą bystrość. Zdwojone stukanie dochodzące z alkowy pchnęło go mimo wszystko ku górnemu wyjściu. Wdrapawszy się na schodki, zaczął przy świetle latarki rozglądać się po otaczających go kamiennych murach. Usiłował nawet podnieść drewniane wieko, zamykające wyjście, lecz znów dały się słyszeć odgłosy kroków. Widocznie policjanci byli tam ciągle.

Bezsilny więc, trawiony wściekłością, czekał Perenna nadejścia komisarza. Nagle trzask rozległ się w dole, który echem rozniósł się wzdłuż przejścia. Wkrótce potem dały się słyszeć liczne głosy i kroki.

— Stało się! — rzekł do siebie.. — Kajdanki, areszt, cela więzienna... A do stu piorunów! Ładna mi perspektywa!... i Maria Fauville umrze... a Florencja... Florencja...

Chcąc zgasić latarkę elektryczną oświecił po raz ostatni ściany wkoło siebie. Mniej więcej o dwa metry niżej i trochę na uboczu brakowało w ścianie wewnętrznej wielkiego kamienia, cO tworzyło zagłębienie dość duże, żeby się w nim móc ukryć. Kryjówka ta wprawdzie niezbyt wiele była warta, lecz nie było wyboru. Don Luis więc nie bez wysiłku dotarł do zagłębienia i umieścił się w nim, zginając się we dwoje.

Weber i Mazeroux nadchodzili wraz z policjantami. Don Luis oparł się plecami o tylną ścianę swej kryjówki, żeby uniknąć światła latarek, które już z dala zaczynały błyszczeć. I stała się rzecz zdumiewająca. Kamień, o który opierał się Perenna, obrócił się powoli, jakby wkoło niewidzialnej osi i don Luis padł na wznak w długie wgłębienie. Instynktownie cofnął szybko nogi za sobą i kamień zamknął się z powrotem, równie powoli, przy czym moc kamiaków oderwała się od ściany i przysypała mu nogi.

— No, no zaśmiał się Perenna — czyżby Opatrzność stanęła po stronie cnoty i prawa?

W tej chwili doszedł go głos sierżanta, mówiącego:

— Nie ma nikogo! A przecież to już koniec przejścia. Chyba że słysząc nas uciekł wyjściem, które tu widać u góry schodów.

Na to Weber odparł:

— Sądząc po pochyłości, którąśmy przebyli, wyjście to musi się znajdować na wysokości drugiego piętra. Drugi zaś krzyżak na planie oznaczałby w takim razie buduar znajdujący się koło sypialni don Luisa Perenny. Domyślałem się tego od początku i kazałem owego pokoju pilnować. Jeśli więc don Luis próbował tędy ucieczki, to musi być już złapany.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak zastukać — rzekł Mazeroux. — Ludzie nasi posłyszają i otworzą nam lub też rozwalą wyjście, o ile nie znajdą mechanizmu.

Rozległy się nowe stukania. Po dobrym kwadransie zdołano podnieść wieko, zamykając tajemne przejście i nowe głosy złączyły się z głosami Webera i Mazeroux.

Przez ten czas don Luis badał swoją kryjówkę i stwierdził, że jest niezmiernie ciasna, tak że w niej można było zaledwie siedzieć. Był to jakby korytarzyk, a właściwie wąska kiszka, mająca półtora metra długości, zakończona jeszcze węższym otworem, w którym były nagromadzone cegły. Ściany były też z cegieł, z których wiele brakowało, toteż kamyki i wapno, nie trzymane szczelniej osypywały się co chwila.

Jeszcze mnie tu żywcem zasypie! — pomyślał don Luis. — Ładna mi perspektywa!...

Perenna siedział bez ruchu, w obawie, aby go nie usłyszano. Znajdował się bowiem w pobliżu dwóch pokoi, strzeżonych przez policję, a mianowicie buduaru i poniżej gabinetu. Ze zwykłym sobie zmysłem orientacyjnym skombinował też od razu, że skrytka, w której się znajduje, wypada nad kabiną telefoniczną, łączącą się z gabinetem.

Był więc uwięziony w murach własnego pałacu, z jednym tylko wyraźnym zamiarem: wymknienia się z rąk policji. Godziny znów mijały. Dręczony pragnieniem i głodem zapadł w końcu w sen głęboki, nawiedzony zmorą tak straszliwą, że chciałby się być z niej otrząsnąć, lecz nie mógł. Kiedy się obudził nareszcie, było już około ósmej wieczorem.

Odzyskawszy przytomność uczuł się mocno zmęczony, i nagle zrozumiał jasno grozę swojej sytuacji. Postanowił więc natychmiast opuścić kryjówkę i oddać się w ręce policji. Teraz wydawało mu się to lepszym, niż dalsze znoszenie dręczących go tortur i narażanie się na grożące mu niebezpieczeństwo.

Lecz zwróciwszy się ku wyjściu swej nory przekonał się, że kamień nie odwraca się za zwykłym pchnięciem, a następnie, po długich poszukiwaniach, że nie może znaleźć mechanizmu, za pomocą którego można by to uczynić. Wszystkie jego wysiłki pozostały bezowocne. Kamień nie poruszył się.

Tylko za każdym jego nowym wysiłkiem osypywała się znowu moc kamyków z muru i zasypując i tak już niewielką komórkę zmniejszała jeszcze wolną przestrzeń.

Don Luis ostatkami energii opanował wzruszenie i rzekł śmiejąc się:

— Doskonale! Będę zmuszony wołać o pomoc, ja, Arsen Lupin! I to wołać na pomoc tych panów z policji... Inaczej zostanę żywcem pogrzebany...

Zacisnął pięści ze złości:

— Sam sobie dam radę, do kroćset. A wołać o pomoc nie będę.

Chciał myśleć, lecz jego umysł wycieńczony przedstawiał mu tylko jakieś mdłe obrazy, nie powiązane z sobą. Ukazywała mu się Florencja, później zaś Maria Anna.

— Tej nocy muszę je uwolnić — mówił sobie. — I uwolnię ją na pewno!... Wiem przecież, że są niewinne... i znam prawdziwego winowajcę. Lecz jak się stąd wydostać?

Myślał o prefekcie policji, o zebraniu, które miało się odbyć dnia tego przy bulwarze Suchet w willi inżyniera Fauvjlle'a. Zebranie musiało być rozpoczęte. Policja pilnowała domu...

Myśl ta przypominała mu kartkę papieru znalezioną przez Webera w ósmym tomie Shakespeare'a i zdanie przeczytane głośno przez prefekta: „Nie zapominać, że wybuch jest niezależny od listów, i będzie miał miejsce o trzeciej z rana”.

— Tak — pomyślał don Luis, kierując się rozumowaniem Demaliona — tak, za dni dziesięć, gdyż dopiero były trzy listy, a czwarty powinien dziś się ukazać. Wybuch zaś nastąpi razem z piątym listem, a więc za dni dziesięć.

Powtórzył jeszcze:

— Za dziesięć dni... razem z piątym listem...

Nagle wstrząsnął nim dreszcz zgrozy. Straszliwa wizja przeszła mu umysł — wizja, mająca wszelkie pozory rzeczywistości. Wybuch nastąpi tej nocy!...

Przebłysk jasnowidzenia rozświecił mu umysł i zrozumiał od razu, że przypuszczenie to było prawdą niezawodną. Cóż z tego, że trzy listy dopiero wyłoniły się z cienia tajemnicy, kiedy według listy dat powinno ich być już cztery. Jeden z listów bowiem z wiadomej przyczyny nie ukazał się w oznaczonym terminie i tym samym opóźnił ukazanie się listów następnych. Zresztą nie o to szło. Jedna myśl tylko górowała nad innymi. Ważne były tylko powyższe słowa; „Nie zapominać, że wybuch jest niezależny od listów”. Otóż ponieważ wybuch był naznaczony na noc z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty maja — będzie więc miał miejsce tej nocy o godzinie trzeciej z rana!

— Ratunku! Ratunku! — krzyknął nieludzkim głosem.

Tym razem nie wahał się. O ile dotychczas miał odwagę pozostawać spokojnie w swoim więzieniu, oczekując jakiejś cudownej pomocy, o tyle teraz gotów był się narazić na wszelkie niebezpieczeństwa i ponieść wszelkie kary, prędzej niżby miał pozostawić grożącemu im losowi prefekta policji, Webera, Mazeroux oraz ich towarzyszy.

— Ratunku! Ratunku!

Za trzy lub cztery godziny willa inżyniera Fauville'a wyleci w powietrze. Pewien był tego. Z tą samą akuratnością, z którą ukazywały się listy, pomimo wszelkich przeciwstawianych im trudności, z tą samą akuratnością nastąpi wybuch o oznaczonej godzinie. Tak chciał piekielny twórca przekłętego dzieła. O godzinie trzeciej z rana nie pozostanie nic z willi inżyniera Fauville'a.

— Ratunku! Ratunku!

Wyteżał wszystkie siły, żeby wołaniem swoim przebić otaczające go mury. Widząc jednak, że mu nikt nie odpowiada, zaczął nasłuchiwać. Cisza była kompletna.

Wówczas bezgraniczny niepokój okrył mu czoło kroplistym potem. A nuż agenci policji opuścili górne piętro i przenieśli się na noc do pokoi na parterze?

Chwycił cegłę i jak szalony zaczął nią walić w kamień zagradzający wyjście w nadziei, że odgłos ten rozejdzie się po pałacu. Lecz lawina kamyków posypała się ze ściany i przewracając go zasypała do połowy.

Ratunku! Ratunku! Ratunku!

Cisza. Wielka niewzruszona cisza.

— Ratunku! Ratunku!

Miał wrażenie, że głos jego nie przenikał ścian, które go przytłaczały. Zresztą głos jego stawał się coraz słabszy, przechodził w jęk chrapliwy, zamierający w zbolącej krtani.

Umilkł i wsłuchiwał się znowu w tę wielką nieprzeniknioną ciszę, która jakby warstwą ołowiu otaczała jego kamienną trumnę. Cisza. Żadnego odgłosu... żadnego ruchu. Nie nadejdzie mu nikt z pomocą.

Imię i obraz Florencji nie opuszczały go ani na chwilę. Myślał też o Marii Annie, którą był przyrzekł uratować. Niestety, również jak ona, jak Sauverand i wielu innych padł sam ofiarą tej potwornej sprawy.

Drobny na pozór wypadek powiększył grozę jego sytuacji. Nagle zgasła mu latarka elektryczna, którą był zostawił palącą się, żeby rozproszyć ponurość otaczających go ciemności.

Oddychał z trudnością. W głowie mu szumiało, a mózg jego doznawał wprost fizycznego bólu z powodu tych samych obrazów i myśli. Była to zawsze piękna twarz Florencji lub biała postać Marii Anny. I kiedy w urojeniu Maria Anna konała, słyszał

równocześnie wybuch w willi Fauville'a i widział prefekta policji i Mazeroux okropnie okaleczonych... martwych nawet...

Powoli ogarniać go zaczęło jakby odrętwienie i popadł w rodzaj omdlenia, jękając jeszcze wyrazy:

— Florencja... Maria Anna...



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wybuch w willi Fauville'ów

Czwarty list! Jeden z tych, których „nadawcą i odbiorcą mógł być chyba tylko szatan”, jak to jeden z dzienników określił. Rozgorączkowane tłumy dążyły w stronę bulwaru Suchet w nocy z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty maja. Ostatnie wiadomości jeszcze bardziej podnieciły ogólną ciekawość. Równocześnie prawie dowiadywano się o aresztowaniu Gastona Sauveranda, o ucieczce współniczki jego Florencji Levasseur, sekretarki don Luisa Perenny, którego nie bez podstawy utożsamiano w dalszym ciągu z Arsenem Lupinem.

Policja, nareszcie pewna zwycięstwa, mając w swych szponach prawie wszystkich aktorów dramatu, zaczęła popełniać lekkie niedyskrecje. Ze szczegółów więc, wyjaśnionych niektórym dziennikarzom, dowiedziano się o zmianie zaszczej w przekonaniach don Luisa, którego podejrzewać zaczęto o miłość do Florencji Levasseur i dreszcz wzruszenia przebiegł tłumy na myśl o tej nowej walce, podjętej przez tę zdumiewającą osobistość.

Gubiono się w domysłach, co on uczyni? Jeśliby bowiem chciał uwolnić ukochaną istotę od grożącego jej pościgu, jeśliby chciał Marię Annę wyrwać z więzienia i oswobodzić Sauveranda, musiałby być tam tej nocy, żeby udowodnić ich niewinność!...

Wiadomości dotyczące się Marii Anny były niedobre. Z niezwruszonym uporem trwała przy swoich samobójczych zamiarach. Musiano ją sztucznie odżywiać i doktorowie w infirmerii więzienia Saint-Lazare nie ukrywali zaniepokojenia. Czy więc don Luis przybędzie w porę?

Silne zainteresowanie wywoływała też groźba wybuchu, mającego wysadzić w powietrze willę Fauville'ów, zaraz po ukazaniu się piątego listu. I choć dziesięć dni jeszcze dzieliło od tej katastrofy, nadawało to całej sprawie pozory złowrogie.

Nie tylko więc Paryż, ale i przedmieścia wyległy tłumnie na bulwar Suchet. Policja jednak przezornie porobiła zagrodzenia w odległości stu kroków od willi i nie dopuszczała bliżej nikogo.

Niebo było burzliwe, pokryte ciężkimi chmurami, oświecane chwilami przez błady księżyc. W oddali błyskawice przerzynały niebo i dawały się słyszeć głucho grzmoty. Licznie zebrana publiczność skracala sobie czas śpiewami. Ulicznicy naśladowali różne głosy zwierząt. Rozsiadano się grupami na ławkach i chodnikach, jedząc, pijąc i dyskutując.

Część nocy upłynęła bez wydarzeń i wśród publiczności można było zauważyć pewne znużenie, a może i zwątpienie. Lecz nikt nie zdecydował się zejść pierwszy z posterunku: wyglądano don Luisa Perenny, czekano jego przyjścia!

Od godziny dziesiątej wieczorem prefekt policji wraz z sekretarzem generalnym prefektury, z dyrektorem policji, komisarzem Weberem, sierżantem Mazeroux i dwoma agentami zebrani byli w pracowni inżyniera Fauville'a. Prócz tego piętnastu agentów policji zajmowało resztę pokoi, dwudziestu zaś pilnowało dachów oraz dostępu do domu i ogrodu.

W ciągu popołudnia przeszukano jeszcze raz całą willę od suteryn do strychu, ale jak zawsze bez żadnego rezultatu. Postanowiono jednakże, że wszyscy obecni czuwać będą całą noc. Gdyby się więc czwarty list ukazał w którejś części sali, nie uszłoby to uwagi i wiadano by, kto go przyniósł. W dziedzinie policji bowiem cuda są niedopuszczalne.

Okolo północy Demalion kazał podać czarnej kawy wszystkim obecnym i sam wypił dwie filiżanki, chodząc przy tym bezustannie po pracowni, zaglądając do pokoiku Edmunda na górze i wychodząc od czasu do czasu na korytarz i przedpokój. Pragnąc zaś, żeby nadzór odbywał się w jak najlepszych warunkach, kazał zostawić wszystkie lampy zapalone.

Mazeroux protestował przeciw temu twierdząc, że dla ukazywania się listów konieczne są ciemności i przypominał prefektowi, że podobna próba była już przeprowadzona z rezultatem negatywnym.

Spróbujmy więc jeszcze raz! — odparł Demalion, który się widocznie obawiał mimo wszystko interwencji don Luisa i z tego powodu chciał przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności.

Wśród nocy niecierpliwość zaczęła ogarniać obecnych. Ludzie ci, przygotowani do walki, pragnęli wyladować nagromadzoną w sobie energię. Toteż patrzyli i słuchali z natężoną uwagą. Okolo pierwszej powstał lekki popłoch, dowodzący, że nerwy wszystkich zgromadzonych były w naprężeniu. Z pierwszego piętra dał się słyszeć wystrzał, a następnie okrzyki. Jak się okazało, dwóch agentów obchodzących pokoje nie poznało się wzajemnie i jeden z nich strzelił w powietrze na alarm.

Na bulwarze było jednakże mniej osób, jak się o tym przekonał Demalion otworzywszy drzwi do ogrodu. Rozkazy straży były już mniej ostre, tak że ciekawo mieli możliwość przybliżyć się do ogródka i willi.

— Całe szczęście, że to nie dziś ma być wybuch, panie prefekcie — rzekł Mazeroux — gdyż wszyscy ci pocziwcy wylecieliby w powietrze razem z nami.

— Za dziesięć dni nie będzie wybuchu, tak samo jak dziś nie będzie listu — odparł Demalion, wzruszając ramionami. Po czym dodał: — Zresztą dnia tego rozkazy będą niewzruszone i nikt do willi nie zbliży się.

Było to o godzinie drugiej minut 10. O godzinie drugiej minut 25, kiedy prefekt zapalał cygaro, dyrektor policji powiedział z uśmiechem:

— Tej przyjemności będzie się pan musiał na przyszły raz wyrzec, panie prefekcie, groziłoby to bowiem zbyt wielkim niebezpieczeństwem.

— Na przyszły raz — odrzekł Demalion — nie będę tracił czasu na wartowanie tutaj, gdyż zdaje mi się, że sprawę tych listów można uważać za ostatecznie zlikwidowaną.

Mazeroux szepnął z powątpiewaniem:

— Niedawno jeszcze...

Ubiegło jeszcze kilka minut. Demalion usiadł. Inni też pozajmowali miejsca w milczeniu.

Nagle rzucili się wszyscy tym samym ruchem i z tym samym zdumionym wyrazem twarzy. Rozległ się głos dzwonka. Naturalnie zorientowano się zaraz, że był

to po prostu dzwonek telefonu. Fakt ten jednakże zadziwił wszystkich obecnych, gdyż nikomu na myśl nie przyszło, że telefon mógł jeszcze działać w willi inżyniera Fauville'a.

Prefekt zbliżył się do aparatu, kiedy dzwonek odezwał się znowu.

— Może jakaś ważna wiadomość z prefektury?...

Zadzwoniono po raz trzeci. Prefekt ujął słuchawkę.

— Halo!... kto mówi?

Odpowiedział głos jakiś z oddali, tak przytłumiony i słaby, że zrozumieć można było zaledwie oderwane sylaby.

— Proszę mówić głośnie! Co takiego? Kto mówi?...

Jeszcze jakieś bełkotanie... Potem parę słów wyraźniejszych, które wywarły na prefekcie widoczne wrażenie...

— Halo! — zawołał. — Nie rozumiem... proszę powtórzyć!... Kto przy telefonie?

— Don Luis Perenna — brzmiała nieco wyraźniejsza odpowiedź.

— Jak to?... Don Luis... Perenna?...

Demalion chciał już powiesić słuchawkę i mruknął z niechęcią:

— Jakieś niewczesne żarty!...

Jednakże mimo woli zbliżył się znów do aparatu i zapytał:

— A więc czego pan chce?

— Zapytać która godzina.

— Która godzina?

— Tak jest, która godzina.

Nie tyle może nedorzeczna odpowiedź, ile głos Perenny, którego rozpoznał nareszcie, zirytowały prefekta.

— Cóż to za nowa historia? Gdzie pan jest?

— W moim pałacu w kryjówce, mieszczącej się w suficie nad kabiną telefoniczną...

— W suficie?...

— Tak. I mocno wycieńczony, muszę to przyznać.

— Przyjdziemy panu zaraz z pomocą — odpowiedział Demalion ubawiony.

— To na później, panie prefekcie. Niech mi pan naprzód powie... i to zaraz... bo może braknąć sił... Która godzina?

— Ależ... dlaczego?

— Panie prefekcie... proszę pana!

— Za dwadzieścia minut trzecia.

— Za dwadzieścia minut trzecia!

W przystępie naglej trwogi don Luis Perenna odzyskał nieoczekiwanie energię. Głos jego dotychczas słaby i nabrał mocy i na przemian rozkazującym, na przemian zaś błagalnym i zropaczonym tonem począł mówić:

— Panie prefekcie, uchodźcie stamtąd, opuście wszyscy-willę... O godzinie trzeciej willa Fauville'ów wyleci w powietrze... Na pewno... ręczę panu za to. Niech pan nie zapomina, że w ukazywaniu się listów nastąpiło dziesięciodniowe opóźnienie. A przy tym proszę pamiętać o tym, co było napisane na kartce, którą dziś rano Weber znalazł: „Wybuch jest niezależny od listów. Nastąpi o trzeciej rano”. A więc dziś o trzeciej, panie prefekcie... Uchodźcie... błagam pana! Niech nikt w willi nie pozostaje!... Nic na świecie nie zdoła wstrzymać wybuchu... Niech mi pan wierzy... Ja znam już całą prawdę... „Sił mi brak... Ja czuję... czuję, że mi pan nie wierzy... To straszne!...

Jeszcze kilka słów wymówił, lecz Demalion nie mógł już ich rozróżnić. Zdawało się przez chwilę jeszcze prefektowi, że słyszy jakieś wołanie czy krzyki, ale dziwnie niezrozumiałe i odległe. Demalion powiesił słuchawkę.

— Moi panowie — rzekł z uśmiechem — jest teraz j za siedemnaście minut trzecia... I za siedemnaście minut mamy wylecieć w powietrze, jak twierdzi nasz przyjaciel don Luis Perenna.

Pomimo żartów, którymi ta wiadomość została przyjęta, zapanowało jakby zaniepokojenie. Komisarz Weber zapytał:

— Czy to naprawdę don Luis z panem mówił?

— We własnej osobie. Schował się w jakiejś kryjówce swego pałacu i zdaje się, że głód i zmęczenie na mózg mu uderzyły. Mazeroux, pójdz go tam wziąć w norze... jeśli to nie jest w dodatku nowa sztuczka z jego strony... Czy masz mandat?...

Sierżant Mazeroux zbliżył się do prefekta. Błady był i drżący.

— Panie prefekcie, czy „on” panu powiedział, że będzie wybuch?

— Tak, i opiera swoje twierdzenie na kartce, którą Weber znalazł w ósmym tomie Shakespeare’a. Wybuch nastąpić ma dziś o godzinie trzeciej.

— O trzeciej?

— Tak, za kwadrans.

— I pan tu zostaje, panie prefekcie?

— A cóż ty myślisz, że będziemy słuchać konceptów tego pana?

Mazeroux zawahał się, lecz mimo całego szacunku nie mógł się wstrzymać i zawołał:

— To nie koncepty, panie prefekcie! Ja pracowałem z don Luisem i znam go dobrze... Jeśli on coś przepowiada, to ma po temu dane...

— Fałszywe dane...

— Nie, panie prefekcie — ciągnął dalej Mazeroux, zapalając się coraz bardziej — jemu trzeba wierzyć... Jeśli powiedział, że willa wyleci w powietrze o trzeciej, to tak się stanie na pewno. Mamy jeszcze kilka minut czasu... Chodźmy, panie prefekcie, błagam pana!...

— Chcesz powiedzieć: uciekajmy...

— Ależ to nie ucieczka, panie prefekcie, to tylko ostrożność. Nie można przecież ryzykować...

— Dostyć!...

— Panie prefekcie, don Luis powiedział...

— Dostyć! — powtórzył Demalion ostrym tonem. — Jeśli się obawiasz, to korzystaj z rozkazu, który ci wydałem i zmykaj do don Luisa Perenny.

Mazeroux żołnierskim ruchem zaszalutował i rzekł:

— Zostanę tu, panie prefekcie...

Po czym zawróciwszy na pięcie poszedł na swoje miejsce w głąb pokoju.

Nastąpiła cisza. Demalion zaczął znów chodzić po pokoju, następnie zwracając się do dyrektora policji i sekretarza generalnego zapytał:

— Mam nadzieję, że panowie są mego zdania?

— Naturalnie, panie prefekcie.

— Ostatecznie przypuszczenia te nie opierają się na żadnych poważnych danych. Jesteśmy przy tym strzeżeni! Bomby, dzięki Bogu, nie spadają same ludziom na głowę! Musi je ktoś rzucić... Którędy?...

— Tą samą drogą co listy — odezwał się sekretarz generalny.

— Co, a więc przypuszcza pan?...

Sekretarz generalny nie odpowiedział, a Demalion nie dokończył rozpoczętego zdania. I jego też zaczął ogarniać w miarę przemijających sekund niewysłowny niepokój.

„O trzeciej z rana”!... Słowa te nie schodziły mu z myśli. Dwa razy spojrzął na zegarek. Było jeszcze dwanaście minut — jeszcze dziesięć... Czyżby naprawdę wskutek jakiejś piekielnej mocy miał być dom ten wysadzony w powietrze?

— Ależ to idiotyczne! — zawołał prefekt z gniewem.

Lecz spojrzawszy na swych towarzyszy był zdumiony wyrazem ich twarzy. Sam zaś odczuwać zaczął dziwne ściskanie w sercu. Nie był to lęk — tylko wpływ tego don Luisa Perenny, którego widziano dokonywującego tak niebywałych czynów i tak świetnie orientującego się w ponurych tajnikach całej tej sprawy. Wpływ ten ogarniał wszystkich, od kierowników począwszy, a kończąc na zwykłych agentach. Z wiedzą czy bezwiednie, chcąc czy nie chcąc, myśleli o nim wszyscy jak o kimś niezwykłym, o wyjątkowych zdolnościach, którego postać mimo woli nasuwała wspomnienie niezrównanego Arsena Lupina, o legendarnej odwadze i geniuszu nadludzkim.

Arsen Lupin kazał im uchodzić. Goniony i prześladowany sam się wydawał w ręce policji, byle ich mógł uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie. Jeszcze siedem minut... jeszcze sześć...

Z najwyższą prostotą Mazeroux ukląkł, przeżegnał się i zaczął się modlić po cichu. Gest ten był tak wymowny, że sekretarz generalny i dyrektor policji zwrócili się równocześnie w stronę prefekta.

Lecz prefekt odwrócił głowę, nie przerywając przechadzki wzdłuż i wszerz pokoju. Jednakże niepokój nurtował w nim coraz bardziej. Głos Perenny, jego perswazje i prośby wzburzały go do głębi. Znał już Perennę i wiedział, że nie można było lekceważyć ostrzeżeń takiego człowieka.

— Chodźmy stąd! — rzekł.

Słowa te wypowiedziane były z pełnym spokojem. Toteż ci, do których się zwracały, przyjęli je jako logiczny wynik najzwyczajszego stanu rzeczy i wyszli spokojnie, nie śpiesząc się, nie jak zbiegowie, lecz jak ludzie świadomie posłuszni nakazowi obowiązującej ostrożności.

Na progu drzwi usunęli się wszyscy przed prefektem policji.

— Nie, idźcie naprzód, ja idę za wami.

I wyszedł ostatni, zostawiając elektryczność zapaloną. W przedpokoju poprosił dyrektora policji, żeby dał sygnał świstawką. Kiedy wszyscy agenci zebrali się, kazał im opuścić willę jako też odźwiernym i sam wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

Wówczas zawołał policjantów, sprawiających straż na bulwarze i rzekł im:

— Niech się wszyscy oddalą i usuńcie tłum jak można najdalej... I to natychmiast... Za kwadrans wrócimy do willi.

Po czym przeszedł bulwar w towarzystwie dyrektora policji, sekretarza generalnego i Mazeroux i wdrapali się na wał fortyfikacji, znajdującej się naprzeciw willi.

— Trzeba by się może schylić? — zaproponował Mazeroux.

— Możemy się schylić — zgodził się prefekt wesoło. — Lecz gdyby wybuch nie nastąpił, toby mi chyba nic innego nie pozostało jak kula w łeb! Nie przeżyłbym takiego ośmieszenia się.

— Będzie wybuch, panie prefekcie — upewnił go sierżant.

Umilkli, zniecierpliwieni czekaniem, walcząc z ogarniającym ich niepokojem. Liczyli sekundy jedna po drugiej, według bicia własnych serc. Trwało to w nieskończoność. Trzecia wybiła.

— A widzisz, nie mówiłem! zaśmiał się Demalion — nic nie będzie... Dzięki Bogu! Ależ bo to było idiotyczne, w coś podobnego uwierzyć!

Drugi zegar wydzwonił w oddali, potem trzeci na wieży pobliskiego kościoła dzwonić też zaczął. Lecz zanim trzeci raz uderzył, rozległ się jakby trzask i nastąpił wnet wybuch straszliwy, pochłaniający wszystko i tak szybki, że mieli ledwo czas ujrzeć wielki snop ognia i dymu, z którego wytryskiwały kamienie i resztki ścian, coś w rodzaju olbrzymiego fajerwerku. I w jednej chwili wszystko się skończyło. Wulkan umilkł.

— Naprzód! — rzucił się prefekt wołając: — Zatelefonować zaraz po straż pożarną! Następnie, chwyciwszy Mazeroux za ramię, rzekł.

— Leć do mego auta, które tu stoi o sto kroków. Każ się zawieźć do don Luisa i jeśli go tylko odnajdziesz, oswobodź go i przywieź tu.

— Czy pod aresztem, panie prefekcie?

— Pod aresztem? Zwariowałaś?

— Ale jeśli komisarz Weber...

— Bądź spokojny, damy sobie z Weberem radę. Śpiesz się.

Powierzoną sobie misję wypełnił Mazeroux może nie z większym pośpiechem, niż gdyby chodziło o aresztowanie don Luisa, gdyż był to człowiek niezmiernie obowiązkowy, lecz za to z ogromną radością. Walka, którą był zmuszony prowadzić przeciw temu, którego „szefem” nazywał, doprowadzała go do rozpacz, wyciskając mu nieraz łzy z oczu. Tym razem przybywał mu na ratunek!

Po południu, zaprzestając na rozkaz Demaliona dalszych poszukiwań w pałacu wskutek oczywistej ucieczki don Luisa, komisarz Weber zostawił tylko trzech ludzi na straży. Mazeroux zastał ich w jednym z pokojów na parterze, gdzie czuwali na zmianę. Zapytani przez sierżanta, czy nie słyszeli nic podejrzanego, upewnili go, że nie słyszeli nic zupełnie.

Mazeroux poszedł sam na górę, nie chcąc mieć świadków swego spotkania się z „szefem”. Przeszedłszy salon wszedł do gabinetu. Kiedy zapalił elektryczność i rozejrzawszy się wokoło siebie nie ujrzał nic, opanował go silny niepokój.

— Szefie! — zawołał. — Szefie! gdzie pan jesteś?

Żadnej odpowiedzi...

— Jednakże — powiedział sobie Mazeroux — telefonować mógł tylko stąd...

Rzeczywiście przekonał się, że słuchawka była zdjęta, zbliżywszy się zaś do kabiny telefonicznej natknął się na kawałki cegły i tynku leżące na dywanie. Zapalił więc światło w kabinie i ujrzał nad sobą rękę ludzką zwieszającą się z sufitu. Wybity otwór był zbyt mały, żeby się mogło ramię w nim zmieścić, toteż i głowy więźnia dojrzeć nie było można.

Sierżant wskoczył na krzesło, żeby dosięgnąć ręki. Dotknąwszy jej przekonał się że jest ciepła, co go uspokoiło.

— Czy to ty, Mazeroux? — zapytał głos z góry, który się wydał sierżantowi niezmiernie dalekim.

— Tak, to ja. Czy nie jest pan ranny? Nic groźnego?

— Nie, ogłuszony tylko i mocno osłabiony... Słuchaj...

— Słucham, szefie.

— Otwórz drugą szufladę na lewo w moim biurku. Znajdziesz tam...

— Co takiego?

— Kawałek czekolady.

— Ależ...

— Śpiesz się, Aleksandrze, bo mi się diabelnie chce jeść!

I rzeczywiście, po chwili don Luis ciągnął już głosem o wiele silniejszym:

— Jest mi lepiej. Mogę już czekać. Pobiegnij teraz do kuchni i przynieś mi kawałek chleba i wody.

— Zaraz wracam, szefie.

— Czeka, wrócisz przez pokój Florencji i przez tajemnicze przejście.

I wytłumaczył mu, w jaki sposób uchylić miał kamień zagrządzający wejście do kryjówki, w której mógł go być spotkać koniec tak tragiczny. W dziesięć minut wszystko było wykonane. Mazeroux oczyścił otwór kryjówki i chwyciwszy don Luisa za nogi wyciągnął go z nory.

— A, ładnie się pan urządził, nie ma co mówić! Lecz jak pan zdołał tę dziurę wygrzebać? Trzeba było na to niezwyklej odwagi!... I to z pustym żołądkiem.

Kiedy don Luis znalazł się już w swoim pokoju i posilił kilku kawałkami chleba, zaczął opowiadać:

— Masz rację, trzeba mi było wielkiej odwagi! Kiedy się człowiekowi w głowie mąci od głodu, a w dodatku nie ma czym oddychać, trudno jest zdobyć się na energię. Grzebałem jednakże na pół we śnie, jak w senną zmorę pogrążony. Patrz, palce mam pokaleczone! Tylko widzisz, myślałem ciągle o tym wybuchu i chciałem koniecznie was uprzedzić. Grzebałem więc do upadłego! Nareszcie uczułem próżnię... Ręka przeszła aż po ramię. Gdzie byłem? Naturalnie nad telefonem. Przekonałem się o tym natychmiast namacawszy drut telefoniczny na ścianie. Wtedy dopiero zacząłem kombinować, jak dostać się do aparatu. Ramię moje było za krótkie. W końcu udało mi się za pomocą sznurka i pętli chwycić słuchawkę i przybliżyć ją do ust... a przynajmniej zbliżyć ją o jakich trzydzieści centymetrów. Zacząłem więc krzyczeć ile mi sił starczyło... W końcu sznurek się zerwał... słuchawka spadła... A ja byłem już bezsilny... Lecz wyście byli uprzedzeni, waszą więc rzeczą było teraz działać.

Wzniósł głowę ku sierżantowi i zapytał, jakby nie wiedząc o odpowiedzi:

— Wybuch miał miejsce, nieprawdaż?

Tak, szefie.

— Punktualnie o trzeciej?

— Tak.

— I oczywiście Demalion kazał ewakuować willę?

— Tak.

— W ostatniej chwili?

— W ostatniej chwili.

Don Luis zaśmiał się:

— Pewien byłem, że będzie ze sobą walczył i że się podda dopiero w ostatniej chwili. Musiał to być ciężki moment dla ciebie, Aleksandrze, gdyż ty naturalnie uwierzyłeś mi od razu?

Nie przestawał jeść mówiąc i każdy kęs zdawał się wracać mu po trochę energii i ożywienia.

— Dziwna rzecz, ten głód, jak to rozstrajająco na umysł działa!

— Na wszelki wypadek, szefie, nikt by nie powiedział, że pan pościł około czterdziestu ośmiu godzin!

— No, bo maszyna jeszcze dobra, wytrzyma niejedno. Za pół godziny nie będzie już śladu z całego przejścia. Wykąpię się tylko i ogolę.

Po skończonej toalecie zasiadł do śniadania, które mu Mazeroux przygotował naprędce z zimnego mięsa i jaj. Po czym wstając zawołał:

— A teraz w drogę!

— Ależ nic nie nagli, szefie. Proszę się parę godzin przespać. Prefekt zaczeka.

— Zwariowałeś? A Maria Anna Fauville?

— Pani Fauville?

— A cóż ty myślisz, że pozostawię ją i Sauveranda I w więzieniu? Ani chwili do stracenia, mój, drogi

Mazeroux myślał sobie w duchu, że szef niezupełnie jeszcze wrócił do przytomności, jeśli zamierza jednym skinięciem różdżki czarodziejskiej uwolnić panią Fauville i Sauveranda z więzienia. Mazeroux prowadził do samochodu prefekta don Luisa Perennę, wyświeżonego i wesołego, jak za najlepszych czasów.

— Ogromnie pochlebne dla mnie jest to wahanie prefekta po moim ostrzeżeniu i ustąpienie w chwili decydującej. Dobrze muszą mieć w ręku tych panów, kiedy tak słuchają każdego mojego skinienia! Gdybym nie był uosobieniem skromności!...

Przybyli na bulwar Suchet, gdzie tłum był tak wielki, że musieli wysiąść z auta. Mazeroux przeszedł kordon policjantów, pilnujących dostępu do willi i przeprowadziwszy don Luisa na przeciwną stronę rzekł mu:

— Proszę tu na mnie poczekać, szefie, pójdę uprzedzić prefekta policji.

Naprzeciw, w bladym świetle porannego nieba, po którym przesuwały się jeszcze ciemne chmury, don Luis ujrzał spustoszenie spowodowane wybuchem. Wydało mu się mniej znaczne na pozór, niż się tego spodziewał. Pomimo zapadnięcia się kilku sufitów, których rumowiska widać było przez otwory wywalonych okien, mury willi stały. Nawet pawilon u inżyniera Fauville'a pozornie niezbyt ucierpiał i co dziwniejsze, elektryczność, którą prefekt pozostawił zapaloną wychodząc, nie zgasła. W ogródku i na ulicy były nagromadzone meble, których strzegła policja i wojsko.

— Proszę iść za mną, szefie — rzeki Mazeroux, który przyszedł po don Luisa i skierował się ku pracowni inżyniera Fauville'a.

Część podłogi była zniszczona. Ściany na lewo od przedpokoju były wybite i żeby podtrzymać sufit, dwóch robotników ustawiało belki, przyniesione z pobliskiego warsztatu ciesielskiego. Ostatecznie jednak wybuch nie dał tych wyników, na które liczył ten, co go urządzał.

W pracowni znajdował się Demalion jako też ci wszyscy, którzy tam noc spędzili; było też jeszcze parę wybitnych osobistości z sądownictwa i policji. Tylko komisarz Weber, nie chcąc się spotkać ze swym wrogiem, przed chwilą odjechał.

Przybycie don Luisa wywołało silne wzruszenie. Prefekt postąpił kilka kroków na jego spotkanie, mówiąc:

— Pozwoli pan sobie wyrazić naszą wdzięczność. Swoim wyjątkowym jasnowidzeniem uratował pan nam życie, stwierdzamy to jednogłośnie, co do mnie zaś, zawdzięczam je panu już po raz wtóry.

— Miałby pan doskonały sposób wywdzięczenia mi się, panie prefekcie — odrzekł don Luis — a mianowicie pozwalając mi dokończyć podjętego zadania. Tak, panie prefekcie. Mój czyn dzisiejszy jest tylko zapoczątkowaniem takowego. Dokończeniem byłoby uwolnienie Marii Anny Fauville i Gastona Sauveranda.

— Ho, ho! — uśmiechnął się Demalion.

— Czvbv to było za wielkie wymaganie, panie prefekcie?

— Wymagać można, byle w granicach możliwości. Otóż, niestety, niewinność tych osób ode mnie nie zależy.

— Lecz od pana zależy ewentualne zawiadomienie ich, o ile dowiodę panu ich niewinności.

— Oczywiście, o ile mi pan to udowodni niezbitcie.

Mimo wszystko, i może więcej jeszcze niż dotychczas, pewność siebie don Luisa wywierała wrażenie na Demaliona, który dodał po chwili:

— Mogę panu zakomunikować wynik śledztwa, powierzchownego wprawdzie, któreśmy przeprowadzili, może się panu przyda. Stwierdziliśmy więc, że bomba umieszczona była u wejścia przedpokoju, prawdopodobnie pod samą posadzką.

— Zbyteczne, panie prefekcie, są to tylko drugorzędne szczegóły. Najważniejszą rzeczą jest teraz, żebyście się panowie dowiedzieli całej prawdy.

Prefekt zbliżył się do Perenny. Sędziowie i agenci otoczyli ich. Śledzono jego słowa i ruchy z gorączkową niecierpliwością. Była to chwila wielkiej wagi, toteż serca wszystkich były zdwojonym tempem.

Zapowiedź wybuchu, zrobiona przez don Luisa, nadawała jego przepowiedniom wartość rzeczy dokonanych i ci, którym życie uratował z grożącej im katastrofy, gotowi byli uważać fakty realne za najnieprawdopodobniejsze twierdzenia, które by chciał wygłosić.

— Panie prefekcie — zaczął don Luis. — Czekał pan daremnie tej nocy ukazania się czwartego z rzędu tajemniczego listu. Otóż dziwnym trafem będziemy mieli możliwość być obecni przy zjawieniu się owego listu. Przekona się pan przy tym, że to ta sama ręka popełniła wszystkie zbrodnie...

Następnie zwrócił się do Mazeroux:

— Sierżancie, proszę o ile możności przyćmić światło w tym pokoju. Okna trzeba przysłonić i drzwi pozamykać. Panie prefekcie, czy elektryczność pali się tu wypadkowo?

— Najzupełniej wypadkowo. Zgasimy ją zaraz.

— Chwilę jeszcze... Czy który z panów nie posiada latarki elektrycznej? Albo nie... to zbyteczne. Jest tu coś, co nam najzupełniej wystarczy.

W jednym z kandelabrow była świeca. Perenna zapalił ją, po czym zgasił elektryczność. Zapanował w pokoju półmrok, w którym ogień świecy drżał pochylany przez przeciąg. Don Luis ochraniając ją ręką zbliżył się do stołu.

— Nie myślę, żebyśmy długo czekali — rzekł. — O ile mi się zdaje, zanim kilka sekund przejdzie, fakty same przemówią lepiej niżbym ja to potrafił.

Tych kilka sekund, podczas których nikt nie przerwał milczenia, należały do tych, których się nie zapomina. Demalion jednakże z ciekawością przypatrywał się don Luisowi. Siedząc na brzegu stołu, z głową lekko wzniesioną i roztargnionym wzrokiem, Perenna zajadał chleb i chrupał tabliczkę czekolady. Wyglądał na zgłodniałego, lecz najzupełniej spokojnego.

Na twarzach innych obecnych malowało się zdenerwowanie, zrozumiałe zresztą, gdyż zbliżanie się tego, co się stać miało, również jak i wspomnienie przebytej eksplozji dręczyły ich umysły. Na ścianie ogień świecy rysował fantastyczne cienie. Upłynęło tak kilkanaście sekund.

Nareszcie Perenna wzniosł świecę w górę, mówiąc:

— Patrzcie...

Z sufitu spadał list, krążąc z lekka, jak liść opadający z drzewa. Lecąc musnął don Luisa i upadł na posadzkę, tuż koło nogi stołu.

Don Luis podniósł go i podając Demalionowi rzekł:

— Oto, panie prefekcie, czwarty list zapowiedziany na dzisiejszą noc.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ten, który nienawidzi

Demalion patrzył to na niego, to na sufit, nie rozumiejąc nic. Perenna rzekł:

— To nie złudzenie, panie prefekcie i choć tego listu nikt z góry nie rzucił, ani też w suficie nie ma najmniejszego otworu, tłumaczenie tego zjawiska jest bardzo proste.

Prefekt spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Tak, panie prefekcie — powtórzył Perenna — bardzo proste... a zarazem niezmiernie tragiczne. Sierzancie Mazeroux, proszę odsłonić okna, żeby zrobić jak najwięcej światła.

Podczas kiedy Mazeroux wykonywał dany mu rozkaz, a prefekt rzucił okiem na ów czwarty list, którego zawartość zresztą nie przedstawiała znaczenia, don Luis chwycił podwójną drabinę pozostawioną w kącie przez robotników i ustawivszy ją na środku pokoju wdrapał się na górę.

Siedząc na najwyższym szczeblu drabiny znalazł się na wysokości pająka elektrycznego, zdobiącego środek sufitu. Pająk ten składał się z grubej miedzianej obręczy złożonej, poniżej której krzyżowały się wisiorki kryształowe. Trzy żarówki umieszczone były wewnątrz, na trzech rogach miedzianego trójkąta kryjącego druty.

Perenna odczepił i poprzecinał druty i zaczął odkręcać przyrząd. Lecz żeby przyspieszyć robotę, zmuszony był usunąć tynk z haków, na których wisiał pająk. Przy czym zawezwał sierżanta na pomoc.

Mazeroux wszedł na drabinę i wspólnymi siłami zdjęli pająk i spuścili go na dół wzdłuż drabiny z większym trudem, niżby się zdawało z powodu niezwyklej wagi takowego.

I rzeczywiście, przy bliższym zbadaniu okazało się, że ponad pajakiem przytwierdzony był rodzaj pudełka w formie sześcianu, które to pudełko wmurowane było pierwotnie w sufit, co zmusiło Perennę do usuwania tynku.

— Cóż to ma znaczyć, u diabła? — wykrzyknął Demalion.

— Proszę otworzyć, panie prefekcie — odparł Perenna.

Demalion podniósł pokrywkę. Wewnątrz pudełka znajdowały się kółka i sprężyny, tworzące cały mocno skomplikowany mechanizm, przypominający niezmiernie ruch zegarowy.

Perenna podniósł go i pod spodem ukazał się drugi mechanizm, złączony z pierwszym tylko ząbieniem dwóch kółek, ten ostatni był trochę odmiennego rodzaju i przypominał prędeż aparaty automatyczne do rozwijania drukowanych taśm.

W głębi pudełka zrobione było wcięcie półkoliste w metalu, w miejscu, w którym spód pudełka dotykał sufitu. Na brzegu wcięcia znajdował się list.

— Ostatni z pięciu listów — rzekł Perenna. — Widocznie wszystkie listy były ułożone w głębi pudełka, misternie zaś obmyślony mechanizm chwycił je jeden po drugim w oznaczonym czasie i wysuwał na brzeg wcięcia, ukrytego wśród żarówek i kryształowych wisiorków, skąd list leciał w próżnię.

Głuche milczenie panowało wokoło Perenny i dawał się zauważyć nawet lekki zawód na twarzach obecnych. Było to wszystko bez zaprzeczenia świetnie obmyślane, lecz Oczekiwali widocznie czegoś więcej niż mechanicznych sztuczek, chociażby najbardziej pomyslowych.

— Trochę cierpliwości jeszcze, moi panowie. Obiecałem wam coś, co przechodzi grozą najśmielszą imaginację i nie będziecie zawiedzeni.

— Dobrze — rzekł prefekt. — Przypuśćmy, że listy stąd spadały. Zostaje jednakże ogromna ilość punktów niewyjaśnionych. Między innymi jakim sposobem zbrodniarze zdołali pająk ten tak urządzać? I to w willi pilnowanej przez policję, w

pokoju strzeżonym dniem i nocą? Jak mogli skutecznie całą tę pracę nie zauważyć przez nikogo?

— Odpowiedź łatwa, panie prefekcie, wszystko to było wykonane, zanim policja zaczęła strzec tego domu.

— A więc przed dokonaniem zbrodni?

— Tak, przed dokonaniem zbrodni.

— A ktoś mi dowiedzie, że tak: było?

— Fakt, że inaczej być nie mogło, jak to pan sam zauważył.

— Ależ mówże pan nareszcie! — zawołał prefekt z widocznym zniecierpliwieniem.

— Jeśli pan ma rzeczywiście ważne odkrycia do wyjawienia, to czemu pan zwleka?

— Lepiej będzie, panie prefekcie, jeśli pan sam dojdzie do prawdy tą samą drogą, którą ja do niej doszedłem. Jak się zna tajemnicę tych listów, to się jest o wiele bliżej prawdy, niż się wydaje. Tak dalece, że już by pan był nazwał zbrodniarza, gdyby nie to, że sama okropność jego zbrodni oddala od niego wszelkie podejrzenia.

Demalion spojrział na niego uważnie. Czuł wagę słów jego i coraz większy niepokój zaczął go przejmować-

— A więc według pana — rzekł — listy te, oskarżające panią Fauville i Gastona Sauveranda, zostały tu umieszczone w celu jedynie ich zguby?

— Tak, panie prefekcie.

— A ponieważ umieszczone tu były przed dokonaniem zbrodni, więc i spisek cały musiał być uknuty przed zbrodnią?

— Tak, panie prefekcie, przed zbrodnią. Z chwilą, kiedy się dopuszcza niewinność pani Fauville i Gastona Sauveranda, logicznie nasuwa się wniosek, że wszystkie oskarżające ich dowody były tylko szeregiem umyślnie sfalszowanych, okoliczności. I tak z góry uknuty był wyjazd pani Fauville do teatru w dniu zbrodni, jej spacer w stronę la Muette, jak i bytność kuzyna jej Gastona Sauveranda w okolicy willi Fauville'ów, tak samo odcisk zębów pani Fauville na jabłku. Wszystko to było uknute z niesłychaną przebiegłością, z całym planem z góry obmyślonym, nie pozostawiającym nic losowi.

Znów zapanowała chwila milczenia. Prefekt policji, nie ukrywając wzruszenia, rzekł powoli patrząc w oczy Perenny:

— Ktokolwiek tu jest winowajcą, muszę przyznać, że nie znam straszliwszego dzieła nienawiści!...

— Dzieło to jest jeszcze nieprawdopodobniejsze niżby pan to mógł sobie wyobrazić, panie prefekcie — rzekł don Luis, ożywiając się powoli. — Nienawiści tej nie mógłby pan objąć w całej jej mocy, nie znając jeszcze wynurzeń Sauveranda. Ja ją odczułem w pełni, słuchając go i od tej pory myśl o tej nienawiści kierowała mną we wszystkich moich badaniach. Kim był ten, który tak nienawidził? Kim był ten geniusz przewrotny, który otoczył swoje ofiary nieprzebytym kołem intryg i zarzutów? Inna myśl jeszcze kierowała moim umysłem. Myśl, która mnie kilkakrotnie uderzyła i o której wspominałem już sierżantowi Mazeroux, a mianowicie charakter czysto matematyczny ukazywania się listów. Przychodziły one mechanicznie, mimo wszelkich przeciwstawianych trudności, według raz ustalonego porządku, z bezmyślną ścisłością prawa fizycznego. I starcie się tych dwóch myśli wykrzesало wreszcie iskrę. Wywołało we mnie wspomnienie, że Hipolit Fauville był inżynierem.

Słuchano go z rosnącym niepokojem. I coraz bardziej wylaniała się ku nim z cienia postać „tego, który nienawidził”, jak go nazwał don Luis. I dreszcz zgrozy przejął ludzi tych, przyzwyczajonych jednakże do najdziwniejszych zbrodni kryminalnych. Prawda nie błąkała się już wokoło nich. Lecz walczyli z nią tak, jak się walczy z przeciwnikiem, który choć niewidzialny, chwyta nas za gardło i obala.

Prefekt policji, streszczając swoje wrażenia, rzekł głuchym głosem:

— A więc pan Fauville napisał te listy, żeby zgubie żonę swoją i człowieka, który ją kochał?

— Tak.

— W takim razie:..

— W takim razie?

— Wiedząc z drugiej strony, że mu grozi śmierć, chciał, jeśliby się ta groźba kiedykolwiek sprawdziła, żeby na nich padło oskarżenie?

— Tak.

— I, żeby się na nich zemścić za ich miłość, żeby nasycić swą nienawiść, chciał otoczyć ich całą siecią dowodów, które by ich wskazywały jako winnych morderstwa, którego by on miał paść ofiarą?

— Tak.

— Można by więc powiedzieć; że pan Fauville w swoim przeklętym dziele był jakby współnikiem swego mordercy? Walczył ze śmiercią... obawiał się jej — a równocześnie starał się ją wykorzystać dla swej nienawiści. Czy tak?

— Mniej więcej tak, panie prefekcie. Idzie pan tą samą drogą, którą ja poszedłem, i tak jak ja waha się pan przed ostateczną prawdą, która całej tej tragedii nadaje złowrogi charakter i wprost nieludzkie rozmiary.

Nagle prefekt uderzył pięścią w stół, wołając:

— Brednie! Przypuszczenia nie wytrzymujące krytyki! Pan Fauville zagrożony śmiercią i obmyślający zgubę żony z tą makiaweliczną wytrwałością!... Przecież to nie ma sensu! Ten człowiek był u mnie na kilka godzin przed śmiercią i jedynym postrachem jego była śmierć!... Jedyną myślą jak jej uniknąć... W takich chwilach nie nastawia się sideł i nie ustawia mechanizmów... Chyba... chyba, że się jest pewnym śmierci... I w zgodzie z mordercą poddaje się jej dobrowolnie karku... Chyba...

Przerwał, dziwiąc się jakby własnym słowom. Don Luis nie spuszczał oka z prefekta, czekając dalszych konkluzji. Demalion szepnął wreszcie:

— Nie zaprzeczy pan, że rozumując logicznie...

— Pan Fauville, jak to pan słusznie mówi, brał udział we własnym morderstwie.

— Dość już słów — zawołał prefekt — wszystkie te przypuszczenia prowadzą do konkluzji bezsensownych.

— Bezsensownych pozornie, panie prefekcie, lecz kto wie, czy niepojęty czyn inżyniera Fauville'a nie dałby się wytłumaczyć zupełnie naturalną przyczyną? Oczywiście, nie umiera się li tylko dla przyjemności zemśczenia się na kimś. Lecz kto wie, czy pan Fauville, którego niezwykła bladeść i wychudzenie musiały zwrócić pańską uwagę, nie był dotknięty jakąś chorobą nieuleczalną i wiedząc, że jest zagrożony...

— Dość słów, powtarzam panu — przerwał mu prefekt. — Dowodów chcemy nareszcie i czekamy ich daremnie!

— A więc oto dowód, panie prefekcie.

— Co? Co pan mówi?

— Panie prefekcie, kiedy zdejmując pająka obijałem tynk, który go podtrzymywał, znalazłem na wierzchu metalowego pudełka tę oto kopertę zapieczętowaną. Ponieważ pająk ten był umieszczony poniżej pokoiku Edmunda, pan Fauville mógł łatwo, podnosząc deszczułki podłogi, dostać się do górnej części mechanizmu przez siebie urządzonego. I tak w ciągu ostatniej nocy złożył tam tę kopertę zamkniętą, na której zresztą napisał datę zbrodni: Trzydziesty pierwszy marca, jedenasta godzina w nocy i podpis: Hipolit Fauville.

Ręką drżącą z pośpiechu Demalion rozerwał kopertę. Rzuciwszy okiem na pierwsze zdanie a drgnął:

— Ach! nikczemnik, nikczemnik... — powtórzył. — Czy to możebne, żeby istniały podobne potwory? Co to za okropność!

Głosem drżącym ze wzruszenia zaczął czytać:

„Nareszcie dosięgnąłem celu, moja godzina nadchodzi. Uśpiony przeze mnie Edmund umarł i jad trucizny nie przywrócił mu świadomości. Zaczyna się moja agonia. Cierpię piekielne katusze. Ledwie pisać mogę. Cierpię straszliwie, a jednak szczęście moje jest bez granic!

Szczęście to datuje się od bytności mojej z Edmundem w Londynie przed czterema miesiącami. Do tego czasu ciągnąłem najstraszliwszy żywot, ukrywając nienawiść moją do tej, która mnie nie cierpiała, kochając innego. Czując się coraz bardziej chorym i patrząc na syna mego słabego i wątłego, w Londynie zasięgnąłem porady słynnego lekarza. Nie było wątpliwości, toczył mnie rak. I dowiedziałem się również, że syn mój Edmund był tak jak i ja na drodze do grobu, beznadziejnie stracony, dotknięty gruźlicą.

Tegoż wieczora powstała we mnie wspaniała myśl zemsty. I jakiej zemsty! Oskarżenie najstraszliwsze dla kochającej się pary ludzi. Więzienie! Sąd! Galery! Szubienica! I żadnego ratunku możliwego, żadnej walki ani nadziei! Wszystkie dowody nagromadzone i to dowody tak groźne, że człowiek najniewinniejszy uwierzyłby w swoją winę i umilkłby zgębiony i bezsilny. Wspaniała zemsta!

Z radością w sercu zacząłem więc wszystko przygotowywać, każdy nowy pomysł cieszył mnie niezmiernie. Nie czułem bólu, który mnie pożerał, tak jak nie czuję w tej chwili jadu trucizny, który mi pali wnętrzności.

Jestem szczęśliwy. Śmierć, którą sobie zadaje, jest początkiem ich męki. Ponieważ zaś Edmund też umrzeć musiał, czemu nie skrócić mu długiej agonii, czemu nie zadać mu śmierci, która by podwoiła zbrodni Marii Anny i Sauveranda?

Koniec się zbliża... Musiałem przerwać, zwyciężony cierpieniem. Teraz korzystam z chwilowej ulgi, żeby Wszystko napisać. Co za cisza wokoło... Opodal policja strzeże mojej zbrodni. Maria Anna wkrótce, wezwana listem posłanym przeze mnie, podąży na schadzke, na którą jej ukochany nie przyjdzie. A Sauverand tymczasem chodzi pod jej oknami, w których ona się nie ukaże. Prawdziwe marionetki... tańczą, jak im rozkażę! Czyż to nie pan otruł dziś rano inspektora Verota i poszedł za nim do kawiarni „Pont-Neuf” razem ze swoją ładną hebanową laseczką? Ależ tak, to pan. Wieczorem zaś piękna pani truje mnie i swego pasierba. Lecz jaki dowód? A to jabłko, którego pani nie ugryzła, a na którym jednakże znajdują odcisk pani zębów! Co za farsa! Tańczcie laleczki!...

A owe listy! Listy do nieboszczyka Langernaulta to mój najlepszy pomysł! Wiele radości sprawił mi ten wynalazek i wykonanie owego przyrzędu!

I co mnie najwięcej bawi, to myśl, że nikt się nie domyśla. Nikt się nigdy nie dowie! Za kilka tygodni, kiedy zguba obojga winowajców będzie już rzeczą bezpowrotnie dokonaną, w nocy z 25 na 26 maja o trzeciej z rana nastąpi wybuch, który pochłonie wszystko. Bomba jest podłożona, mechanizm zupełnie niezależny od mechanizmu pająka wysadzi wszystko w oznaczonym czasie. Koło 26 maja o trzeciej z rana nastąpi wybuch, który miał niby zawierać mój dziennik, flaszeczkę z trucizną, igły, które mi do zastrzyków służyły, laskę hebanową, dwa listy inspektora Verota, jednym słowem wszystko, co by ich mogło uratować. Nikt się więc nigdy nie dowie!...

Chyba... że się cud stanie... Chyba że bomba pozostawi sufit w całości!... Chyba że geniusz jakiś, intuicją i jasnowidzeniem nawiedziony, zdoła rozwikłać powikłane przeze mnie nici. I po długich poszukiwaniach odnajdzie ten ostatni list.

Dla niego piszę to, pewny będąc, że on nie istnieje. A zresztą czy to nie wszystko jedno? Do tego czasu Maria Anna i Sauverand będą już w głębi przepaści

prawdopodobnie nieżywi, a na pewno rozdzieleni na zawsze. Nic więc nie ryzykuję, zostawiając ten dowód mojej nienawiści.

Ręka mi drży coraz bardziej. Pot kroplisty spływa mi z czoła. Cierpię jak potępieniec i jestem bosko szczęśliwy! Czekaliście mojej śmierci? I ty, Mario Anno, nie umiałeś ukryć radości błyszczącej w twych oczach, kiedy skrycie śledziły postęp choroby na mojej twarzy! Byliście tak pewni przyszłości, że mieliście odwagę pozostać cnotliwi! Oto macie moją śmierć! I ponad mym grobem złączą was... kajdany. Ha! co za rozkosz! Na ciebie kolej, Mario Anno! Wybieraj: sznur czy truciznę? Giń w płomieniach... jak ja, który ciebie nienawidzę... nienawidzę...”

Demalion umilkł wśród ogólnego zdumienia. Ostatnie zdania czytał z wielką trudnością, gdyż pismo pod koniec stawało się zupełnie nieczytelne.

Z oczyma utkwionymi w papier rzekł półgłosem:

— Hipolit Fauville. Nędznik znalazł jeszcze siłę, żeby się podpisać wyraźnie. Obawiał się widocznie, żeby nie zwątpiono o jego hańbie. I rzeczywiście, jak można było przypuszczać? — I dodał patrząc na don Luisa: — Trzeba było, żeby dojść do celu, intuicji prawdziwie wyjątkowej i zdolności, przed którymi musimy schylić czoła. Wszystkie wyjaśnienia, dane przez tego szaleńca, były przewidziane najakuratniej i w sposób najbardziej zdumiewający.

Don Luis skłonił się i nie odpowiadając na pochwały rzekł:

— Ma pan rację, panie prefekcie, był to szalenciec najniebezpieczniejszego gatunku. Wariat przytomny, który raz powziętą myśl wykonywał z wytrwałością, godną swego drobiazgowego umysłu, podlega prawom mechaniki. Inny na jego miejscu byłby brutalnie postąpił. On się wysilił na zadanie śmierci na dłuższą metę. I trzeba przyznać, że mu się to powiodło, gdyż władze sądowe wpadły w sidła, a pani Fauville prawdopodobnie przypłaci to życiem.

Demalion zdecydowanym ruchem otrząsnął się z przygnębiającego wrażenia. Cała ta sprawa była w samej rzeczy już tylko przeszłością, którą dalsze śledztwa wyjaśnią należycie. W danej zaś chwili jeden tylko wzgląd mógł mieć znaczenie: wybawienie pani Fauville.

— To prawda — zawołał — nie mamy ani chwili do stracenia.. Pani Fauville musi być natychmiast powiadomiona. Równocześnie wezwę sędziego śledczego i jestem pewien, że odstąpienie od procesu da się przeprowadzić bezzwłocznie.

Szybko wydał rozkazy, żeby przeprowadzono dalsze badania i sprawdzono wszystkie hipotezy don Luisa. Następnie zwracając się do niego rzekł:

— Mam nadzieję, że zechce mi pan towarzyszyć, należy się bowiem, żeby pani Fauville mogła wyrazić swą wdzięczność swemu zbawcy. Sierżant Mazeroux pojedzie z nami.

Zebranie było skończone. Zebranie, na którym don Luis dał miarę swego geniuszu. W walce z pozagrobową siłą zmusił śmierć do wyjawienia swej tajemnicy.

Demalion całym swym zachowaniem wyrażał mu głębokie uznanie. Perennę zaś, jeszcze przed kilku godzinami ściganego przez policję, bawiła niezmiernie ta jazda samochodem w towarzystwie szefa tejże policji, Nic lepiej nie uwydatniało, z jakim mistrzostwem przeprowadził całą tę sprawę i jaką wagę nadawano osiągniętemu rezultatowi. Dziś nawet urazy Webera nic już nie były zdolne zdziałać przeciw don Luisowi Perennie.

Prefekt jednakże zaczął rozpatrywać niektóre szczegóły ostatecznego rozwiązania sprawy i rzekł, dyskutując jeszcze nad pewnymi punktami:

— Tak... nie ma wątpliwości... zgadzamy się najzupełniej... Pozostaje jednakże parę kwestii niewyjaśnionych. Przede wszystkim ów odcisk zębów pani Fauville. Pomimo zeznania męża jest to fakt, którego nie możemy lekceważyć.

— Zdaje mi się, panie prefekcie, że wyjaśnienie nie będzie zbyt trudne. Dam je panu, jak tylko będę je mógł poprzeć dowodami.

— Dobrze. Ale niech mi pan powie, jakim sposobem Weber znalazł wczoraj rano w pokoju panny Levasseur tę kartkę, tycząca się wybuchu?

— A jakim sposobem ja znalazłem tam listę dat, oznaczających ukazywanie się listów? — zaśmiał się Perenna.

— A więc pan jest mego zdania — .zapytał prefekt — że udział panny Levasseur w tej sprawie jest co najmniej mocno podejrzany?

— Jestem pewien, że to się wszystko wyjaśni, panie, prefekcie. Wystarczy panu wybadać teraz panią Fauville i Sauveranda, żeby rozproszyć ostatecznie ciemności i uwolnić pannę Levasseur od wszelkich podejrzeń.

— Jeden fakt jeszcze mocno mnie zadziwia — nastawał prefekt. — A mianowicie to, że w całym swym wyznaniu inżynier Fauville nie wspomina wcale o spadku Morningtona. Dlaczego? Czyżby o nim nie wiedział? Czyżbyśmy mieli przypuszczać, że nie ma żadnego związku pomiędzy tym szeregiem zbrodni a sprawą spadku? I że ten zbieg okoliczności jest tu zupełnie wypadkowy?

— W tym zgadzam się z panem najzupełniej, panie prefekcie. Przemilczenie tej sprawy przez Hipolita Fauville'a dziwi mnie trochę, przyznaję. Lecz przywiązuję do tego faktu tylko względną wagę. Najważniejszym w danym wypadku jest według mnie udowodnienie winy inżyniera Fauville'a, a niewinności oskarżonych.

Radość don Luisa była bez granic. Jego zdaniem cała ta złowroga historią kończyła się z chwilą odkrycia własnoręcznego zeznania inżyniera Fauville'a. To, czego by w nim brakowało, zostałoby niechybnie wyjaśnione później przez panią Fauville, Florencję lub Sauveranda. I nie zajmowało go wcale.

Stanęli przed więzieniem Saint-Lazare, ohydny w swej ponurości. Prefekt wyskoczył z auta. Drzwi więzienia otworzyły się.

— Czy jest dyrektor? — zapytał portiera. — Niech go prędko poproszą w bardzo pilnej sprawie.

I nie czekając pośpieszył korytarzem ku infirmerii. Wszedłszy na pierwsze piętro natknął się na samego dyrektora.

— Pani Fauville?... rzekł bez wstępu. — Chciałbym ją widzieć.

Lecz zatrzymał się na miejscu, widząc silne zmieszanie na twarzy dyrektora.

— Co się stało? — Co panu jest?

— Jak to? panie prefekcie — wyjąkał ten ostatni. — Pan jeszcze nie wie? Przecież telefonowałem do prefektury...

— Mówże pan! Co się stało?

— Pani Fauville umarła dziś rano. Pomimo nieustającego dozoru zdołała się otruć.

Demalion chwycił dyrektora więzienia za ramię i pobiegł z nim do infirmerii. Perenna i Mazeroux pośpieszyli za nimi. W jednym z pokoi ujrzeli młodą kobietę leżącą martwo.

Brunatne plamy widniały na jej bladej twarzy i ramionach. Plamy podobne do tych, które widziano poprzednio na trupie inspektora Verota, inżyniera Fauville'a i jego syna Edmunda.

Prefekt wyszeptał wzburzony:

— Lecz skąd truciznę dostała?...

— Znalaziono pod jej poduszką tę oto flaszeczkę i strzykawkę, panie prefekcie.

— Pod poduszką? Lecz skądże się one tam znalazły. Jakim sposobem dostała je?

Kto mógł je przynieść?

— Nie wiemy jeszcze, panie prefekcie.

Demalion spojrział na don Luisa. A więc śmierć Hipolita Fauville'a nie stawiała tamy morderstwom. Jego czyn nie tylko wywołał zgon Marii Anny, lecz spowodował otrucie nieszczęśliwej kobiety! Czyż można było uwierzyć, że zemsta nieboszczyka ścigała ją w dalszym ciągu i zawsze równie automatycznie i bezimiennie? Lub... prędzej... czy nie było innej jakiejś woli tajemniczej, która prowadziła dalej w cieniu z tą samą śmiałością szatańskie dzieło inżyniera Fauville'a?

W dwa dni później nowa sensacja wstrząsnęła nerwami publiczności. Znalaziono Gastona Sauveranda w jego celi, dogorywającego. Zadusił się prześcieradłem. Próbowano przywrócić mu życie, lecz nadaremnie.

Na stole koło niego leżało pół tuzina wycinków gazet, dostarczonych mu jakąś nieznaną ręką. Wszystkie donosiły o śmierci Marii Anny Fauville.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Spadkobierca dwustu milionów

Czwartego dnia po tych tragicznych zdarzeniach stary dorożkarz okutany w szeroką opończę zadzwonił do pałacu Perenny i oddał list do don Luisa. Zaprowadzono go wnet do gabinetu na pierwszym piętrze. Wszedłszy tam i ledwo zdążywszy rzucić opończę rzucił się ku don Luisowi:

— Stało się, szefie! Nie pora już na zabawę, trzeba manatki zbierać i umykać jak najprędzej!

Don Luis, który spokojnie palił cygaro siedząc wygodnie w głębi fotela, zapytał:

— Co wolisz, Aleksandrze, cygaro czy papierosa?

Mazeroux oburzył się.

— Ależ szefie, pan chyba gazet nie czyta?

— Niestety!

— W takim razie sytuacja musi się panu przedstawiać równie jasno jak i mnie i jak wszystkim w ogóle. Od trzech dni, to jest od owego podwójnego samobójstwa, albo raczej... podwójnego morderstwa Marii Anny Fauville i jej kuzyna Gastona Sauveranda nie znajdzie pan ani jednej gazety, gdzie by pan nie czytał: „Teraz, kiedy pan Fauville, jego syn i żona oraz kuzyn ich Gaston Sauverand nie żyją, nic już nie dzieli don Luisa Perenny od spadku po Kostnie Morningtonie”. Rozumie pan chyba, co to znaczy? Oczywiście, mówi się też o wybuchu na bulwarze Suchet i o zwierzeniach inżyniera Fauville'a. Oburzają się ludzie na tego potwornego Fauville'a i zachwycają się pańską zręcznością. Lecz to nie przeszkadza, że jeden fakt góruje we wszystkich rozmowach i dyskusjach. Po usunięciu wszystkich trzech gałęzi rodziny Roussel kto zostaje? Don Luis Perenna. W braku spadkobierców naturalnych kto dziedziczy? Don Luis Perenna.

— A oto szczęśliwiec!

— Oto co sobie wszyscy powtarzają, szefie. Mówią sobie też, że ta seria zbrodni i okropności nie może być wynikiem wypadkowego zbiegu okoliczności, lecz przeciwnie, wskazuje na istnienie jakiejś woli kierującej, która rozpoczęła dzieło od zamordowania Kosmy Morningtona, a skończy na zdobyciu jego dwustu milionów.

Żeby zaś nazwać tę wolę, biorą co jest pod ręką, a więc osobistość bohaterską a zarazem tajemniczą i wszechobecną, przyjaciela Morningtona, który od początku sprawy kieruje wydarzeniami, oskarża, uniewinnia, każe aresztować lub zwalniać, dopomaga w ucieczce, jednym słowem intryguje w całej tej sprawie spadkowej, na której, jeśli dobrze pójdzie, zarobi dwieście milionów. Osobistością ową jest don Luis Perenna, inaczej mówiąc, smutnej pamięci Arsen Lupin, o którym trudno nie wspomnieć wobec tak kolosalnej afery.

— Dziękuję!

— Oto co mówią, szefie, powtarzam. Póki pani Fauville i Sauverand żyli, publiczność niezbyt myślała o pańskich prawach do sukcesji. Ale z chwilą, kiedy oni umarli... mimo woli człowiek się pyta: komu przynosi korzyść zniknięcie wszystkich spadkobierców rodziny Roussel? Don Luisowi Perennie!

— Bandyta!

— Tak, bandyta, to właśnie słowo, które Weber wykrzykuje po całej prefekturze i dyrekcji policji. Pan jest bandytą, a Florencja Levasseur jest pańską współpracowniczką. I nie słyszy się prawie słów protestu. Prefekt policji pamięta niezawodnie, że mu pan po dwakroć życie uratował i że pan oddał władzom bezcenne usługi i chętnie, to zawsze podniesie. Lecz choćby się nawet zwracał z tym do prezydenta rady pana Valenglay, który zresztą pana proteguje, to jeszcze nie poradzi. Nie pomoże prefekt policji ani prezydent rady tam, gdzie jest dyrekcja policji, władze sądowe, sędzia śledczy, dzienniki, a szczególnie opinia publiczna, która czeka, która domaga się winowajcy. Winowajcą jest pan lub Florencja Levasseur. A właściwie pan i Florencja Levasseur.

Don Luis nie drgnął. Mazeroux przeczekał jeszcze chwilę, po czym nie otrzymując odpowiedzi rzekł zrozpaczonym tonem:

— Czy wie pan, do czego mnie pan zmusza, szefie? Do zdrady obowiązku! Otóż proszę słuchać. Jutro rano otrzyma pan wezwanie sędziego śledczego. Po czym, niezależnie od wyniku badania, zaprowadzą pana wprost do aresztu. Mandat jest podpisany. Oto jednym słowem co uzyskali pańscy wrogowie.

— Do kroćset! Źle z nami, Aleksandrze!...

— To jeszcze nie wszystko. Weber, który się aż pali, żeby się na panu zemścić, otrzymał zezwolenie strzeżenia pańskiego pałacu, żeby się pan nie mógł wymknąć, jak Florencja Levasseur. Za godzinę będzie już tu ze swymi ludźmi. Co pan na to, szefie?

Nie zmieniając swej wygodnej pozycji w fotelu don Luis skinął od niechcienia na Mazeroux.

— Sierzancie, spójrz no pod kanapę, tam, pomiędzy oknami...

Perenna rzekł to poważnym tonem. Mazeroux instynktownie, usłuchał, rozkazu. Pod kanapą stała walizka.

— Słuchaj jeszcze, sierzancie! Za dziesięć minut, kiedy służbie każę iść spać, zaniesiesz tę walizkę na ulicę Rivoli, nr 143 bis, gdzie wynająłem małe mieszkanie pod nazwiskiem pana Lecocq.

— Jak to? Co to znaczy, szefie?

— To znaczy, mój drogi, że od trzech dni, nie mając nikogo pewnego w domu, komu mógłbym powierzyć tę walizkę, czekałem twoich odwiedzin.

Mazeroux patrzył na niego wzrokiem zdumionym.

— A więc pan miał zamiar umknąć stąd?

— Oczywiście! Tylko nie było czego się śpieszyć. Z chwilą kiedy ciebie umieściłem na służbie w policji, zrobiłem to naturalnie, żeby wiedzieć o wszystkim, co się przeciwko mnie knuje. Powiadasz, że jest niebezpieczeństwo, wynośmy się więc.

I uderzając po ramieniu sierżanta coraz bardziej zdumionego dodał surowo: ,

— Widzisz, Mazeroux, że nie warto było przebierać się za dorożkarza i zdradzać swych obowiązków. Nigdy nie trzeba zdradzać obowiązków, sierzancie! Zapytaj swego sumienia, a pewien jestem, że cię osądzi, jak na to zasługujesz...

Don Luis mówił prawdę. Widząc, jak dalece śmierć Marii Anny i Sauveranda zmienia sytuację, uważał za wskazane ukryć się czasowo. Nie uczynił tego wcześniej, gdyż oczekiwał ciągle wiadomości od Florencji Levasseur. Niestety, oczekiwał ich daremnie. Florencja trwała w uporczywym milczeniu. Don Luis zdecydował się więc nie narażać się nadal na coraz prawdopodobniejsze aresztowanie.

I rzeczywiście, przewidywania jego sprawdziły się. Mazeroux zjawił się nazajutrz rozradowany w mieszkaniu przy ulicy Rivoli.

— A to się panu upiekło! Weber mało się nie wściekł, skoro się dowiedział, że mu ptaszek z klatki wyfrunął. Zresztą trzeba przyznać, że sytuacja jest coraz bardziej zagmatwana. W prefekturze policji zupełnie głowy potracili i sami nie wiedzą; czy mają ścigać Florencję Levasseur. Musiał pan to w gazetach czytać? Sędzia śledczy twierdzi, że ponieważ inżynier Fauville zabiwszy syna sam popełnił samobójstwo, sprawa jest tym samym skończona i Florencja Levasseur nic z tym nie może mieć wspólnego. Jak się to panu podoba? Co?... Dobry sobie jest ten sędzia! A zabójstwo Gastona Sauveranda? Czyż to nie jasne, że ona brała w tym udział? Tak jak we wszystkim zresztą! Przecież to u niej znaleziono te notatki, dotyczące się listów i wybuchu w willi Fauville'ów, a następnie...

Mazeroux nie dokończył zdania, onieśmielony wzrokiem don Luisa i rozumiejąc nareszcie, że szef więcej niż kiedykolwiek dba o Florencję.

— Et, lepiej nie mówmy o tym wcale. Przyszłość okaże, kto miał rację...

Dni płynęły spokojnie. Mazeroux przychodził jak mógł najczęściej lub telefonował do don Luisa o wszystkich szczegółach podwójnego śledztwa w więzieniu Saint-Lazare i La Sante.

Wszelkie badania pozostawały bezskuteczne. Stwierdzono jednakże, że przed swym aresztowaniem Sauverand robił starania nawiązania korespondencji z Marią Anną Fauville za pośrednictwem jednego z dostawców infirmerii więziennej. Czy jednak strzykawka i flaszeczka z trucizną przeszły tą samą drogą? trudno było powiedzieć. Również nie można było dojść, jakim sposobem wycinki z gazet, dotyczące się samobójstwa Marii Anny, doszły do celi Gastona Sauveranda...

Niewyjaśnioną tajemnicą były też zawsze owe ślady zębów na jabłku. Zębów tygrysa, jak je nazywano.... Jednym słowem, jak mówił Mazeroux, plątali się wszyscy w tej gmatwaninie bez wyjścia tak dalece, że prefekt, który miał misję zebrania sukcesorów Morningtona najwcześniej w trzy miesiące, a najdalej w cztery po przeczytaniu testamentu, zdecydował nagle zwołać to zebranie w ciągu następnego tygodnia, to jest 9 czerwca. Miał nadzieję skończyć nareszcie z tą sprawą, w której władze sądowe wykazały tyle niepewności i wahania. Podług okoliczności powzięto by ostateczne postanowienie dotyczące się spadku. Następnie zamknięto by śledztwo. I powoli zapanowałoby milczenie nad tą potworną hekatombą spadkobierców Morningtona.

I tajemnica zębów tygrysa poszłaby z czasem w zapomnienie.

Lecz co najdziwniejsze, dni te ostatnie niespokojne i gorączkowe, jak przed wielką bitwą, don Luis Perenna przepędził spokojnie, w głębokim fotelu, na balkonie, paląc papierosy lub puszczając. bańki mydlane, które wiatr unosił w dal.

Mazeroux nie mógł mu się nadziwić.

— Nie rozumiem pana; doprawdy! Jak pan może wyglądać tak obojętnie i spokojnie?

— Ale ja jestem spokojny, Aleksandrze.

— Jak to, więc ta sprawa nic już pana nie interesuje? Zrzekł się pan pomszczenia śmierci pani Fauville i Sauveranda? Otwarcie oskarżają pana, a pan puszcza tymczasem bańki mydlane?

— Nie znam nic więcej pasjonującego, Aleksandrze!

— Chyba że pan doprawdy zgłębił tę przeklętą tajemnicę?

— Kto wie...

Godziny mijają za godzinami a don Luis nie ruszał się ze swego balkonu. Dla odmiany karmił wróble, które zlatywały się na balkon, żeby jeść chleb, który im rzucał. Można było rzec naprawdę, że dla niego też sprawa ta była zakończona i że wszystko szło jak najpomyślniej.

Lecz w dniu zebrania wpadł Mazeroux zaaferowany z listem w rękę:

— To dla pana, szefie. List był do mnie adresowany, lecz w podwójnej kopercie, na drugiej zaś jest pańskie nazwisko. Jak to wytłumaczyć... sam nie wiem.

— Bardzo łatwo, Aleksandrze. Wróg znając nasze przyjazne stosunki, a nie znając mego adresu...

— Jaki wróg?

— Powiem ci to dziś wieczór...

Don Luis otworzył kopertę i przeczytał następujące słowa, pisane czerwonym atramentem:

„Lupin, jeszcze czas, wycofaj się z walki! Jeśli tego nie uczynisz, czeka cię śmierć, jak tamtych. Kiedy będziesz myślał, że jesteś u celu, kiedy rękę na mnie podniesiesz z okrzykiem: zwycięstwo, wówczas przepaść otworzy się pod twymi nogami. Miejsce twej śmierci jest już obrane i sidła zastawione. Strzeż się, Lupin!”

Don Luis uśmiechnął się.

— No, nareszcie coś się zarysowuje...

— Tak pan myśli, szefie?

— Ależ tak... A kto ci wręczył to pismo?

— W tym to mamy szansę, szefie! Agent prefektury, któremu był list ten oddany, mieszka przy ulicy Ternes, w sąsiednim domu oddawcy listu.

Don Luis rzucił się rozradowany:

— Gadajże prędko! Masz jakieś bliższe wiadomości.

— Osobnik ten jest służącym w jednej klinice przy ulicy Temes.

— Lećmy tam. Nie mamy chwili do stracenia!...

— Nareszcie! szefie! odnajduję pana!

— No, rozumie się, póki nie było nic do roboty, to czekałem dzisiejszego wieczora i wypoczywałem, gdyż przewiduję, że walka będzie ciężka... Ale jak się nieprzyjaciel nareszcie odezwał i jest trop, po którym można go śledzić, to nie mamy racji dłużej czekać. A więc dalejże na tygrysa, Mazeroux!

Była już godzina pierwsza po południu, kiedy don Luis i Mazeroux przyjechali do kliniki Ternes. Otworzył im służący. Mazeroux szturchnął łokciem Perennę. Był to bez wątpienia oddawca listu. Zapytany przez sierżanta człowiek ten przyznał bez trudności, że był rzeczywiście dnia tego rano w prefekturze.

— Z czyjego rozkazu? — zapytał Mazeroux.

— Z rozkazu pani przełożonej.

— Co za przełożonej?

— Przy klinice jest dom zdrowia, prowadzony przez zakonnice.

— Czy można mówić z przełożoną?

— Oczywiście, lecz chwilowo pani przełożona wyszła.

— A kiedy wróci?

— Lada chwila.

Służący wprowadził ich do przedpokoju, gdzie czekali przeszło godzinę. Ogromnie byli obaj zaciekawieni, co znaczyła interwencja owej zakonnicy. Jaką rolę ona w tym odegrała?

Przez ten czas różne osoby przechodziły przez pokój. Jedni przychodzili odwiedzać chorych, inni wychodzili. Zakonnice chodziły to tu, to tam w milczeniu, i jako też i pielęgniarki w długich białych bluzach, j ściśniętych w pasie.

— No będziemy tu chyba pleśnieć w nieskończoność, szefie — szepnął Mazeroux.

— A ciebie co nagli? Twoja ukochana?

— Nie, tylko... czas tracimy.

— Ja czasu nie tracę. Zebranie u prefekta jest dopiero o piątej.

— Ha! Co pan mówi, szefie? Nie ma pan przecież zamiaru być obecnym...

— Czemu nie?

— Jak to? A mandat...?

— Mandat? Świstek papieru...

— Tak, tylko że ten świstek papieru może się stać niemiłą rzeczywistością, jeśli pan zmusi sędziego do działania. Pańska obecność będzie uważana za prowokację.

— Moja nieobecność za wyznanie. Ktoś, kto dziedziczy dwieście milionów, nie kryje się w chwili przyznania spadku. Otóż pod groźbą utraty prawa muszę wziąć udział w tym zebraniu.

— Szefie...

W tej chwili dał się słyszeć koło nich zdławiony okrzyk i równocześnie pielęgniarka, która przechodziła przez pokój, zaczęła biec i zniknęła za kotarą.

Don Luis wstał zmieszany, wahając się, potem nagle po paru sekundach namysłu rzucił się za nią, przebiegł korytarz i natrafił na drzwi, skórą materacowane, które się były tylko co zamknęły i koło których don Luis, szukając klamki drżącymi ze wzruszenia rękami, stracił jeszcze kilka sekund.

Kiedy je nareszcie otworzył, znalazł się u stóp służbowych schodów. Czy wejść na górę? Na lewo te same schody szły na dół do suterren. Perenna zbiegł w dół, wszedł do kuchni i chwyciwszy za ramię kucharkę zawołał gwałtownie:

— Czy pielęgniarka stąd wyszła?

— Ach, to ta nowa... Panna Gertruda.

— Prędko... prędko... wołają ją na górze!...

— Kto taki?

— Ależ do jasnego pioruna! Którędy wyszła ta panna?

— Tu... tymi drzwiami.

Don Luis rzucił się, przebył małą sień i wybiegł na ulicę Ternes.

— Wcale niezły bieg! — zawołał Mazeroux, który go dogonił.

Don Luis obserwował ulicę. Na małym placu opodal widać było ruszający z miejsca autobus.

— Ona tam jest! - zawołał - tym razem nie wypuszczę jej.

Skinął na samochód.

— Proszę jechać za tym autobusem w odległości pięćdziesięciu metrów.

Mazeroux zapytał:

— Czy to. Florencja Levasseur?

— Tak.

— A to dobrze! — mruknął sierżant.

Po czym dodał z nagłą naiwnością:

— Czy pan doprawdy nic nie widzi? Przecież nie wolno być tak dalece zaślepionym!...

Don Luis nie odpowiedział.

— Obecność Florencji Levasseur w klinice dowodzi, jak $a+b$, że to ona kazała służącemu przynieść mi ten list z pogrozkami dla pana. A w takim razie przyzna pan, że wszelkie wątpliwości upadają! Florencja Levasseur prowadzi całą sprawę! I pan wie o tym dobrze jak ja! Jeśli pan potrafił w ciągu tych dziesięciu dni z miłości dla tej kobiety uważać ją za niewinną, pomimo wszystkich obciążających ją dowodów, to dziś prawda w oczy kłuje! Dziś widzi pan jasno, nieprawdaż, szefie?

Tym razem don Luis nie protestował. Z twarzą skupioną i twardym wyrazem w oczach bacznie śledził autobus, który w tej chwili zatrzymał się na rogu bulwaru Haussmanna.

— Stój! — krzyknął do szofera.

Pielęgniarka wysiadła. Pomimo stroju łatwo w niej było poznać Florencję Levasseur. Rzuciła wzrokiem wokoło siebie, jak ktoś, co chce sprawdzić, czy nie jest ścigany, następnie wsiadła do dorożki i kazała się zawieźć na dworzec Saint-Lazare.

Z daleka don Luis widział ją wchodzącą na schody, a potem jeszcze w głębi sali przy okienku, gdzie kupowała bilet.

— Prędko, Mazeroux! — zawołał — dobadź swoją legitymację i zapytaj tę urzędniczkę, jaki bilet sprzedawała. Tylko śpiesz się, zanim kto inny nadejdzie.

Mazeroux szybko wykonał rozkaz i wrócił, mówiąc:

— Bilet drugiej klasy do Rouen.

— Weź także bilet.

Sierżant usłuchał. Przy czym urzędniczka poinformowała go, iż pociąg pośpieszny odchodzi natychmiast. Kiedy wyszli na peron, ujrzeni Florencję wsiadającą do przedziału.

Lokomotywa zagwizdała.

— Wsiadaj — rzekł don Luis, który się ukrywał jak mógł. — Zatelegrafujesz do mnie z Rouen, a ja cię tam dziś wieczorem dogonię. Tylko otwieraj dobrze oczy, żeby ci się z rąk nie wysliznęła!

— Proszę ze mną jechać, szefie! Dużo by lepiej było...

— Nie mogę. Pociąg przed Rouen nie staje, mógłbym więc być z powrotem dopiero wieczorem. A zebranie w prefekturze jest o piątej.

— A pan chce na nim być koniecznie?

— Więcej niż kiedykolwiek. Prędko, wsiadaj!

Pchnął go do jednego z końcowych wagonów. Pociąg ruszył i wkrótce znikł w tunelu. Wówczas don Luis rzucił się na ławkę w jednej z poczekalni i siedział tam dwie godziny, udając że czyta gazety. W rzeczywistości zaś rozmyślał nad dręczącym go niewymownie Pytaniem: Czy Florencja jest winna?

Punktualnie o piątej godzinie otworzyły się drzwi gabinetu pana Demaliona przed majorem hrabią d'Astrignacem, mecenasem Lepurtuisem i sekretarzem ambasady amerykańskiej. W tej samej chwili wszedł ktoś do przedpokoju woźnych i oddał swą kartę wizytową.

Woźny będący dnia tego na służbie rzucił okiem na kartę i zwrócił się żywo do kilku osób, rozmawiających na uboczu, następnie zapytał nowo przybyłego:

— Pan nie ma wezwania?

— Zbyteczne. Proszę anonsować don Luisa Perennę.

Jakby elektryczne wstrząśnienie przeszło wszystkich obecnych. Ktoś oddzielił się od grupy rozmawiających osób i postąpił parę kroków. Był to komisarz Weber.

Wrogowie spojrzeli sobie w oczy. Don Luis uśmiechał się uprzejmie. Weber był błąd z wściekłości i widać było wysiłki, które czynił, żeby nad sobą zapanować. Wkoło niego, oprócz dwóch dziennikarzy, było jeszcze czterech agentów policji.

Psiakrew! Ci panowie na mnie tu czyhają — pomyślał don Luis. — Lecz ich zdumienie dowodzi jasno, że nie przypuszczali, iż będę miał tupet zjawić się tu. No, zaaresztują czy nie?

Weber nie ruszył się. W końcu twarz jego nabrała wyrazu pewnego zadowolenia, jakby mówił sobie: „Ciebie, kochanku, mam nareszcie! Nie wywiniesz mi się więcej!”

Woźny powrócił i nie mówiąc słowa wskazał drogę don Luisowi. Don Luis przeszedł koło Webera kłaniając mu się uprzejmie, agentom zaś przesłał przyjazne skinienie, po czym wszedł do gabinetu.

Natychmiast major d'Astrignac pośpieszył ku niemu z wyciągniętą dłonią, okazując tym samym, że żadne plotki nie mogły wpłynąć na uznanie, które miał dla legionisty Perenny. Lecz chłodne zachowanie prefekta policji było niezmiernie wymowne. Przerzucał w dalszym ciągu akta leżące przed nim i rozmawiał szeptem z sekretarzem ambasady i notariuszem.

Don Luis pomyślał: Mój drogi Lupin, ktoś stąd wyjdzie dzisiaj z kajdankami na rękach. Jeśli nie prawdziwy winowajca, to ty, mój biedny stary! Mądrej głowie... Myśl ta jednak nie przygnębiała go bynajmniej. Przeciwnie, dodawała mu bodźca do nowej walki.

Prefekt policji dalej przeglądał akta, rzucając okiem od czasu do czasu na don Luisa Perennę, którego wesoła i swobodna mina mocno go intrygowała... W końcu Demalion przemówił:

— Spotykamy się tu, moi panowie, tak jak przed dwoma miesiącami, żeby powziąć ostateczne postanowienie wyprawie spadku po Kosmie Morningtonie. Pan Caceres, attache poselstwa peruwiańskiego nie przybędzie, gdyż jak mnie o tym powiadomiono depezą z Włoch nadesłaną, jest dość poważnie chory. Obecność jego tu zresztą nie była konieczna. Nie brakuje więc nikogo... oprócz tych niestety, których to zebranie miało utwierdzić w prawach, to jest spadkobierców Kosmy Morningtona.

— Brakuje jeszcze kogoś, panie prefekcie.

Demalion podniósł głowę. I zobaczywszy, że to Perenna przemówił, zawahał się, lecz po chwili zdecydował się zapytać:

— O kim pan mówi?

— O zabójcy spadkobierców Morningtona.

Jeszcze raz don Luis zmusił obecnych pomimo oporu, który mu przeciwstawiano, do liczenia się z jego osobą i zdaniem.

— Panie prefekcie, czy pozwoli mi pan przedstawić fakty tak, jak się one wyłaniają z terażniejszej sytuacji? Będzie to dalszy ciąg i zakończenie rozmowy, którąśmy mieli swego czasu po wybuchu na bulwarze Suchet.

Milczenie Demaliona dało do zrozumienia Perennie, że może mówić dalej:

— Będę treściwy, panie prefekcie. I to dla dwóch powodów: naprzód dlatego, że mając, zwierzenia inżyniera Fauville'a wiemy ostatecznie, jaką potworną rolę odegrał w całej tej sprawie, a następnie dlatego, że prawda, choćby skomplikowana pozornie, w rzeczywistości jest zupełnie prosta. Mieści się ona całkowicie w pytaniu, które mi pan zadał, panie prefekcie, wychodząc z ruin willi bulwaru Suchet: „Jak wytłumaczyć, że w swoim zwierzeniu Hipolit Fauville nie wspomina ani razu o spadku Morningtona?” W tym jest wszystko, panie prefekcie. Hipolit Fauville nie wspominał ani razu o spadku, gdyż najwidoczniej o nim nie wiedział. Tak jak nie wiedział o nim Gaston Sauverand, jak również pani Fauville i Florencja Levasseur. A więc mamy jeden pewnik. Spadek nie gra żadnej roli w postanowieniach i czynach inżyniera Fauville'a. A jednakże, z niewzruszoną regularnością jeden po drugim, umierają wszyscy spadkobiercy i to według porządku ustanowionego przez samego testatora. Czyż to nie dziwne? I jak tu nie przypuszczać jakiejś myśli kierowniczej? Jak nie dopuścić, że ponad nienawiścią i zazdrością potwornego Fauville'a znajduje się ktoś,

obdarzony jeszcze stokroć większą energią, dążący do wytkniętego celu i prowadzący w objęcia śmierci jakby z góry ponumerowane ofiary wszystkich nieświadomych aktorów dramatu, którego nici sam powiązał i sam rozwiązuje. Panie prefekcie, instynkt publiczny jest tak dalece zgodny z moim twierdzeniem, część policji z komisarzem Weberem na czele rozumuje w sposób tak dalece identyczny z moim, że istnienie danej osobistości utwierdziło się od razu we wszystkich imaginacjach. Nie widząc zaś, kto by mógł uosabiać tę energię i myśl kierowniczą, wskazano na mnie. Ostatecznie dlaczego nie? Czyż nie jestem spadkobiercą Kosmy Morningtona, a tym samym czy nie wypełniam koniecznego warunku, żeby mieć wyrachowanie w zbrodni? Bronić się nie będę. Może się zdarzyć, panie prefekcie, że obce interwencje lub też okoliczności zmuszą pana do przedsięwzięcia przeciw mnie środków nieusprawiedliwionych, lecz nie uwierzę nigdy, żeby pan choć chwilę uważał za zdolnego do takich zbrodni człowieka, którego czyny mógł pan sądzić w ciągu całych dwóch miesięcy. A jednak instynkt publiczny nie myli się, panie prefekcie. Niezależnie od inżyniera Fauville'a jest niewątpliwie inny winowajca i to ktoś, kto dziedziczy po Kosmie Morningtonie. A ponieważ to nie ja nim jestem, więc musi być jeszcze jakiś spadkobierca Morningtona. Jego więc oskarżam, panie prefekcie. W ponurym dramacie, który się przed nami rozwija, nie tylko wola zmarłego istnieje. Nie tylko ze zmarłym walczyłem w ciągu tych dwóch miesięcy. Niejednokrotnie, potykając się, czułem jakby tchnienie życia na twarzy. I nieraz czułem zęby tygrysa, starającego się mnie rozszarpać. Zmarły działał wiele, ale czy działał sam, nie wiem. Tak jak nie, wiem, czy „tamten” był tylko wykonawcą czy też współnikiem i inspiratorem dzieła, które na własną korzyść obrócił i doprowadził do ostatecznych granic. I dlatego, że znał testament Morningtona...

Jego więc oskarżam, panie prefekcie. Oskarżam go przynajmniej o tę część zbrodni, której nie można przypisać Hipolitowi Fauville'owi.

Oskarżam, że sforsował zamek w szufladzie biurka, gdzie mecenas Lepertuis, adwokat Kosmy Morningtona, złożył testament swego klienta.

Oskarżam go, że się zakradł do mieszkania Kosmy Morningtona i zamienił ampulkę lekarstwa używanego przez niego do zastrzyków, na taką ampulkę z trucizną.

Oskarżam go, że odegrał rolę doktora, który stwierdził zgon Kosmy Morningtona i wydał fałszywe zaświadczenie.

Oskarżam go, że dostarczył Hipolitowi Fauville'owi truciznę, która zabiła inspektora Verota, Edmunda Fauville'a i w końcu samego Hipolita Fauville'a.

Oskarżam go, że uzbroił przeciw mnie rękę Gastona Sauveranda, który pod jego wpływem po trzykroć nastawał na moje życie i w końcu spowodował śmierć mego szofera.

Oskarżam go, że korzystając z porozumienia, które Gaston Sauverand zdołał nawiązać z niektórymi osobami w infirmerii więziennej, przesłał Marii Annie i Fauville strzykawkę i flaszeczkę z trucizną, która jej i ułatwiła wykonanie samobójczych zamiarów.

Oskarżam go, iż niewiadomym mi sposobem, lecz przewidując z góry niezawodny skutek swego czynu przesłał Gastonowi Sauyerandowi wycinki z gazet, donoszące o śmierci Marii Anny.

Oskarżam go jednym słowem o zamordowanie wszystkich osób, które dzieliły go od milionów Morningtona. I twierdzę, że jeśli ktoś zgładził ze świata milionera i jego czterech sukcesorów, to widocznie sam jest piątym sukcesorem i zamierza spadek sobie zagarnąć. Za chwilę człowiek ten zjawi się przed nami.

— Co takiego?! — zawołał prefekt, zdumiony, zapominając o tak ścisłej i mocnej argumentacji Perenny i myśląc tylko o nieoczekiwanym zjawisku, przez niego zapowiedzianym.

— Panie prefekcie — odparł don Luis — odwiedziny te będą tylko logicznym wynikiem oskarżenia, które wnoszę. Niech pan sobie przypomni, że testament Morningtona jest pod tym względem kategoryczny: Prawa spadkobiercy będą ważne pod warunkiem, jeśli takowy będzie obecny na dzisiejszym zebraniu.

— A jeśli nie przybędzie? — zapytał prefekt.

— Przybędzie, panie prefekcie. Gdyż inaczej cała ta sprawa nie miałaby racji bytu. Musi przybyć, ażeby się upomnieć o dwieście milionów, zdobytych za cenę tych straszliwych zbrodni.

— A jeśli nie przybędzie? — powtórzył prefekt z uporem.

— W takim razie, panie prefekcie, musiałoby to oznaczać, że ja jestem tym winowajcą i nic panu nie pozostanie innego, jak aresztować mnie. Pomiędzy piątą a szóstą godziną po południu musi pan tu dziś zobaczyć naprzeciw siebie tego, który zabił spadkobierców Morningtona. Inaczej być nie może i w każdym wypadku sprawiedliwości stanie się zadość. A więc on albo ja, sprawa jest jasna.

Demalion milczał chwilę, gryząc własny wąż i chodząc naokoło stołu. W końcu wybuchnął nagle:

— Nie! Po stokroć nie, to niemożliwe! Jeśli istnieje człowiek dość potworny, żeby wykonać taką serię mordów, to nie będzie on tak głupi, żeby się sam wydać...

— Przychodząc tu, panie prefekcie, on nie wie nic o niebezpieczeństwie, które mu grozi, ponieważ nikomu na myśl nie przyszło dotąd przypuszczać nawet o jego istnieniu. A zresztą, co on ryzykuje?

— Jak to co ryzykuje? Ależ jeśli on rzeczywiście dokonał tego szeregu zbrodni...

— On go nie dokonał bynajmniej, panie prefekcie, a dał go wykonać innym. On sam nie działa, lecz uzbraja ich rękę i doprowadza do tego, że śmierć sobie zadają. Oto jest człowiek i oto jego sposoby...

I półgłosem, jakby z niepokojem, dodał:

— Przyznaję, że nigdy jeszcze w ciągu życia mego, bogatego w przeróżne doświadczenia, nie natknąłem się na równie straszliwą osobistość, działającą z taką diabelską przebiegłością i równie zdumiewającą znajomością psychologii...

Słowa te wywołały w otoczeniu z każdą chwilą rosnące wzruszenie. Widziano wprost ową niewidzialną istotę. Hipoteza nabierała form realnych, stawała się człowiekiem. Oczekiwano go. Nagle odgłos kroków dał się słyszeć w przedpokoju. Zastukano do drzwi.

— Proszę!...

Wszedł woźny, trzymając tacę w ręku. Na tacy był list i jedna z tych kartek drukowanych, na których pisze się nazwisko i cel wizyty. Demalion rzucił się ku wchodzącemu. Chwyając kartkę zawahał się. Błady był bardzo i widocznie wzruszony. Po chwili nagle i zdecydował się:

— Ach! — wykrzyknął z najwyższym zdumieniem i spojrzał na don Luisa, zastanowił się, po czym wziął list z tacy i zapytał woźnego:

— Czy ta osoba jest tu?

— W przedpokoju, panie prefekcie.

— Jak zadzwonię, proszę ją wprowadzić.

Woźny wyszedł. Pan Demalion stał przed swoim biurkiem bez ruchu. Po raz wtóry don Luis spotkał jego wejrzenie i zaczął go dziwny ogarniać niepokój. Prefekt zdecydowanym gestem otworzył kopertę trzymaną w ręku i zaczął czytać list.

Wszyscy obecni z żywym zainteresowaniem śledzili i każdy jego ruch, każdy wyraz twarzy. Czyżby przepowiednie Perenny miały się sprawdzić? Czy to piątą

jsukcesor upomina się o swoje prawa? Przeczytawszy pierwszych parę wierszy Demalion podniósł głowę i zwracając się ku Perennie szepnął:

— Miał pan rację, jest to rzeczywiście reklamacja.

— W czym imieniu, panie prefekcie? — zapytał mimo woli don Luis.

Demalion nie odpowiedział. Skończył list, po czym rozpoczął go na nowo powoli, jak gdyby ważąc każde słowo. Nareszcie przeczytał głośno:

„Panie prefekcie!

Trafem dowiedziałam się o istnieniu nieznanego dotąd spadkobiercy rodziny Roussel. Otrzymałam dziś dopiero papiery potrzebne dla stwierdzenia jego tożsamości, wskutek czego przesyłam je panu dopiero w ostatniej chwili przez osobę, której się tyczą. Szanując cudzą tajemnicę i pragnąc pozostać poza nawiasem sprawy, do której wmieszana zostałam tylko wypadkowo, proszę pana o wybaczenie, iż nie czuję się w obowiązku złożenia mego podpisu poniżej listu”.

A więc Perenna przewidział dobrze i wydarzenia sprawdzały jego przepowiednie. Oto w oznaczonym terminie zjawiał się zapowiadany sukcesor.

Pozostawało jeszcze ostateczne pytanie: Kim był ten nieznajomy, ten przypuszczalny spadkobierca, a tym samym morderca kilkakrotny? Ściana tylko oddzielała ich od niego... Za chwilę go ujrzą!...

Nagle prefekt zadzwonił.

Minęło kilka sekund silnego niepokoju. Co dziwne, pan Demalion nie spuszczał Perenny z oka. Ten ostatni zachowywał pozornie panowanie nad sobą, lecz w głębi duszy był mocno niespokojny i zmieszany.

Drzwi otwarły się. Ukazała się w nich jakaś postać kobieca...

Była to Florencja Levasseur.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nowy spadkobierca

Don Luis patrzył nie wierząc własnym oczom. Florencja tu?... Florencja, którą był pozostawił w pociągu pod opieką Mazeroux i której powrót z Mans przed ósmą wieczorem był fizyczną niemożliwością?

Pomimo jednak silnego zdumienia zrozumiał natychmiast, jak się to stało. Florencja widząc że jest ściga- | na, zaciągnęła ich za sobą. na dworzec Saint-Lazare i wsiadłszy do wagonu wysiadła zeń od razu po przeciwnej stronie pociągu, kiedy tymczasem Mazeroux jechał do Mans, pilnując nieobecnej podróżniczki. Kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia, don Luis zrozumiał nagle całą okropność danej sytuacji. Florencja przybyła tam w celu upomnienia się o spadek Morningtona; a on, don Luis Perenna tylko co przecież udowodnił zebrany, że fakt ten może służyć za dowód niezbity najstraszliwszej winy.

Pod wpływem nieprzepartego popędu rzucił się ku niej i chwyciwszy ją za ramię rzekł gwałtownie, nienawistnie prawie:

— Po co pani tu przysłała? Czemu mnie pani nie uprzedziła?

Pan Demalion zbliżył się, chcąc Perennę powstrzymać. Lecz don Luis nie puszczając ramienia Florencji zawołał:

— Ależ panie prefekcie, czyż pan nie widzi, że to tylko jakaś omyłka? To nie jest osoba, której przyjdzie tu zapowiedziałem. Tamta ukrywa się gdzieś jak zwykle. To niemożliwe, żeby Florencja Levasseur...

— Nie mam żadnego uprzedzenia przeciwko panie Levasseur — odparł prefekt głosem stanowczym. — Lecz moim obowiązkiem jest wy badać ją co do okoliczności, które spowodowały jej wizytę.

Po czym uwolnił Florencję z uścisku Perenny i wskazał jej fotel, siadając sam przy biurku. Na twarzy Demaliona widać było silne wrażenie, które na nim wywierała ta wizyta, ilustrująca jakby twierdzenia don Luisa. Ukazanie się na scenie nowej osoby pretendującej do spadku było w tym razie równoznaczne z ukazaniem się zbrodniarki, przynoszącej osobiście dowody swych zbrodni. Don Luis odczuł to wyraźnie, toteż nie spuszczał oczu z prefekta policji.

Florencja patrzyła to na jednego to na drugiego tak, jakby to wszystko było dla niej nierozwiązalnym zagadnieniem. Jej piękne czarne oczy zachowały swój zwykły pogodny wyraz. Nie miała już na sobie stroju pielęgniarki, lecz skromną popielatą suknię, która uwydatniała jej harmonijną figurę. Poważna była i spokojna jak zwykle. Pan Demalion zwrócił się do niej:

— Niechże się pani wytłumaczy.

Ona odrzekła:

— Nie mam nic do tłumaczenia, panie prefekcie. Przybywam do pana dla spełnienia zlecenia, nie rozumiejąc właściwie, jakie jest jego znaczenie.

— Co, pani chce przez to powiedzieć?

— To, panie prefekcie, że ktoś, do kogo mam najgłębsze zaufanie i szacunek, prosił mnie o wręczenie panu pewnych papierów, dotyczących podobno sprawy będącej celem dzisiejszego zebrania.

— A więc sprawy przyznania spadku po Kosmie Momingtome?

— Tak, panie prefekcie.

— I nie wie pani, dlaczego pani właśnie powierzono te papiery?

— Nie wiem, panie prefekcie.

— I nie wie pani też oczywiście, w czym te papiery tyczą się pani?

— Ależ one mnie się wcale nie tyczą, panie prefekcie.

Demalion uśmiechnął się i patrząc Florencji prosto w oczy powiedział wyraźnie:

— Według załączonego listu papiery te tyczą się pani. Ustalają one podobno niewątpliwie, że pochodzi pani z rodziny Roussel, wskutek czego ma pani wszelkie prawa do spadku po Morningtonie.

— Ja! — wyrwał się jej okrzyk szczerego zdumienia i protestu. — Ja miałabym mieć prawa do tego spadku? Ależ to niemożliwe! Ja żadnych praw nie mam. Żadnych, panie prefekcie! Nigdy pana Morningtona nie widziałam. Musi w tym być jakieś nieporozumienie.

Mówiła z wielkim ożywieniem i widoczną szczerością, która na kim innym zrobiłaby może wrażenie. Lecz prefekt policji nie mógł zapomnieć ścisłej argumentacji Perenny i oskarżenia, które rzucił z góry na mającego się zjawić nowego pretendenta do sukcesji.

— Proszę mi dać te papiery — rzekł krótko.

Florencja wyjęła z torebki błękitną kopertę nie zaklejoną, w której prefekt znalazł kilka pożółkłych kartek, gdzieniegdzie podartych.

Wśród głębokiej ciszy Demalion oglądał je na wszystkie strony, odczytał od początku do końca i za pomocą szkła powiększającego zbadał podpisy i pieczęcie. W końcu rzekł:

— Papiery te mają wszystkie cechy autentyczności i pieczęcie są oficjalne.
— A więc, panie prefekcie? — zapytała Florencja drżącym głosem...
— Ha, cóż, muszę pani powiedzieć, że pani nieświadomość wydaje, mi się niezmiernie wątpliwa.

I zwracając się do notariusza rzekł:

— Oto w skróceniu, co zawierają te papiery: Gaston Sauverand, spadkobierca w czwartym stopniu Kosmy Morningtona, miał brata starszego, imieniem Raoul, który był osiadł w Argentynie. Brat ten przed śmiercią przysłał do Europy pod opieką starej niańki dziewczynkę pięcioletnią, która była jego córką naturalną, lecz przyznaną, którą miał z panną Levasseur, nauczycielką francuską zamieszkałą w Buenos Aires. Oto metryka ich córki. A to deklaracja ojca, napisana własnoręcznie. Tu zaś poświadczenie owej niańki i trzech przyjaciół, znanych przemysłowców w Buenos Aires. A oto metryka zgonu ojca i matki. Wszystkie te papiery są legalizowane i noszą pieczęć konsulatu francuskiego. Nie mam więc żadnych danych, żeby podejrzewać ich autentyczność i zmuszony jestem uważać Florencję Levasseur jako córkę Raoula Sauveranda, a bratanicę Gastona Sauveranda.

— Bratanica. Gastona Sauveranda... — wyszeptała Florencja...

Wspomnienie ojca, którego właściwie nie znała, nie wzruszało jej zbyt. Lecz płakać zaczęła na myśl o Gastonie Sauverandzie, którego serdecznie kochała nie wiedząc, jak bliskie, łączyły ich więzy. Czy były to łzy szczerze? Czy też łzy dobrej aktorki, która umiała odegrać swą rolę?

Don Luis obserwował Demaliona więcej jeszcze niż Florencję i starał się wyczytywać jego tajne myśli i zamiary. I nagle z całą pewnością zrozumiał, że aresztowanie Florencji jest już rzeczą ostatecznie postanowioną i to pod zarzutem najstraszliwszych zbrodni. Postąpił więc ku niej mówiąc:

— Florencjo, żeby się bronić, musisz przede wszystkim zrozumieć, w jak okropnej pozycji stawiają cię wypadki. Pan prefekt kierowany logiką tych wypadków doszedł do przekonania, że osoba, która wejdzie do tego pokoju i której prawa do spadku Morningtona będą uzasadnione, będzie tą właśnie osobą, która zamordowała spadkobierców Morningtona. I weszłaś ty, Florencjo...

Panna Levasseur zadrżała od stóp do głowy i stała się blada jak śmierć. Nie zaprzeczyła jednak ani słowem ani gestem. Perenna ciągnął dalej:

— Oskarżenie jest wyraźne, czy nie masz nic do i powiedzenia?

Florencja milczała długą chwilę, po czym rzekła:

— Nie mam nic do powiedzenia. To wszystko jest tak niezrozumiałe... Tak ciemne...

Naprzeciw niej don Luis drżał ze Wzruszenia. Z rozpaczą zapytał jeszcze:

— A więc zgadzasz się?

Po chwili Florencja zapytała półgłosem:

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie odpowiadając przyjmuję oskarżenie?

— Tak jest.

— A w takim razie?...

— Czeka cię areszt... więzienie...

— Więzienie!

Widać było szalone cierpienie i bojaźń na jej pięknej twarzy. Więzienie było to dla niej wyobrażenie męczarni, przeżytych przez Marię Annę i Sauveranda. Oznaczało rozpacz, wstyd, śmierć, wszystkie te okropności, których Maria Anna i Sauverand nie uniknęli i których ona stanie się teraz ofiarą.

Ogromne przygnębienie opanowało ją widocznie i ledwo dosłyszalnym głosem wyjąkała:

— Jestem taka znużona!... I czuję dobrze, że nic poradzić nie zdołam!... Duszę się wśród ciemności... Ach, żebym mogła wiedzieć i rozumieć!...

I znów długa cisza. Pochylony nad Florencją Demalion studiował ją też ze skupioną uwagą. W końcu widząc że milczy, wyciągnął rękę i po trzykroć zadzwonił.

Don Luis nie poruszył się. W głębi duszy jego toczyła się ostateczna walka pomiędzy miłością i szlachetnością, nakazującą mu wiarę i ufność w niewinność Florencji, a głosem rozsądku, nasuwającym mu wątpliwości i podejrzenia. Winna? Czy też nie? Sam nie wiedział. Wszystko przeciw niej świadczyło, on jednak nie przestawał jej kochać.

Wszedł Weber ze swoimi ludźmi. Demalion rozmówił się z nim, wskazując na Florencję. Po czym Weber zbliżył się do niej.

— Florencjo! — zawołał don Luis.

Ona spojrzała na niego, potem na Webera i policjantów i nagle zrozumiała co ją czeka, cofnęła się, zachwiała, oszołomiona, mdlejąca i padła w ramiona don Luisa.

— Niech mnie pan ratuje! Niech mnie pan ratuje! Błagam pana!

W geście tym było tyle poddania i była taka bezradność w tym krzyku, w którym brzmiało przerażenie niewinnej istoty, że don Luis nagle przejrzał. Gorąca wiara przeniknęła go do głębi. Jego wątpliwości, wahania i niepokoje pochłonęła fala niewzruszonej pewności. I zawołał gwałtownie:

— Nie, to niemożliwe! Panie prefekcie, to są rzeczy niedopuszczalne!

Pochylił się nad Florencją, którą trzymał w objęciach tak mocno, że nikt by mu jej wydrzeć nie zdołał. Oczy ich spotkały się. Twarz jego dotykała prawie jej twarzy. Drgnął ze wzruszenia, tuląc ją do siebie, tak słabą i bezradną, i szepnął jej gorąco tak cichym głosem, że ona jedna mogła go dosłyszeć:

— Kocham cię... Kocham, Florencjo!... Żebyś ty mogła wiedzieć, co się ze mną dzieje!... jak ja cierpię... i jak sam jestem szczęśliwy! Florencjo, Florencjo, kocham cię...

Na znak prefekta Weber oddalił się. Demalion obserwował z zajęciem to nieoczekiwane zetknięcie tych dwóch tajemniczych postaci, don Luisa Perenny i Florencji Levasseur.

Don Luis uwolnił Florencję z uścisku i posadził ją na fotelu. Potem stanął naprzeciw niej i oparłszy obie ręce na jej ramionach wymówił:

— Jeśli ty nie rozumiesz, Florencjo, to ja rozumieć zaczynam wiele rzeczy i widzę już prawie w ciemnościach, które cię przerażają. Słuchaj mnie, Florencjo uważnie. To nie ty działasz, nieprawdaż? Jest ktoś poza tobą... I to on tobą kieruje... nieprawdaż? Ty sama nawet nie wiesz, gdzie on cię prowadzi.

— Nikt mną nie kieruje... Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, że nie jesteś sama w życiu. Że wypełniasz wiele czynów, gdyż ci je każą wypełniać i wierzysz w ich sprawiedliwość i nie wiesz, jakie są ich skutki... Odpowiedz mi... Czy jesteś zupełnie wolna? Czy nie podlegasz czyjemuś wpływowi?

Florencja już się była opanowała i twarz jej odzyskiwała powoli swój zwykły wyraz spokoju. Jednakże pytanie don Luisa zrobiło na niej wrażenie.

— Ależ bynajmniej — odparła. — Pod żadnym wpływem nie jestem... Nie... na pewno.

On jednak nie dawał za wygraną:

— Nie mów tego! Jest ktoś, kto nad tobą panuje bez twojej wiedzy nawet. Zastanów się... Jesteś oto dziedziczką Kosmy Morningtona... Dziedziczką fortuny, o którą nie dbasz, wiem o tym. Komuż więc na niej zależy? Odpowiedz... Czy jest ktoś, kto by miał w tym wyrachowanie, żebyś była bogata? W, tym jest wszystko. Czy twoja egzystencja jest związana z czyjąś egzystencją? Czy jesteś jego przyjaciółką? czy narzeczoną?

Ona zadrżała z oburzenia.

— Ależ przenigdy! Ten, o którym pan mówi, nie byłby zdolny...

— Ach — zawołał don Luis tknięty zazdrością — a więc przyznajesz, że istnieje ten, o którym ja mówię! Ha, nędznik! Przysięgam, że go odnajdę!

Zwrócił się do Demaliona z twarzą zmienioną przez nienawiść, nie starając się już panować nad sobą.

— Panie prefekcie, dochodzimy do celu, znam już drogę, która nas tam zaprowadzi. Osadzimy tę dziką bestię tej nocy jeszcze... a najdalej jutro. List dołączony do tych dokumentów, list ów nie podpisany, który panna Levasseur wręczyła panu, był pisany przez przełożoną, która kieruje kliniką przy ulicy Ternes. Przeprowadzając śledztwo natychmiast, badając przełożoną i konfrontując obie te panie dojdziemy aż do winowajcy. Lecz nie traćmy ani chwili czasu, gdyż owa dzika bestia jeszcze nam umknie.

Jego zapał i siła przekonania udzieliły się wszystkim. Demalion zauważył jednak:

— Panna Levasseur mogłaby nam wyjaśnić...

— Panna Levasseur nic nam nie powie, a przynajmniej nie powie nam nic teraz, dopóki nie zdołamy zdemaskować tego człowieka w jej oczach. Niechże mi pan zaufa, panie prefekcie, tak jak poprzednio. Czyż nie wypełniłem wszystkich obietnic? Czyż nie sprawdziły się wszystkie moje przepowiednie? Niech mi pan wierzy, panie prefekcie, i niech pan nie zapomina, że najgorsze zarzuty ciążyły na Marii Annie Fauville i Gastonie Sauverandzie i że zginęli pomimo swej niewinności. Czyżby Florencję miał spotkać tenże sam los? Ja nie proszę pana nawet o jej wolność, lecz proszę tylko o prawo bronienia jej... o parę godzin czasu...

Demalion nie odpowiedział. Po chwili wziął komisarza Webera na stronę i kilka minut z nim rozmawiał półgłosem. W rzeczywistości Demalion nie zdawał się zbyt sprzyjać prośbie don Luisa. Ale Weber zaręczył mu, że nie ma się czego obawiać i że nic nie ryzykują, zgadzając się na nią. Demalion ustąpił.

W kilka chwil potem don Luis Perenna i Florencja Levasseur wsiadali do auta wraz z Weberem i dwoma inspektorami. Za nimi jechał drugi samochód z agentami policji. Lecznica została literalnie osaczona przez policję i Weber zarządził wszelkie środki ostrożności, stosowane w wypadkach regularnego obleżenia.

Prefekt, który w tym czasie przybył, został wprowadzony do poczekalni, gdzie niebawem nadeszła wezwana przełożona. W obecności don Luisa, Florencji i Webera zaczął ją prefekt badać.

— Moja siostró — rzekł — oto jest list, który został mi przyniesiony do prefektury i w którym zapowiedziano mi istnienie ważnych dokumentów, dotyczących się pewnego spadku. Otóż według informacji, które mi się udało zebrać, list ten pisany umyślnie zmienionym pismem i pozostawiony bez podpisu, byłby pani listem. Czy zgadza się to z prawdą?

Przełożona, robiąca wrażenie osoby energicznej i zdecydowanej, odparła bez najmniejszego zmieszania:

— Zgadza się najzupełniej, panie prefekcie. Wolałabym była, jak to miałam honor napisać panu, żeby moje imię nie było wymówione i to dla bardzo zrozumiałych powodów. Zresztą w danym wypadku szło tylko o przesłanie powyższych dokumentów. Ponieważ pan jednak uważał za potrzebne dotrzeć aż do mnie, gotowa jestem odpowiadać.

Demalion zapytał, patrząc na Florencję:

— Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, czy zna siostra tę osobę?

— Znam, panie prefekcie. Florencja spędziła u nas sześć miesięcy jako pielęgniarka przed kilku laty. Byłam z niej wówczas tak zadowolona, że niezmiernie

ucieszyłam się jej powrotem, kiedy do nas tydzień temu zgłosiła się. Znając jednakże jej historię z gazet prosiłam ją, żeby zmieniła imię. Ponieważ zaś służbę mamy nową, dom nasz mógł być więc dla niej zupełnie pewnym schronieniem.

— Jeśli siostra знаła jej historię z gazet, to musi też siostra wiedzieć o ciąży na niej zarzutach?

— Zarzuty te nie mogą iść w rachubę dla kogoś, kto zna Florencję. Jest to jedna z najbardziej prawych i szlachetnych istot, jakie kiedykolwiek znałam.

— A owe dokumenty skąd siostra miała?

— Nie wiem. Przed dwoma dniami znalazłam u siebie na stole list, w którym mnie powiadomiono, że dokumenty jakieś zostaną przesłane do Wersalu na poste-restante, na moje imię. Proszono mnie przy tym, żebym nikomu o tym nie wspominała i żebym oddała dokumenty Florencji o godzinie trzeciej po południu z poleceniem, żeby je wręczyła natychmiast prefektowi policji. Równocześnie polecono mi przesłać dołączony list sierżantowi Mazeroux.

— Sierżantowi Mazeroux? To dziwne.

— Tyczyło się to podobno tej samej sprawy. A że bardzo kocham Florencję, spełniłam wszelkie zlecenia w przekonaniu, że to dla jej dobra. Kiedy wróciłam z Wersalu, Florencji nie było. Wręczyłam jej więc papiery po jej powrocie, około czwartej godziny.

— Skąd były wysłane?

— Z Paryża. Na kopercie był znaczek z napisem: ulica Niol. Jest to najbliższe biuro pocztowe w tej stronie.

— I nie wydało się siostrze dziwnym znalezienie tego listu u siebie w pokoju?

— Owszem, panie prefekcie. Lecz cała ta sprawa jest taka dziwna...

— Jednakże — ciągnął dalej Demalion, wpatrując się badawczo w bladą twarz Florencji — jednakże, przekonując się, że wskazówki te pochodziły z tego samego domu i tyczyły się osoby dom ten zamieszkującej, czyż nie przyszło siostrze na myśl, że ta osoba...

— Och, panie prefekcie, Florencja nie byłaby zdolna!...

Panna Levasseur milczała, lecz twarz jej wyrażała przerażenie, wstrząsające nią do głębi. Don Luis zbliżył się do niej, mówiąc:

— Ciemności rozpraszają się, nieprawdaż Florencjo? I dręczy cię to. Lecz któż położył ów list na stole w pokoju przełożonej? Ty to wiesz, nieprawdaż, wiesz także, kto całą tę sprawę prowadzi?

Ona jednak nie odpowiadała. Wówczas prefekt zwracając się do komisarza rzekł:

— Panie Weber, zechciej pan przeszukać pokój, w którym mieszka panna Levasseur. Musimy się bowiem przekonać, jakie są przyczyny jej upartego milczenia.

Florencja wskazała im drogę. W chwili jednak, kiedy Weber wychodził z pokoju, don Luis krzyknął:

— Ostrożnie tylko, panie komisarzu!

— Ostrożnie z czym?

— Sam nie wiem — odparł don Luis, który rzeczywiście nie byłby zdolny powiedzieć, dlaczego zachowanie się Florencji niepokoiło go. — Nie wiem, jednakże uprzedzam pana...

Weber wzruszył ramionami i wyszedł w towarzystwie przełożonej. W przedpokoju wziął jeszcze dwóch ludzi. Florencja szła naprzód, weszła na schody, potem szła długim korytarzem, po bokach którego widać było drzwi od szeregu pokoi, nareszcie korytarz zawracał na lewo i przechodził w wąskie przejście, w głębi którego były drzwi.

Były to właśnie drzwi do pokoju Florencji. Otwierały się one na zewnątrz, toteż Florencja cofnęła się, ciągnąc je ku sobie, czym zmusiła Webera do cofnięcia się też.

Korzystając z tego Florencja jednym susem znalazła się w pokoju i zatrzasnęła drzwi za sobą z taką szybkością, że komisarz chcąc uchwycić skrzydło drzwi napotkał tylko próżnię.

— Psiamać! — zaklął ze złości. — Popali wszystkie papiery.

Po czym zwrócił się do zakonnicy:

— Czy pokój ten nie ma innego wyjścia?

— Nie, nie ma, panie komisarzu.

Weber próbował drzwi otworzyć, lecz zamknięte były na klucz i zaryglowane. Zawołał więc do pomocy jednego ze swoich ludzi, znanego siłacza, który uderzeniem pięści rozbił skrzydło drzwi. Przez zrobiony w ten sposób wyłom komisarz włożył rękę, odryglował i otworzył drzwi.

Florencji w pokoju nie było. Otwarte okno wskazywało drogę, którą musiała uciec.

— Ha, do kroćset piorunów! — zawołał — wymknęła się nam. — I wracając ku schodom rozkazał głosem donośnym: — Pilnować wszystkich wejść! Aresztować ją.

Demalion nadbiegł, żeby się dowiedzieć, co zaszło.

Agenci rozproszyli się na wszystkie strony, żeby zagrozić drogę zbiegowi Nadeszła już jednak noc i niemożliwością wprost było prowadzić dalej poszukiwania w tej zaludnionej dzielnicy.

Prefekt nie ukrywał niezadowolenia. Don Luis mocno też zawiedziony tą ucieczką, która mu krzyżowała plany, nie omieszkał podkreślić niezgrabności Webera:

— Uprzedzałem pana przecież, panie komisarzu, żeby się pan miał na baczności! Z zachowania panny Levasseur można było wiele wynioskować. Nie ulega wątpliwości, że ona zna winowajcę i pośpieszyła go uprzedzić, a może i ratować, o ile potrafi on wytłumaczyć się i przekonać ją.

Demalion zaczął znów wypytywać przełożoną i dowiedział się niebawem, że Florencja Levasseur przed schronieniem się w lecznicy, a więc przed tygodniem mniej więcej, zamieszkiwała przez parę dni w małym i hoteliku na wyspie Saint-Louis.

Choć wskazówka ta była bardzo niejasna, nie można jej było jednakże lekceważyć. Prefekt policji, który zachował wiele wątpliwości co do Florencji i który przywiązywał ogromne znaczenie do pojmania jej, rozkazał Weberowi, żeby się udał natychmiast ze swymi ludźmi dla zbadania tego tropu. Don Luis towarzyszył komisarzowi w wyprawie.

Wydarzenia przyznały niebawem rację prefektowi. Florencja schroniła się była w owym hoteliku na wyspie Saint-Louis pod fałszywym nazwiskiem. Ledwo jednak przybyła, kiedy zjawił się w biurze hotelowym mały chłopczyk, który zapowiedział, że się chce z nią widzieć, po czym wyszli razem. Dalsze poszukiwania pozostały daremne.

Nareszcie trochę po północy dwaj agenci dali znać, że na wybrzeżu Henri IX stał przed jednym z domów przez czas dłuższy jakiś wynajęty samochód, że słyszano tam mocno ożywioną dyskusję, po czym samochód ruszył i znikł w stronę Vincennes.

Udano się natychmiast na wybrzeże Henri IX do wskazanego domu. Tam dowiedziano się od naocznych świadków, że z mieszkania na parterze, którego drzwi wychodziły wprost na chodnik, wyszły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Kiedy zaś wsiedli do auta, mężczyzna wychylił się przez drzwiczki wołając:

— Jedź bulwarem Saint-Germain, potem wybrzeżem i drogą do Wersalu.

Wiadomości portierki okazały się ściślejsze. Zaintrygowana mocno lokatorem z parterowego mieszkania, którego raz jeden tylko poprzednio widziała i który opłacał komorne przekazami podpisanymi „Karol”, skorzystała z tego, że jej izdebka przylegała do jego mieszkania, żeby podsłuchać toczącą się w nim rozmowę.

Doszedł ją wyraźny odgłos sprzeczki. W pewnej chwili głos męski dał się słyszeć wyraźnie:

— Jedź ze mną, Florencjo, koniecznie, a dowiodę ci niezbitcie, że jestem niewinny. Gdybyś nie chciała jednak pomimo tego zostać moją żoną, to opuszczę Francję na zawsze.

Po chwili zaś zaczął się śmiać, mówiąc:

— Czegóż ty się obawiasz, Florencjo? Żebym cię nie zabił może? Ależ nie bój się, wierz mi...

Portierka więcej nie słyszała nic. Don Luis chwycił komisarza za ramię:

— W drodze! — zawołał. — Ten człowiek ją zabije! Nie mamy chwili do stracenia...

Mazeroux, który był już wrócił z Rouen wściekły na Florencję, doradzał, żeby poprzednio zbadać dom i mieszkanie owego tajemniczego lokatora. Perenna jednak nie chciał o niczym słyszeć. Wsiedli więc z Weberem i sierzantem do jednego auta, agenci zaś wtoczyli się do drugiego i ruszono w stronę Wersalu.

Gdy przybyli tam, jedyną wskazówką, którą udało im się zdobyć było to, że dwie osoby odpowiadające opisom zatrzymały się na krótko w Wersalu dla nabrania benzyny. Auto ich, stara maszyna pomarańczowego koloru, należała do przedsiębiorstwa „Des Cometes”. Szofer miał czapkę z szarego płótna z czarnym skórzanym daszkiem, i prowadził auto siedząc po lewej stronie. Odjechali w stronę Nantes.

Z powodu ciemności i późnej nocy postanowiono wrócić do Paryża i dalszy pościg odłożyć do następnego ranka... Nazajutrz don Luis, chcąc na własną rękę prowadzić nadal poszukiwania, wsiadł do samochodu i kazał jechać szoferowi do Issy-les-Moulineaux.

W dziesięć minut dotarli do lotniska. Samolotów żadnych nie było widać z powodu silnego wiatru. Don Luis podążył do hangarów. Ponad każdymi drzwiami widać było napisane nazwisko.

— Davanne! — przeczytał Perenna — tego mi właśnie potrzeba.

Drzwi hangaru były otwarte. Mały, gruby człowiek o długiej, czerwonej twarzy palił papierosa, podczas gdy mechanicy pracowali przy jednopłatowcu. Był to słynny lotnik Davanne.

Don Luis wziął go na stronę i znając go już z reputacji zaczął od razu rozmowę tak, żeby go zadziwić i zainteresować.

— Panie Davanne — rzekł rozkładając mapę Francji — pragnę dogonić kogoś, kto mi porwał samochodem kobietę, którą kocham. Stało się to o dwunastej i w nocy. Pojechali w stronę Nantes. Obecnie jest dziewiąta rano. Przypuszczając, że samochód (stara najęta maszyna) będzie robić przeciętnie trzydzieści kilometrów na godzinę... w ciągu dwunastu godzin nasz osobnik przejechałby trzysta sześćdziesiąt kilometrów, a więc dotarłby do miejscowości, znajdującej się pomiędzy Angers i Nantes...

— Tak, Les Ponts-de-Drives — potwierdził spokojnie.

— Przypuśćmy z drugiej strony, że samolot wyleciałby z Issy-les-Moulineaux o godzinie dziewiątej rano i leciałby z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W ciągu trzech godzin, to jest o dwunastej w południe znalazłby się nad Les Ponts-de-Drives w chwili, kiedy by samochód tamtędy przejeżdżał. Nieprawdaż?

— Podzielam pańskie zdanie w zupełności.

— Jeśli tak, to wszystko dobrze. Pański aparat może wziąć pasażera?

— Ewentualnie tak.

— No to pojedziemy. Jakie są pańskie warunki?

— To zależy... Kim pan jest?

— Arsen Lupin!

— Żartuje pan? — zawołał Davanne nie kryjąc zdziwienia.

— Arsen Lupin we własnej osobie. Musi pan znać z dzienników przebieg sprawy Morningtona? Otóż Florencja Levasseur została porwana tej nocy. Pragnę więc pośpieszyć jej na ratunek. Ile pan żąda?

— Nic.

— To za wiele! ;:

— Może być, lecz zdarzenie to mnie bawi. A przy tym zrobi mi to reklamę.

— Zgoda, ale potrzebne mi jest pańskie milczenie do jutra. Kupuję więc takowe. Oto dwadzieścia tysięcy franków.

W dziesięć minut potem don Luis, włożywszy, strój odpowiedni, czapkę i okulary lotnicze, wszedł do samolotu, który się wzniósł od razu na wysokość 800 metrów i poszybował na zachód Francji.

Wersal, Maintenon, Chartres...

Don Luis po raz pierwszy leciał aeroplanem, lecz nie odczuwał boskiego upojenia człowieka, który się pierwszy raz oderwał od ziemi. Jedna tylko myśl opanowała go całego i w całym jego jestestwie wywoływała niezwykle podniecenie. Oczekiwał chwili, w której z wysokości ujrzy ścigany samochód.

Było to brutalne uczucie myśliwego, który forsuje zwierzynę w biegu, lub też uczucie drapieżnego ptaka, któremu się nie wymknie upatrzona ofiara.

Towarzysze podróży nie zamienili ani jednego słowa. Przed sobą Perenna widział tylko szerokie plecy Davanne'a. Lecz za to pochylając się widział pod sobą niezmierną przestrzeń. Interesowała go jednak tylko wąska taśma drogi, wijąca się z miasta do miasta i od wsi do wsi, Czasem prosta, równa, jakby naciągnięta, czasem wijącą się, krętą, załamującą się chwilami na zakrętach rzeki lub przed starożytnymi zamkami.

A na tej taśmie lada chwila miała się ukazać Florencja i jej uwodziciel. Jakieś miasto, zamek z wieżami; to Angers. Don Luis zapytał Davanne'a, która godzina. Była dwunasta za dziesięć, minut.

Angers rozplynęło się już we mgle oddalenia. I znów widać było tylko różnokolorowe pasma pól i łąk, poprzecinane lasami i wśród nich wijącą się drogę. A na tej drodze widniał wyraźnie żółty samochód!...

Radość don Luisa była niezmierna, chociaż pozbawiona najmniejszej nawet domieszki zdziwienia. Pewny był od początku, że go rachuby, nie zawiodą. Davanne odwrócił się, pytając:

— Jesteśmy u celu, nieprawdaż?

— Tak, niech pan zlatuje ku nim.

Samolot rzucił się w próżnię i dogonił po chwili auto. Wówczas Davanne zwolnił szybkość i trzymając się na wysokości dwustu metrów leciał za samochodem. Z tej odległości mogli dostrzec dokładnie wszystkie szczegóły. Szofer siedział po lewej stronie i miał czapkę szarą z czarnym daszkiem. Samochód należał rzeczywiście do „Compagnie des Cometes”. Był to więc niewątpliwie ten, którego ścigali. Za chwilę więc ujrzą Florencję, i jej uwodziciela.

— Nareszcie trzymam ich! — pomyślał don Luis.

Lecieli dość długo, utrzymując tę samą odległość. Davanne czekał sygnału, don Luis zaś nie śpieszył się z daniem takowego, gdyż upajało go wprost i poczucie swej mocy i władzy. Czuł się orłem, krążącym pod obłokami, któremu szpony drżą z rozkoszy na myśl pochwycenia bliskiej ofiary.

Podniósł się z siedzenia i dał potrzebne wskazówki lotnikowi.

— Proszę się do nich zbytnio nie przybliżać — dodał — gdyż mogliby łatwo kula samolot uszkodzić.

Upłynęła jeszcze minuta. Nagle ujrzeni o kilometr dalej miejsce, gdzie droga, rozdzielając się na trzy ramiona, tworzyła szerokie rozdroże, przedłużone jeszcze

dwoma trójkątami trawy pomiędzy krzyżującymi się drogami. Davanne spojrzął na Perennę pytającym wzrokiem.

— Niech pan ląduje! — zawołał don Luis. Samolot jakby się odprężył; zniecka, niby ciśnięty w przestrzeń nieprzepartą siłą, przeleciał na sto metrów ponad jadącym autem, potem opanowawszy się od razu wybrał miejsce, gdzie zamierzał dotrzeć do celu i spokojny, cichy, jak ptak nocny, omijając zwinnie drzewa i słupy usunął się na trawę rozdroża.

Don Luis wyskoczył szybko i podbiegł naprzeciw samochodowi, który nadjeżdżał z dobrą szybkością. Stanąwszy pośrodku drogi don Luis wymierzył oba rewolwery wołając:

— Stój! bo strzele!...

Przerażony szofer zahamował na miejscu. Maszyna zatrzymała się. Don Luis rzucił się ku drzwiczkom samochodu.

— Do krośet piorunów — zaryczał, dając bez przyczyny wystrzał z rewolweru, którym rozbił szybę.

W samochodzie nie było nikogo.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

„Sidła już gotowe, miej się na baczności, Lupin”

Rozpęd, który porwał don Luisa do walki i zwycięstwa był tak gwałtowny, że ta chwilowa porażka nie zdołała go nawet zatrzymać. Zawód, wściekłość, upokorzenie, niepokój, wszystko to się zlało w jedną wielką potrzebę czynu. Odczuł tym większe pragnienie dowiedzenia się nareszcie wszystkiego i nieprzerwanym pościgu.

Sofer nieruchomy z przerażenia patrzył wzrokiem wyczekującym w stronę wieśniaków nadchodzących z dalszych folwarków, zaciekawionych ukazaniem się aeroplanu.

Don Luis chwycił go za gardło i przyłożywszy mu do skroni lufę rewolweru rzekł:

— Mów co wiesz... inaczej zginiesz!

Nieszczęśnik zaczął jąkać jakieś słowa błagalne.

— Nie pomogą ci jęki — przerwał mu don Luis. — I nie licz na pomoc niczyją... Ludzie ci przyjdą za późno. Jeden masz tylko sposób ratunku, mów co wiesz! Tej nocy w Wersalu jacyś państwo przybyli z Paryża, zostawili swoje auto i najęli twoje, nieprawdaż?

— Tak.

— I kazali ci jechać do Nantes?

— Tak.

— W drodze jednak zmienili zamiar i kazali ci się zatrzymać?

— Tak.

— W jakim mieście?

— Przed przybyciem do Mans była mała dróżka na prawo prowadząca do jakiejś stodoły, oddalonej może o dwieście kroków. Tam wysiedli oboje.

— A ty jechałeś dalej?

— Zapłacono mi za to.

— Ile?

— Dwa tysiące franków. W Nantes zaś miałem zabrać drugiego klienta, którego mogłem odwieźć do Paryża za trzy tysiące franków.

— I ty wierzysz w tego klienta?

— Nie, zdaje mi się, że chcieli chyba zmylić pościg i skierować go za mną do Nantes, podczas gdy oni zostali po drodze. Ale cóż było robić... zapłacili...

— No a jak odjeżdżałeś nie wzięła cię ciekawość zobaczyć, co się z nimi stało?

— Nie.

— Baczność! Pamiętaj, że wystarczy mi nacisnąć kurek.

— A więc tak! Wróciłem piechotą i ukryłem się wśród drzew pod wzgórzem.

Mężczyzna otworzył stodołę i puścił w ruch małą samochodową karetkę. Pani jednak nie chciała wsiadać. Dyskutowali długą chwilę. On jej groził i błagał na przemian. Ona robiła wrażenie mocno znużonej. W końcu dał jej się wody napić, której nabrał z fontanny znajdującej się koło stodoły. Wówczas zdecydowała się, wsiadła do karetki, on zaś zamknąwszy za nią drzwiczki usiadł przy kierownicy.

— Mówisz, że dał jej szklanekę wody? — krzyknął don Luis. — Czy pewien jesteś, że do tej wody nic nie dołał?

Szofer wydał się zadziwiony tym pytaniem, wreszcie odrzekł:

— Rzeczywiście... zdaje mi się... że wlał coś z flaszeczki, którą wyjął z kieszeni.

— Bez wiedzy pani?

— Tak. Widzieć tego bowiem nie mogła.

Don Luis starał się zapanować nad ogarniającą go trwogą, tłumacząc sobie, że przecież nieprawdopodobnym było, żeby ów bandyta otruł Florencję tak nagle i bez przyczyny, która by ten pośpiech mogła była wywołać. Trzeba było prędzej przypuszczać użycie jakiegoś narkotyku w celu uśpienia jej tylko.

— I potem zdecydowała się wsiąść? — zapytał.

— Tak jest. On zaś zamknął drzwiczki auta, usiadł przy kierownicy i ruszył z miejsca. Widząc to i ja wróciłem do swojej maszyny.

— I nie widziałeś, w którą się stronę udali?

— Nie, nie widziałem.

— A w drodze czy nie miałeś wrażenia, że się ten pan obawiał pościgu?

— I owszem, gdyż co chwila wychylał się z auta i rozglądał na wszystkie strony.

— A pani nie krzyczała?

— Nie,

— Czy mógłbyś go poznać?

— Wątpię bardzo. W Wersalu już była ciemna noc, a dziś byłem za daleko. A przy tym w Wersalu wydał mi się duży, a dziś rano był, zupełnie mały i jakby zgięty we dwoje. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem;

Don Luis zastanowił się i szukał w myśli, czy wszystkie niezbędne pytania już zadał. Zresztą trzeba było; już kończyć, gdyż kilka furmanek chłopskich zbliżało się do rozdroża. Rzekł więc do szofera:

— Słuchaj przyjacielu, widzę po twojej fizjonomii, że masz długi język i że nie omieszkaś opowiadać o naszym spotkaniu, więc żeby ci buzię zamknąć masz tu tysiąc franków. Tylko pamiętaj, że gdybyś słówko pisnął, to potrafię się z tobą też inaczej porachować.

Po czym wrócił do Davanne'a, którego aparat ściągał coraz liczniejsze grupy ciekawych.

— Cóż, lecimy? — zapytał.

— Według rozkazu. A dokąd lecimy?

Don Luis rozpostarł mapę. I patrząc na zagmatwaną sieć dróg prowadzących w różne strony zawahał się chwilę. Lecz opanował się natychmiast. Nie chciał się zastanawiać, szukać i kombinować — chciał wiedzieć, i to wiedzieć od razu, bez żadnych wskazówek i danych, kierując się tylko swoją cudowną intuicją, która go nie zawiodła nigdy w ważnych chwilach życia.

I z oczyma utkwionymi w mapę położył jeden palec na Paryżu a drugi na Le Mans i zanim sobie zdołał postawić pytanie, dlaczego bandyta wybrał ów kierunek: Paryż — Le Mans — Angers, już wiedział... Jedna nazwa miasta, ukazując mu się zniecka jak błyskawica, rozjaśniła mu umysł i rozproszyła niepewności... Alencon! I w jednej chwili, oświecony wspomnieniami, dotarł do głębi mroków tajemnicy.

— Dokąd jedziemy? — powtórzył pytanie. — Lecimy wstecz...

— W kierunku?

— Alencon.

— Dobrze — rzekł Davanne. — Niechże mi tylko kto dopomoże. Widzę tu opodal pole, z którego można się będzie wznieść bez trudności.

Don Luis z kilku innymi osobami pośpieszyli mu z pomocą i wszystkie przygotowania do drogi zostały w jednej chwili załatwione. Davanne sprawdził motor. Działał bez zarzutu.

W tej chwili mocne torpedo, którego syrena warczała jak jaki zwierz dziki, wyłoniło się od strony Angers i zatrzymało się na miejscu. Trzech ludzi wyskoczyło zeń i podbiegło do szofera żółtego auta. Don Luis poznał ich, był to komisarz Weber z dwoma agentami policji. Rozmawiali chwilę z szoferem i robili wrażenie niezmiernie zdziwionych. Zasypując go gradem pytań spoglądali co chwila na zegarki i na mapę Francji. Don Luis przybliżył się do nich. W kasku lotniczym i okularach był nie do poznania. Zmieniając też głos rzekł:

— Cóż, ptaszki ulotniły się, panie komisarzu Weber?

Ten spojrział na niego wystraszonym wzrokiem...

Don Luis zaśmiał się:

— Bo też to i spryciarz nie lada ten osobnik z wyspy Saint-Luis. Po raz trzeci zmienił auta i pomknął w niewiadomym kierunku.

Komisarz patrzył na Perennę ze zdumieniem, nie rozumiejąc wcale, kim jest ten tak dobrze poinformowany jegomość. Nareszcie zapytał:

— Przepraszam, ale kim pan jest właściwie?

— Jak to, nie poznaje mnie pan?

I don Luis zdjął maskę z twarzy, kłaniając mu się z uśmiechem:

— Arsen Lupin, do usług, pieszo, konno i pod obłokami. Tam też i wracam chwilowo. Żegnam więc pana, życząc powodzenia w dalszych poszukiwaniach.

— Północny wschód — zakomenderował doń Luis — sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Dziesięć tysięcy franków:..

— Mamy wiatr w oczy.

— Pięć tysięcy na wiatr — dodał don Luis z niewzruszonym spokojem.

Tak mu było spieszno, żeby się dostać jak najprędzej do Formigny, że nie przypuszczał nawet możliwości przeszkód, mogących go w tym opóźnić.

Teraz rozumiał całą sprawę i dziwił się tylko, że wcześniej nie powstało w jego umyśle zbliżenie pomiędzy wisielcami ze stodoły w Formigny a resztą zbrodni, wywołanych spadkiem Morningtona. Jasnym się też stawało, że ta sama ręka musiała pozbawić życia starego Langernaulta. I w tym właśnie znajdowało się jądro intrygi.

Wszystko się powoli wyświetlało. Zbrodniarz ów musiał rozpocząć od zabójstwa Langernaulta, potem zaś państwa Dedessuslamare. Następnie zawsze według tego samego systemu: nigdy jawna zbrodnia, lecz zabójstwo skryte, bezimienne; zginął Amerykanin Monington, również jak inżynier Fauville, Maria Anna i Sauverand.

I to stamtąd, z Formigny, przybył ów tygrys krwiożerczy do Paryża, gdzie potem spotkał inżyniera Fauville'a i Kosmę Morningtona i ułożył całą tragiczną historię milionowego spadku. I tam też dziś powracał. Powracał z Florencją Levasseur, uśpioną i bezwładną...

Straszliwe pytanie wżerało się w mózg Perennie: Co on z nią zrobić zamierza?

— Prędej! prędej! — przynaglał don Luis Davanne'a.

Od kiedy kryjówka bandyty, była mu znana, zamiary tego człowieka ukazywały się z przerażającą jasnością. Gdy czuł się ściganym, bezpowrotnie zgubionym i znienawidzonym przez Florencję, której oczy otwarły się nareszcie i przejrzały prawdę, jakież plan mógł powstawać w jego zbrodniczym umyśle, jeśli nie plan jeszcze jednego zabójstwa?

— Prędej — krzyczał don Luis. — Prędej, bo będzie za późno!

Florencja zamordowana! Może jednak przybędę w porę... Trzeba przecież trochę czasu, żeby zabić... Musiałoby to być poprzedzone wielu prośbami, groźbami, całym szeregiem tortur moralnych...

Gdyby się jednak spóźnił?... Florencja zginęłaby niewątpliwie z ręki kochającego się w niej bandyty. Gdyż on się w niej kochał... don Luis intuicyjnie wyczuwał tę miłość potworną, mogącą się skończyć tylko w torturach i we krwi.

Ziemia uciekała pod nimi. Miasta i domy przesuwały się jak cienie... Nareszcie dotarli do Alencon. Musiało być około pół do drugiej, kiedy wylądowali na łączce położonej pomiędzy miastem a Formigny. Don Luis zasięgnął wiadomości i dowiedział się, że kilka samochodów przejeżdżało dnia tego tamtędy, między innymi karetka, którą prowadził pan jakiś i zwrócił j w boczną drogę.

Owa zaś boczna droga prowadziła do lasku za Starym Zamkiem w dawnej posiadłości Langernaulta. Don Luis pożegnał się z lotnikiem i został sam. Ostateczny pojedynek miał się lada chwila rozpocząć, J Kierując się śladem pneumatyków, pozostałym na piasku, biegł boczną drogą w stronę Starego Zamku. Ze zdziwieniem zauważył, że droga owa nie prowadzi! do „stodoły wisielców”, którą był zwiedził przed kilkiil tygodniami. Przebywszy lasek don Luis znalazł się przed dużą bramą, żelazem okutą. W bramie widniały i wyraźne ślady samochodu.

— Muszę i ja się przedostać na tamtą stronę i to zaraz, gdyż nie ma czasu do stracenia — rzekł Perenna.

Zadanie nie było łatwe, gdyż mur był niezwykle wysoki. Na szczęście gdzieniegdzie brakowało w nim j cegieł. Don Luis skorzystał z tego i ze zwykłą sobie zręcznością wdrapał się na wierzch ogrodzenia, pomagając sobie rękami i nogami. Po drugiej stronie odnalazł znów ślady kół, kierując się na lewo, w nieznaną mu część parku, urozmaiconą wzgórkami i ruinami jakichś budowli, pokrytymi grubym płaszczem bluszczu.

I choć reszta parku była bardzo opuszczona, ta część zdawała się jeszcze bardziej dzika, pomimo iż wśród pokrzyw i jeżyn wśród bujnej roślinności dzikiego kwiecia, obfitującego w walerianę, naparstnicę i szalej,; rosły żywopłoty z lauru i bukszpanu.

Nagle na zakręcie szpaleru grabowego don Luis ujrzał samochód, pozostawiony tam, lub może właśnie umyślnie ukryty w gęstwinie. Drzwiczki były otwarte. Widoczny nieład, panujący wewnątrz samochodu, dywanik zwieszający się na stopnie, wybita szyba i powywracane poduszka świadczyły o walce stoczonej widocznie pomiędzy zbrodniarzem a jego ofiarą. Niewątpliwie korzystając z uśpienia Florencji musiał ją spętać sznurami, po przyjeździe zaś, kiedy ją chciał z auta wynieść, musiała się czepiać otaczających ją przedmiotów.

Don Luis sprawdził niebawem akuratność swoich przypuszczeń. Idąc wąską ścieżką, zarośniętą trawą i prowadzącą na pobliski pagórek zauważył, że trawa była zgnieciona wzdłuż całej ścieżki.

Ach kanalia! — pomyślał — ależ on ją ciągnął po ziemi!

Idąc za instynktem, byłby się rzucił od razu na pomoc Florencji. Lecz głębokie poczucie i zrozumienie sytuacji nie dało mu popełnić podobnej nieostrożności. Przy najmniejszym popłochu lub hałasie tygrys mógłby swą Ofiarę udusić. Żeby więc tej okropności uniknąć, don Luis musiał go zaskoczyć zniecacka i obezwładnić od razu.

Opanował się więc i powoli, ostrożnie posuwał się dalej. Ścieżka wznosiła się pomiędzy stosem nagromadzonych kamieni z rozwalonych budynków oraz grupami krzewów, nad którymi górowały buki i dęby. Było to widocznie miejsce owego starego zamczyska. Od którego pochodziła nazwa całej tej miejscowości i tu też widocznie bandyta miał swoją kryjówkę na wzgórzu. Trop był widoczny na pochylonej trawie. Wtem don Luis zauważył coś błyszczącego na ziemi. Był to mały pierścionek bardzo skromny, złożony z wąskiej obrączki i dwóch drobnych perełek, który niewątpliwie widział niejednokrotnie na palcu Florencji. Ale co zwróciło jego uwagę, to żdźbło trawy, owinięte po trzykroć wkoło pierścionka...

— Wyraźny sygnał — rzekł do siebie Perenna. — Prawdopodobnie zbrodniarz musiał się tu zatrzymać dla wypoczynku, a Florencja, choć związana, ale władająca palcami, pozostawiła ten znak swojej tu bytności.

Widocznie więc nie traciła nadziei i oczekiwała ratunku. Don Luis pomyślał ze wzruszeniem, że może jego właśnie tyczyło się to ostateczne wezwanie.

Pięćdziesiąt kroków dalej — nowe oznaki postoju i kwiatek szaławii, zerwany widocznie po drodze i pozostawiony jako nowa wskazówka. Potem był odcisk pięciu palców na ziemi. Następnie krzyżyk, nakreślony kamyczkiem. A więc można było śledzić minutę za minutą wszystkie stacje tej okrutnej drogi krzyżowej.

Ostatni etap zbliżał się. Ścieżka stawała się stroma. Zwalone kamienie tworzyły coraz częstsze przeszkody. Na prawo dwie arkady gotyckie, pozostałość po jakiejś starożytnej kapliczce, zarysowały się na błękitnym niebie. Na lewo na połaci ściany sterczącej samotnie widać było jeszcze obramowanie marmurowego kominka.

Jeszcze dwadzieścia kroków... Don Luis zatrzymał się... Wydało mu się, że słyszy jakieś odgłosy. Nasłuchiwał chwilę. Nie omylił się, odgłos ów powtórzył się. Był to dźwięk: śmiechu, śmiechu wprost szatańskiego, przejmującego dreszczem zgrozy. Chwila ciszy, i nowy odgłos, tym razem ziemi uderzanej jakimś narzędziem. Potem znów cisza... Działo się to o jakie sto kroków od miejsca, w którym stał.

Ścieżka zakończona była trzema stopniami wyciętymi w ziemi. Powyżej była duża płaszczyna również pokryta rumowiskiem zwalonych ścian i kamieni. Naprzeciw don Luisa wznosiła się zasłona z olbrzymich wawrzynów, posadzonych w półkole. W tę stronę zwracały się ślady zgniecionej trawy.

Zdziwiony tym, gdyż owa zasłona wydawała się nieprzebyta, don Luis postąpił kilka kroków i przekonał się, iż poprzednio musiał w niej być wycięty otwór, który z czasem zakryty został gałązkami, łatwymi do odchylenia.

Widocznie więc tędy musiał przejść złoczyńca, ciągnąc za sobą ofiarę i prawdopodobnie znajdował się tam u celu podróży, zajęty jakimiś złowróżbnymi przygotowaniami.

Rzeczywiście, śmiech złowrogi rozdarł powietrze tak blisko, że don Luis drgnął z przerażenia, gdyż wydawało mu się, że śmiech ten z niego się naigrawa.

I przypomniały mu się słowa listu, pisanego czerwonym atramentem:

„Wycofaj się z walki, Lupin! Póki czas... Inaczej czeka cię śmierć. W chwili, kiedy będziesz u celu i wzniesiesz na mnie rękę z okrzykiem zwycięstwa, przepaść otworzy się pod twymi stopami. Sidła już nastawione... Miej się na baczności, Lupin!”

List ten w całości przesunął mu się w pamięci groźny i złowrogi. I dreszcz trwogi wstrząsnął don Luisem. Lecz trwało to krótką chwilę, gdyż trwoga nie mogła powstrzymać takiego jak on człowieka! Chwycił oburącz gałęzie, zasłaniające przejście

i powoli zaczął się pomiędzy nimi przeciskać. I zatrzymał się na chwilę. Już tylko cienka zasłona z liści dzieliła go od celu. Rozsunął więc lekko gałązki na wysokości oczu.

Przede wszystkim o trzydzieści metrów od siebie ujrzał leżącą Florencję. Po ledwie dostrzegalnych ruchach, głowy rozpoznał, że żyje, i to go przejęło wielką radością. Przybywał w porę. Wówczas dopiero zaczął badać inne szczegóły.

Na prawo i na lewo od niego zasłona z wawrzynów zazębiała się, obejmując jakby rodzaj areny, gdzie pomiędzy strzyżonymi cisami leżały kapitele, kolumny, części arkad i sklepień, ustawione tu kiedyś widocznie dla ozdoby tego ogrodu o regularnych liniach, założonego na ruinach dawnego zamku.

Naprzeciwko cały stos nagromadzonych kamieni oraz skał naturalnych, połączonych krętymi korzeniami drzew, tworzył w głębi obrazu jakby małą grootę, przez szczeliny której przebijało światło.

W grocie tej Florencja Levasseur leżała związana jak prawdziwa ofiara skazana na stracenie i przygotowana do jakiejś tajemniczej ceremonii, mającej się spełnić na ołtarzu groty, w amfiteatrze tego starego ogrodu zamkniętego obręczą olbrzymich laurów, nad którymi górowały szczątki starożytnych ruin.

Pomimo odległości don Luis mógł rozróżnić wszystkie szczegóły jej bladej twarzy. Choć wyraz przerażenia wyraźnie się na niej malował, zachowała jednakże jakby zwykłą pogodę, przez którą przebijała nadzieja i wyczekiwanie. Widocznie Florencja nie wyrzekła się jeszcze życia i wierzyła do ostatniej chwili w możliwość cudu. Jednakże choć ust nie miała zakrytych, nie wołała o pomoc, rozumiejąc, że krzyk jej pozostałby bezskutecznym. Wzrok jej był tylko ciągle utkwiony w miejsce, gdzie się don Luis znajdował, jak gdyby j przeczuciem wiedzioną odgadywała jego obecność.

Nagle don Luis pochwycił jeden ze swych rewolwerów i uniósł ramię, gotów do strzału. W pobliżu ołtarza, na którym leżała ofiara, ukazał się jej oprawca.

Wyszedł pomiędzy dwóch skał, zarośniętych krzewami jeżyny. Przejście musiało być bardzo niskie, gdyż szedł jeszcze zgięty we dwoje, długimi rękami dotykając prawie ziemi. Zbliżył się do groty, wydając znowu śmiech okropny.

— Jesteś tu jeszcze — rzekł. — Zbawca nie przyszedł? Spóźnia się coś trochę... Nieprawdaż?

Dźwięk jego głosu był tak ostry, że słyhać było wyraźnie każde słowo, a przy tym tak dziwny, tak nieludzki, że don Luis zadrżał ze zgrozy i nerwowo ścisnął w garści rewolwer.

— Niechby się pośpieszył, jeśli chce przyjść w czasie — zaśmiał się jeszcze złowrogo. — Za pięć minut będzie już po wszystkim. Jak widzisz, Florencjo najdroższa, jestem człowiekiem systematycznym.

Równocześnie podniósł coś z ziemi. Była to laska w kształcie kuli. Wziął ją pod lewe ramię, oparł się na niej i zgięty we dwoje szedł tak, jak człowiek nie mający siły utrzymać się na nogach. Potem nagle bez żadnej widocznej przyczyny wyprostował się i oparłszy się na kuli jak na lasce obszedł grootę wokoło, przypatrując się jej uważnie.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu. I teraz dopiero don Luis zrozumiał opowiadanie szofera, który go widział w obu tak różnych fazach i nie mógł określić, czy jest on duży czy mały. Lecz giętkie jego nogi chwiały się pod nim jakby niezdolne do dłuższego wysiłku. Po chwili więc znów się pochylił.

Był to po prostu kaleka dotknięty jakąś chorobą kości pacierzowej, rachityk wychudzony niezmiernie. Don Luis ujrzał właśnie twarz jego bladą, kościste policzki, zapadnięte skronie i skórę jak z pergaminu — twarz suchotnika, w której krew przestała krążyć.

Kiedy dokładnie grootę zbadał, zbliżył się do Florencji mówiąc:

— Chociaż grzeczna byłaś dotychczas, moja mała, i nie krzyknęłaś ani razu, musimy jednak przedsięwziąć niektóre środki ostrożności, żeby się zabezpieczyć od niemiłych niespodzianek...

Pochylił się nad dziewczyną i zawiązał jej usta szerokim fularem, po czym pochylając się jeszcze bardziej zaczął jej coś szeptem mówić do ucha. I tylko wybuchy śmiechu przerywały chwilami ten szept złowrogi.

Don Luis, czując zbliżające się niebezpieczeństwo, obawiając się każdego gestu złoicy zgroźnego nagłym zabójstwem lub nieprzewidzianym zastrzykiem trucizny, zmierzył do niego z rewolweru i czekał, pewien swej zręczności. Lecz co do niej mówił? Jaki targ haniebny proponował on Florencji Levasseur? Za jaką cenę mogłaby się uwolnić?

Nagle kaleka cofnął się gwałtownie, krzycząc z wściekłością:

— Czyż ty nie rozumiesz, że jesteś zgubiona? Teraz, kiedy nie mam się już czego obawiać, kiedy byłaś tak głupia, że mi tu towarzyszyłaś i oddałaś się w moje ręce, czegoż ty się jeszcze spodziewasz? Czy myślisz może, że mnie wzruszysz rachując na moją miłość? Jeśli tak, to się srodze mylisz! Ha! ha! Ależ twoja śmierć obchodzi mnie jak zeszłoroczny śnieg! Z chwilą śmierci przestajesz dla mnie istnieć. A więc co?... Wyobrażasz sobie może, iż będąc kaleką nie zdołam cię zamordować! Ależ ja nie zabijam! Zbyt wielki tchórz ze mnie! Ręka by mi drżała, bałbym się... Bądź spokojna, Florencjo, nie dotknę się ciebie, a jednakże... Ale ot, patrzaj, a sama sobie zdasz sprawę, jak to świetnie obmyślane. Lecz przede wszystkim nie bój się, gdyż to będzie tylko wstępna próba...

Oddalił się i pomagając sobie rękami, czepiając się gałęzi pobliskiego drzewa wdrapał się na pierwsze podstawy grotu. Tam przykleknął i małą motyką, którą miał przy sobie, dał parę uderzeń w nagromadzone kamienie. Z głuchym łoskotem kamienie się posypały.

Jednym susem don Luis wyskoczył ze swojej kryjówki z okrzykiem trwogi. Zrozumiał on nagle, że cała ta grotka i pokrywające ją kamienie znajdują się w takiej pozycji, że najmniejsze uderzenie może zachwiać ich równowagę i spowodować całkowite zawalenie, grożąc Florencji śmiercią pod gruzami.

W parę sekund przebył połowę oddzielającej go przestrzeni, kiedy raptem błyskawicą przeleciała mu myśl, że ślady kroków i trawy zgniecionej okalały to miejsce... dlaczego? Nie miał czasu zastanowić się nad tym, gdyż ledwie nogę postawił przed siebie, stała się katastrofa...

Ziemia rozwarła się pod jego nogami i don Luis zapadł się gwałtownie w czeluść. Wpadł do studni, której obrzeżenie zostało zrównane z ziemią. Otwór studni miał może metr i pięćdziesiąt centymetrów szerokości. Stała się jednak rzecz nieoczekiwana, a mianowicie don Luis biegł tak prędko, że pęd szybkości przerzucił górną część jego ciała na przeciwległy brzeg, tak że ręce jego pozostałe na zewnątrz studni uchwycić się mogły gałązek krzewów.

Dzięki swej niezwyklej sile mógłby się może don Luis wydobyć stamtąd, gdyby nie złoicy, który się rzucił ku niemu i stanawszy o dziesięć kroków od studni groził mu wyciągniętym rewolwerem:

— Nie ruszać się! — krzyknął, bo głowę rozbije...

Don Luis więc pod groźbą śmierci musiał zatrzymać się bez ruchu. Oczy ich spotkały się na kilka sekund. Oczy kaleki pały gorączką jak oczy chorego człowieka.

Pełzając, śledząc każdy ruch don Luisa, przybliżył się do studni i tam przykucnął na brzegu. W ręku trzymał rewolwer, z którego celował w niego bezustannie. I śmiech jego piekielny znów wybuchnął zniemacka:

— Ha! ha! ha! Ładnieś się urządził, Lupin. A uprzedzałem cię przecież, przypomnij sobie: „Miejsce twej śmierci jest już wybrane. Sidła już nastawione. Strzeż

się, Lupin! I pomimo tego przyszedłeś? Na szczęście przewidziałem, to i przedsięwzięciem wszelkie środki ostrożności... No cóż, powiedz sam, dobrze obmyślane? Wszystko przewidziałem... Myślę sobie tak: Cała policja rzuci się za mną w pogoń. Lecz jeden jest tylko człowiek, który by się mógł ze mną zmierzyć, to Lupin. Wskażmy mu więc drogę, poprowadźmy go jak na smyczy wzdłuż ścieżki naznaczonej przejściem ofiary. A więc gdzieś tam pozostawmy rozsiane znaki... Tu pierścionek omotany źdźbłem trawy, tam kwiatek oskubany, dalej pięć palców zagłębionych w ziemi i na koniec krzyżyk zrobiony kamyczkiem,.. Nie sposób pomylić się, nieprawdaż? Z chwilą kiedy miałeś mnie za tak głupiego, że pozwoliłem Florencji zabawić się w tak naiwną grę, trzeba to było wykorzystać i poprowadzić cię prosto w paszczę studni, po tej murawie, umyślnie tu przed miesiącem zasadzonej. Przypomnij sobie moje słowa: „Sidła gotowe”. I jak widzisz, sidła najlepszego gatunku. Muszę ci bowiem wyznać, że wielką przyjemność mi sprawia pozbywanie się ludzi z ich własną pomocą i dobrą wolą. Współdziałamy z sobą, jak dobrzy przyjaciele. Zresztą, jak to już sam dawno j zauważyłeś, ja osobiście nie działam! Oni się sami wieszają lub trują, o ile nie wolą wpaść w paszczę studni, jak ty na przykład... Ależ bo i po cóż tyś tu wlaź, mój biedny Lupin? Ładnie teraz wyglądasz! Florencjo, spójrz na twego kochanka!

Przerwał, gdyż napadł go paroksyzm śmiechu, który trząsał nim jak febra i nadawał twarzy jego najdzikszemu wyraz, podczas gdy nogi jego wykrzywiały się i tańczyły jak nogi pajaca. Tymczasem Perennę zaczęły siły opuszczać. Wysilek stawał się z każdą chwilą cięższy. Ręce uczipione z początku gałązek krzewów daremnie chwyciły już kamienie ścian. I ramiona powoli zaczęły się zagłębiać.

— Nareszcie! — wybełkotał złoczyńca wśród wybuchów śmiechu. — Dziś się przynajmniej ubawię... Lupin w swojej dziurze, a Florencja w swej grocie, jedno wiszące nad przepaścią, a drugie charczące już pod głazami. Co za widok! No, Lupin, nie wysilaj się zbytecznie. Po co tyle trudu? Czyżbyś się obawiał wieczności? Ty? tak uczciwy człowiek? Nowożytny donkiszot! Puśćże się raz nareszcie... No, trochę odwagi! Żegnaj, Lupin — do widzenia!...

Umilkł, czekając strasznego rozwiązania, tak genialnie z góry obmyślonemu i którego przebieg cały rozwijał się ściśle według jego niezachwianej woli...

Oczekiwanie zresztą niedługo już trwało. Ramiona zagłębiły się. Broda, a potem usta wykrzywione skurczem agonii, potem oczy pijane przerażeniem, następnie czoło, włosy i głowa cała... Tak... w końcu cała głowa znikła.

Kaleka wpatrywał się jak w ekstazie, nieruchomy, z wyrazem dzikiej rozkoszy, w głębokim milczeniu.

Na brzegu przepaści widniały już tylko ręce. Ręce uporczywie wytrzymałe, heroicznie zażarte, biedne ręce bezsilne, które powoli też ustępować zaczęły przed śmiercią. Chwilę jeszcze niby szpony uczipiły się brzegu studni. Zdawało się nawet, że zwątpiły, czy o własnej mocy zdołają wydobyć na światło dzienne trupa już pochłoniętego przez ciemność otchłani. Lecz wyczerpały się w końcu. I nagle znikło wszystko.

Kaleka rzucił się naprzód z okrzykiem radości:

— Ha! nareszcie Lupin jest w czeluści piekielnej... *Finita la comedia*.

Zwracając się w stronę Florencji rozpoczął znów swój taniec szkieletów, śpiewając i gwizdząc, wyrzucając potoki wyzwisk i przekleństw okropnych. Potem znów ku studni, powrócił i z daleka, jakby się jeszcze obawiał zbliżyć, splunął po trzykroć.

Lecz i to nie zaspokoilo jego nienawiści. Na ziemi leżały kawałki zwalonych posągów. Chwycił więc głowę jednego z nich, potoczył po trawie i rzucił w próżnię. Następnie gromadzić zaczął i rzucać do studni jakieś stare żelastwo, które spadało, bijąc się o ściany z łoskotem złowrogim, pomnożonym przez echo, jakby huk rozszalały oddalającego się grzmotu.

Zachwiał się na nogach, pot kroplisty pokrył mu czoło i upadł na trawnik, jęcząc i wijąc się z bólu. Pozostał tak kilka minut, skulony i drżący, zdając się cierpieć niewypowiedziane katusze. Po chwili jakby machinalnie sięgnął do kieszeni i wydobywszy flaszeczkę z jakimś tajemniczym płynem przechylił ją do ust i wypił kilka łyków...

Natychmiast ożywił się, jakby ciepło i moc napłynęły mu w żyły. Oczy uspokoiły się, a usta wykrzywi w półuśmiech ohydny. Zwracając się do Florencji rzekł:

— Nie ciesz się przedwcześnie, moja mała, jeszcze mnie diabli nie wezmą i będę miał czas uporać się z tobą. A potem życie spokojne, rozkoszne!... Dwieście milionów, pomyśl sobie, to nie byle co! Można sobie urządzać życie!... No, już mi o wiele lepiej.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tajemnica Florencji

Nadeszła godzina, w której druga część dramatu miała się odegrać. Po mękach don Luisa Perenny męczarnie Florencji. Jako kat potworny kaleka przechodził od jednej ofiary do drugiej bez cienia litości, jakby to szło o bydło zabijane w rzeźni.

Oslabiony jeszcze powlókł się do Florencji i zapaliwszy papierosa rzekł jej z wyrafinowanym okrucieństwem:

— Kiedy ten papieros wypali się do końca, będzie na ciebie czas. Nie spuszczaaj go z oka. To twoje ostatnie chwile życia zamieniają się w popiół. Zastanów się dobrze, Florencjo. Spójrz na kamienie, tworzące tę grootę i wiedz, że trzymają się one dotychczas tylko jakimś niepojętym prawem równowagi. Wystarczy jednakże parę uderzeń kilofem, żeby spowodować katastrofę.

Odetchnął głębiej i ciągnął dalej:

— A wówczas? Wówczas, Florencjo, albo zawalenie się grotty będzie tak kompletne, że nie będzie wcale widać twego trupa, albo gdyby część trupa pozostała widoczna, w takim razie porożcinam wszystkie więzy, którymi jesteś spętana, a wtedy śledztwo wykryje niechybnie, iż Florencja Levasseur ścigana przez policję ukryła się w grocie, która się zawaliła i żywcem ją pogrzebała. Zaśpiewają ci „De profundis”... i przestaną o tobie mówić. Co do mnie zaś... Zakończywszy dzieło po śmierci ukochanej zwijam manatki, zacieram wszelkie ślady mego tu pobytu, biorę swój samochód i znikam na czas jakiś z horyzontu. A potem nagle zjawię się i upomnę o swoje dwieście milionów.

Uśmiechnął się, pociągnął parę razy papierosa i dodał spokojnie:

— Upomnę się o dwieście milionów i otrzymam je. Bo jak ci to już tłumaczyłem, z chwilą twojej śmierci mam do nich prawo. Otrzymam je, gdyż nikt na świecie nie zdoła mi nic zarzucić zdrożnego. Nikt mnie nie zna nawet. Jedni widzieli mnie dużym, inni małym. Nazwisko moje jest im niewiadome. Zbrodnie moje wszystkie są bezimienne... To nie są zbrodnie nawet, to samobójstwa. Policja tu jest bezsilna. Z chwilą śmierci Lupina i Florencji Levasseur nikt na świecie nie może przeciw mnie świadczyć. Żadnych dowodów, mówię ci, oprócz paru drobiazgów oraz kilku papierów, zawartych tu w tym portfelu, które by wystarczyły wprawdzie, żeby mi

głowę ucięto, gdybym ich za chwilę nie spalił i nie wrzucił popiołów do studni. Jak widzisz, wszelkie ostrożności przedsięwziąłem. Nie możesz więc wyczekiwać ani współczucia ode mnie, ponieważ śmierć twoja reprezentuje dla mnie dwieście milionów, ani też ratunku, gdyż nikt na świecie nie zna naszej kryjówki, a Lupin już nie żyje. W tych więc warunkach wybieraj, Florencjo. Rozwiązanie dramatu tobie pozostawiam: albo śmierć pewna i nieunikniona, albo... moja miłość. Tak czy nie? Jednym skinieniem głowy zdecydujesz o swym losie. Jeśli zaś tak, uwolnię cię i wyjedziemy razem. Później zaś, kiedy twoją niewinność zostanie udowodniona (co zresztą biorę na siebie), zostaniesz moją żoną. I cóż, czy tak, Florencjo?

Głos jego drżał głębokim niepokojem. Błagał i groził, czołgając się po ziemi. Lecz jego potworna natura tak go ciągnęła do zbrodni, że trudno było zgadnąć, czy więcej pragnie jej zgody, czy też odmowy.

— Czy tak, Florencjo? Jedno najłżejsze skinienie głowy, a będę ci ślepo wierzyć, gdyż jesteś tą, która nie kłamie nigdy i słowo twoje święte jest. Czy tak, Florencjo? Odpowiedz mi!... Wahanie byłoby przecież szaleństwem. Twoje życie jest zależne od jednego drgnięcia mego gniewu... Patrz, papieros mój zgasł, rzucam go... Ostatnia chwila nadeszła, Florencjo! Tak czy nie?...

Pochylił się nad nią i biorąc ją za ramiona potrząsnął z lekka, jakby chcąc ją zmusić do dania odpowiedzi, lecz nagle, jakby porwany szałem wściekizny, podniósł się krzycząc:

— Ona płacze! Ona śmie płakać! Czyż ty nie rozumiesz, nieszczęsna, że ja wiem dlaczego płaczesz? Znam od dawna twoją tajemnicę i wiem, że łzy twoje nie ze strachu pochodzą. Bać się? Ty?... Ależ ty się niczego nie boisz! Nie, inna jest twoich łez przyczyna, czy chcesz, żebym ją powiedział? Nie!... po stokroć nie!... Nie mogę! Ha! Przeklęta kobieto! Samaś tego chciała! Giń więc!... Umieraj!...

Mówiąc to zaczął wykonywać pośpiesznie przygotowania do straszliwej zemsty. Na ziemi leżał brązowy portfel, który poprzednio pokazywał Florencji, podniósł go i schował do kieszeni. Po czym zdjął kurtkę i rzucił na najbliższy krzak, chwycił motykę i drżąc cały z gniewu począł się wspinać po kamieniach groty, miotając groźbami:

— Chciałaś umrzeć, Florencjo! Nic cię więc już nie uratuje... Gdybyś nawet zmieniła zdanie... gdybyś mnie błagała o życie... nic nie pomoże! Za późno!...

Był już prawie na wierzchu groty. Nienawiść dodawała mu sił. Wyprostował się znienacka, przerażający, ohydny, z oczyma krwią nabiegłymi. Żelazo motyki założył pomiędzy dwie bryły, wśród których widniał niewielki kamyk, wciśnięty tam i utrzymujący całą równowagę sklepienia. Następnie usunąwszy się trochę na bok uderzył raz... drugi... aż za trzecim razem kamyk wyleciał...

To, co się wówczas stało było tak nagłe, cała piramida kamieni zwała się tak gwałtownie w środek i wkoło groty, że on sam pomimo zachowanych ostrożności porwany został i rzucony na trawnik opodal. Powstał jednak natychmiast wołając:

— Florencjo! Florencjo!

Katastrofa, którą był z taką dokładnością przygotował i z takim okrucieństwem wywołał, zdawała się teraz przerażać go swymi skutkami. Okiem nieprzytomnym szukał swojej ofiary. Pochylił się i czołgając się wokoło kupy gruzów, pokrytej mgłą kurzu, zaglądnął w szpary pomiędzy zwaliska nie widział nic.

Florencja była zagrzebana pod gruzami, niewidzialna, zabita.

— Zabita! — rzekł patrząc osłupiałym wzrokiem. — Florencja... nie żyje!...

I znowu popadł w zupełną prostrację. Dwa te wysiłki tak bliskie siebie, zakończone katastrofą, której był bezpośrednim świadkiem, wyczerpały go ostatecznie. Pozbawiony nienawiści wskutek śmierci Lupina i miłości wobec śmierci Florencji, robił wrażenie człowieka, który utracił rację bytu.

Parę razy powtórzył imię Florencji i łzy spływały po jego twarzy. Długo pozostał tak, przygnębiony i ponury. I kiedy po zażyciu powtórnym swego eliksiru zabrał się znów do roboty, robił to machinalnie, bez radości i zapału.

Za krzakiem głogu, pomiędzy dwoma drzewami, zrobione było schronienie dla narzędzi ogrodowych. Były tam motyki, łopaty, grabie i wśród nich strzelby, kłęby sznura i drutu.

Zaczął znosić wszystkie rzeczy do studni, żeby je tam później przed odejściem powrzucać. Następnie szczegółowo obejrzał okolicę groty i pozacierał wszelkie porobione ślady.

Zdawał się zakłopotany i myśląc o czym innym działał machinalnie, niby z przyzwyczajenia. Sięgnął po kurtkę, wiszącą na krzaku i włożył ją na siebie. Po czym zaczął szukać brązowego portfela, który był włożył do jednej z kieszeni.

Portfela nie było. I co dziwniejsze, inne przedmioty, które się niewątpliwie w kieszeniach znajdowały, jak papierośnica, pudełko zapalek i notes, znikły bez śladu.

Opanowało go silne zmieszanie. Wyjąkał parę słów niezrozumiałych, podczas gdy straszliwe podejrzenie owładnęło jego umysłem: ktoś musiał być w obrębie starego zamku.

I ktoś ten krył się obecnie w ruinach zamku. I był oczywiście świadkiem śmierci Arsena Lupina i Florencji Levasseur. I on to widocznie, wiedząc ze słów jego o zawartości portfela, przeszukał mu kurtkę i opróżnił kieszenie.

Twarz zbrodniarza wyrażała wzruszenie człowieka, przyzwyczajonego do działania w ciemnościach, który przekonał się nagle, że czyjeś oczy podpatrzyły jego karygodne czynności i że te same oczy śledzą teraz każdy jego ruch i widzą to, czego nikt nie widział. Lecz skąd był ten wzrok, który go niepokoił, jak światło dzienne niepokoi nocnego ptaka? Czy był to tylko świadek przypadkowy? Czy też współnik. Lupina, przyjaciel Florencji lub agent policji? I czy przeciwnik ów zadowolony się wziętą zdobyczą, czy też zamierza go atakować?

Znajdując się na otwartym miejscu, narażony w każdej chwili na napaść niewiadomego przeciwnika, kaleka nie śmiał się poruszyć. W końcu jednak świadomość niebezpieczeństwa dodała mu trochę energii.

Nie ruszając się jeszcze z miejsca, rozejrzał się badawczo wokoło siebie. Nie widząc jednak nic podejrzanego postąpił naprzód. Szedł, opierając się na kuli, lecz kroki jego były tak ciche, że nie wydawały najłżejszego I szelestu. W prawej ręce kurczowo ścisnął rewolwer gotowy do strzału...

Skierował się na lewo. Pomiędzy wawrzynami a bocznymi skałami groty znajdowała się ścieżka wyłożona cegłą, którą wróg mógł się przedostać aż do krzaku, na którym wisiała poprzednio kurtka z portfelem, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Idąc ścieżką kaleka natrafił na gąszcz powikłanych krzewów; chcąc je obejść okrążył wielki głaz, przylegający bokiem do groty.

Zrobiwszy kilka kroków cofnął się nagle i zachwiał, jakby tracąc równowagę, podczas gdy kula upadła mu na ziemię a rewolwer wysliznął się z ręki.

Widok, który się jego oczom przedstawił, napawa go niewypowiedzianym przerażeniem. Jakaś postać stała o kilka kroków dalej, oparta plecami o głaz, trzymając ręce w kieszeni. Lecz to nie mógł być człowiek żywy, gdyż ten, którego widział przed sobą, był już pogrążony w głębokościach studni. Było to więc chyba widmo pozagrobowe.

Widmo Arsena Lupina.

Trzęsąc się jak w febrze, powiększonymi ze strachu oczyma patrzył na to niepojęte zjawisko i przepojony cały wierzeniami szatańskimi nie mógł wzroku oderwać od tego widma, którego groza wzrastała z każdą chwilą.

Do człowieka można strzelić, można go zabić, lecz jakaż jest broń przeciw upiorom? Jak tu walczyć z istotą nierealną, a rozporządzającą przecież siłą nadprzyrodzoną?

Ukrył twarz w dłoniach... Nie chciał więcej widzieć! Była li to zjawą czy przywidzenie, emanacją z tamtego świata czy też obraz zrodzony z jego wyrzutów sumienia — nie był w stanie rozróżnić, lecz nie chciał więcej dręczyć się tym widokiem.

Po chwili usłyszał wyraźny odgłos zbliżających się kroków! Uczuł jakiś byt obcy wokół siebie. I czyjaś ręka chwyciła jego ramię w żelazny uścisk. A uszu jego doleciały słowa, wymówione znanym mu głosem Arsena Lupina:

— No i cóż, panie kochany, czego się pan tak zmieszał? Przyznaję, że mój powrót jest trochę nieoczekiwany, a nawet niestosowny. Lecz nie ma się co znów tak bardzo przejmować! Widziano dziwniejsze rzeczy na świecie, jak na przykład zatrzymanie słońca przez Jozuego albo trzęsienie ziemi w Lizbonie w roku 1755. Mędrzec powinien sprowadzać wypadki do ich rzeczywistej wartości, nie zaś sądzić o nich według wpływu, który wywierają na jego przeznaczenie.

Kaleka zdobył się nareszcie na odwagę i podniósł głowę do góry. Rzeczywistość przedstawiła mu się z taką dokładnością, że wszelkie wątpliwości musiały upaść: Stał przed nim Arsen Lupin żywy i zdrow! ten sam Arsen Lupin, którego przed chwilą pochłonęły czeluście ziemi.

Jak się to mogło stać? Nawet się nad tym nie zastanawiał, dość, że wróg jego żył. Kierowany instynktem nienawiści przypadł nagle do ziemi i chwyciwszy rewolwer strzelił. Strzelił jednak daremnie, gdyż don Luis nogą wytrącił mu broń z ręki. Zgrzytając zębami z wściekłości kaleka począł szukać czegoś po kieszeniach.

— Czy tego pan może pragnie? — zapytał don Luis, pokazując mu strzykawkę napełnioną żółtawym płynem. — Wybacz pan, lecz obawiałem się, żeby się pan wypadkiem nie ukłuł. Ukłucie bowiem mogłoby być śmiertelne, a tego bym sobie nigdy nie darował.

Tym razem potwór uczuł się bezbronny. Zrozumiał, że człowiek, w którego rękach znajdował się, jest jednym z tych, których moc jest prawie bez granic. Zawahał się chwilę, widząc jednak, że don Luis zajęty rozplątywaniem zwoju sznura nie patrzy w jego stronę, zaczął się cofać po ziemi. Odsunął się tak o kilka kroków, nie spuszczać oka z don Luisa Perenny, ten ostatni jednak zdawał się go nie widzieć. Korzystając z tego potwór zawrócił na miejscu i podniósłszy się na swoich krzywych nogach począł umykać w stronę studni.

Dwadzieścia kroków zaledwie dzieliło go od celu. Biegł, co mu sił starczyło. Przebiegł już większą część drogi... Już dobiegł do końca... Wyciągnął ramiona i głową naprzód rzucił się w otwór studni.

Lecz rozpęd jego został nagle wstrzymany. Runął na ziemię, pociągnięty wstecz i tak spętany, że się nie mógł wcale poruszyć.

To don Luis, który pomimo pozornej obojętności nie tracił go z oczu i widząc, jakie są jego zamiary, sznurem związanym w formie lassa obezwładnił go w ostatniej chwili.

W ciągu kilku sekund kaleka próbował się bronić, lecz pętla zacieśniając się coraz bardziej wkoło niego i wpijając mu się w mięśnie obezwładniła go.

Wówczas don Luis zbliżył się do niego i związał go mocno resztą sznura. Przy czym począł mu tłumaczyć tonem wyszukanej uprzejmości:

— Tak, drogi panie, ludzie zwykle się gubią ze zbytku zaufania. Nie wyobrażają sobie bowiem, że ich przeciwnicy rozporządzają środkami, których oni są pozbawieni. I tak na przykład widząc mnie wpadającego do studni jak pan mógł przypuścić, że taki człowiek jak Arsen Lupin da się tam pogrzebać jak pierwszy lepszy. Przecież połową

ciała byłem poza otworem studni, z niewielkim więc wysiłkiem mogłem się stamtąd wydobyć i nie powstrzymałyby mnie pańskie kule, tym bardziej, że szło nie tylko o moje życie, lecz i o życie Florencji Levasseur! Jeśli więc tego nie uczyniłem, to tylko z tego powodu, iż miałem już inny plan ratunku. Mogę to panu teraz szczegółowo opowiedzieć, jeśli to pana interesuje. Otóż z chwilą kiedy wpadłem do studni, nogi moje opierając się o wewnętrzny brzeg studni wybiły cienką powłokę tynku, którą zamurowane było widocznie wgłębienie, zostawione w jednej ze ścian studni. Gdy to zmiarkowałem, ułożyłem sobie natychmiast cały plan działania. Zagrałem komedię człowieka, który dobywając ostatnich wysiłków woli walczyć z losem, starając się utrzymać na powierzchni, lecz bezsilny spada w głąb czeluści. Przy czym dostosowałem do tego wyraz mojej twarzy, coraz bardziej przerażonej z oszalałymi oczyma, podczas gdy nogami starałem się powiększyć otwór. I w chwili właśnie, kiedy moja twarz omdlewająca znikła z powierzchni ziemi, w tej samej chwili wskoczyłem do kryjówki. Byłem ocalony.

Don Luis odwrócił kalekę jak pakiet, który się obwiązuje sznurkiem, i mówił dalej:

— Czy zwiedzał pan może w Normandii nad brzegiem Sekwany stary feudalny zamek Tancarville? Otóż jest tam poza ruinami strażnicy studnia, która, jak wiele zresztą studni z tej epoki ma tę właściwość, że oprócz zwykłego otworu wychodzącego na powierzchnię ziemi ma drugi poprzeczny otwór, tworzący jakby korytarz podziemny do jednej z sal zamku. W Tancarville otwór ten jest zamknięty kratą, a tu zaś był zamurowany cienką powłoką z kamyczków i tynku. Dostawszy się więc do owej kryjówki, mając wspomnienie. Tancarville w pamięci, zacząłem badać, dokąd mnie owo przejście zaprowadzi. Prędko zmiarkowałem, że idzie ono w kierunku groty. Zrobiwszy ze trzydzieści kroków natrafiłem na schodki, u góry których przeświecało światło przez szczeliny nagromadzonych tam kamieni i cegieł. Z łatwością usunąłem kamienie zagradzające wyjście i znalazłem się wśród ruin strażnicy, tuż za grotą, w której leżała Florencja. Kierując się pańskim głosem prześliznąłem się pomiędzy głazy i ukryłem się w głębi groty, skąd mogłem obserwować pańską pożegnalną scenę z Florencją oraz prośby i groźby, którymi ją pan dręczył. Przyznaję, że było to nawet mocno zabawne chwilami, szczególnie kiedy już z wysokości groty zawołał pan z patosem: „Samaś tego chciała, Florencjo! umieraj więc!...” W grocie zaś w owej chwili już nie było nikogo, skorzystałem bowiem z pańskiego oddalenia się, żeby Florencję stamtąd usunąć. I tak udało mi się przeprowadzić szczęśliwe rozwiązanie w krwawym dramacie, ułożonym przez pana.

Don Luis podniósł się i patrząc z zadowoleniem na dokonane dzieło, rzekł śmiejąc się:

— Wyglądasz jak salceson, niezbyt gruby wprawdzie, raczej kiełbasa lionńska dla ubogiej rodziny! Niezbyt ładnie przedstawiasz się, ale ostatecznie nie gorzej niż zwykle. Za to świetnie jesteś przygotowany do pewnej gimnastyki, którą chcę ci zastosować. Zaczekaj tylko cierpliwie, a zaraz się przekonasz, jak genialną myśl miałem...

Mówiąc to Perenna wziął jedną ze strzelb bandyty i przywiązał pośrodku takowej sznur, długi na dziesięć metrów. Drugi zaś koniec przymocował do sznurów, którymi kaleka był związany, mniej więcej na wysokości pasa.

Następnie, wzięwszy swego jeńca w ramiona, rzekł mu trzymając go nad studnią:

— Zamknij oczy, jeśli cierpisz na zawrót głowy. A przede wszystkim nie bój się, gdyż jestem bardzo ostrożny. Cóż, gotów jesteś?

Powoli spuścił bandytę do wnętrza studni, opuszczając go coraz głębiej ostrożnie, żeby się o brzegi studni nie obijał. Kiedy się już na dziesięć do dwunastu metrów

zagłębił, zatrzymała go strzelba położona w poprzek studni. I tak pozostał, wisząc w ciemnościach, pośrodku wąskiego obwodu.

— Jak widzisz, kawał dobrze obmyślony! Zupełnie w twoim stylu. Ale cóż chcesz! Obiecałem Florencji, że cię nie zabiję, rządowi zaś francuskiemu, że cię wydam o ile możliwości żywego. Nie wiedząc zaś, co z tobą uczynić do jutra, pozostawię cię tu w bezpieczeństwie. Pamiętaj jednak, że oba końce strzelby spoczywają na samym brzegu studni, tak że najlżejszy ruch z twojej strony może spowodować kataklizm. A wtedy ja za nic nie odpowiadam! Przy tym da ci to przedsmak tych kilku nocy, które cię dzielą od chwili, kiedy ci głowę utną. Pozostawiam cię samego wobec twego sumienia, przypuszczając, że macie sobie wiele do powiedzenia. Rozmyślaj więc w spokoju i żegnaj tymczasem.

Don Luis odszedł ścieżką, okrążającą zwał ruin i prowadzącą w stronę świerkowego lasu, gdzie był pozostawił Florencję. Spokojna i dzielna jak zwykle pomimo przebytych męczarni, czekała go Florencja, pewna jak gdyby szczęśliwego wyniku ostatniej walki pomiędzy don Luisem a potwornym kaleką.

— Skończyłem — rzekł zbliżając się don Luis — jutro go oddam władzom sądowym.

Drgnęła, lecz nie odpowiedziała nic, gdy tymczasem Perenna przypatrywał jej się w milczeniu. Po raz pierwszy spotkali się sam na sam od czasu, kiedy dramatyczne wydarzenia ostatnich tygodni rozdzieliły ich i rzuciły przeciw sobie do walki jako wrogów nieprzejednanych. Don Luis mocno wzruszony ledwo się zdobył na kilka frazesów, nie mających nic wspólnego z przeżywaną chwilą:

— Idąc wzdłuż muru i zwracając się na lewo spotkamy automobil... Czy nie męczycy pani ta przechadzka?... Autem udamy się do Alencon... Jest tam porządny i cichy hotel na głównym placu, gdzie będzie pani mogła przeczekać, dopóki przebieg sprawy stanie się dla pani pomyślny, co musi wkrótce nastąpić wobec znalezienia winowajcy.

— Chodźmy — rzekła Florencja.

Nie śmiał jej zaproponować, żeby się wsparła na jego ramieniu. Zresztą szła równo i harmonijnie jak zwykle i don Luis patrząc na jej postać odnajdywał cały swój zachwyt i uwielbienie miłosne. Choć może nigdy jeszcze nie wydała mu się tak daleką, jak w tej chwili, kiedy cudem energii uratował jej życie. Bez słowa podziękki, bez serdecniejszego spojrzenia pozostała taką, jak od pierwszego dnia, niedostępną, tajemniczą istotą, której tajników duszy nie zdołał nigdy przeniknąć. Dokąd dożyła? Czego pragnęła i co myślała? Były to zagadnienia, nad rozwiązaniem których już się nawet nie silił.

— Otóż nie! — rzekł do siebie, siadając do samochodu — tak się nie rozstaniemy. Musimy się choć raz nareszcie rozmówić i czy chce czy nie chce, potrafię rozedrzeć zasłonę, za którą się tak szczelnie ukrywa.

Droga nie trwała długo. Kiedy przybyli do Alencon, don Luis zapisał Florencję pod cudzym nazwiskiem i zainstalowawszy ją w hotelu sam wyszedł na miasto. Po godzinie wrócił i zapukał do jej drzwi.

Lecz i tym razem nie odważył się przystąpić wprost do wyjaśnienia, jak był to sobie postanowił. Zaczął więc od pytania:

— Może mi pani zechce powiedzieć, co łączyło panią z tym człowiekiem? chciałbym to bowiem wiedzieć, zanim go wydam władzom.

— Łączyła nas przyjaźń i współczucie, które miałam dla niego przez wzgląd na jego kalectwo. Dziś sama nie mogę zrozumieć, jak mogłam odczuwać współczucie dla takiego potwora. Lecz kiedy go poznałam przed kilku laty, przywiązałam się do niego, widząc jego chorobę, słabość i wszystkie objawy zapowiadające bliski koniec. W początkach oddał mi kilka drobnych usług i mimo że jego tajemnicze życie trochę mnie dziwiło i niepokoiło, potrafił z czasem zdobyć silny wpływ na mnie. Wierzyłam w

jego przyjaźń i oddanie i kiedy wyniknęła sprawa Morningtona, to on zaczął kierować mną i Gastonem Sauverandem, jak to teraz dopiero rozumiem. On też zmuszał mnie do kłamstw i komedii, tłumacząc, że to konieczne dla ratowania Marii Anny Fauville. I on natchnął nas nieufnością do pana i nauczył taką tajemnicą okrywać wszelkie jego uczynki, że kiedy Gaston Sauverand w swojej rozmowie z panem wyjawiał panu wszystkie tajniki swej duszy, nie ośmielił się nawet wspomnieć o jego istnieniu. Jak ja mogłam być tak dalece zaślepiona? Nie mogę teraz zrozumieć! Lecz nie przyszło mi na myśl podejrzenie co do tego człowieka, wiecznie chorego, spędzającego połowę życia w lecznicach, i sanatoriach, który przeżył niezliczoną ilość różnorodnych operacji i który jeśli mi czasem, mówił o swej miłości, nie mógł się przecież spodziewać...

Florencja przerwała, gdyż spotkawszy wzrok don Luisa zrozumiała, że on jej słów nie słyszy. Patrzył na nią, lecz tak był zaabsorbowany zagadnieniem jej uczuć względem siebie, że wszystko inne nie miało dla niego znaczenia. Zbliżył się do niej i zapytał stłumionym głosem:

— Florencjo, wszak znasz moje uczucia dla ciebie, nieprawdaż?

Zarumieniła się, zaskoczona tym nieoczekiwanym pytaniem. Nie spuszczać jednak oczu odrzekła szczerze:

— Tak, znam je.

— Lecz może nie znasz ich głębi i mocy? Może nie wiesz, że jesteś jedynym celem mego życia?

— I to wiem też — odparła.

— Jeśli wiesz o tym, to muszę chyba wywnioskować, że to właśnie jest przyczyną twojej niechęci dla mnie. Od początku miałem dla ciebie wiele przyjaźni i starałem się bronić cię na każdym kroku. I od początku także czułem, że jestem dla ciebie przedmiotem wstrętu tak instynktownego, jak wyrozumowanego. Nigdy w twych oczach nie widziałem nic prócz chłodu, pogardy, nienawiści nawet. W chwilach niebezpieczeństwa, kiedy szło o twoje życie lub wolność, wołałaś niejednokrotnie narazić się na wszelkie nieostrożności niż przyjąć moją pomoc. Byłem wrogiem, tym, któremu się nie ufa, zdolnym do wszystkich niegodziwości, byłem tym, którego się unika i o którym się myśli z rodzajem bojaźni. Nienawiścią tylko można wytłumaczyć podobne postępowanie...

Florencja zrazu nie odpowiadała, chcąc jakby oddalić chwilę wypowiedzenia słów cisnących się jej na usta. Twarz jej, wychudzona zmęczeniem i przeżyтыми cierpieniami, łagodniejsza była niż zwykle.

— Nie — odrzekła po chwili — nie tylko nienawiścią tłumaczyć się to może.

Don Luis patrzył na nią zdumiony, nie rozumiejąc w pierwszej chwili znaczenia jej słów. Lecz ton, którym to wypowiedziała, wzruszył go do głębi, a przy tym - oczy jej nie miały już wyrazu wzdargy i pełne były wdzięku i uśmiechu.

— Mów! o mów! Błagam cię... — wyszeptał.

— Chciałam powiedzieć — ciągnęła dalej że jest też inne uczucie, które niejednokrotnie tłumaczy chłód, nieufność i bojaźń. Unika się często nie tych, których się nienawidzi. I unikając, czyni się to nieraz z obawy przed samym sobą, pragnąc się oprzeć, zapomnieć... i nie mogąc...

Don Luis zachwiał się, jakby pijany tym nieoczekiwanym szczęściem. Po strasznych chwilach, świeżo przeżytych wśród ruin zamczyska, taka pełnia radości wydawała mu się wprost niewiarygodna. Czuł się u szczytu szczęścia. Stanęło mu w oczach życie Florencji od chwili poznania aż do owego tragicznego momentu, kiedy ohydny potwór pochyłony nad nią i widząc jej oczy pełne łez zawył z wściekłością: „Ha, ty płaczesz Florencjo! Ty się ośmielasz płakać! A więc wiedz, że znam twoją tajemnicę”.

Tajemnicę miłości, uniesienia namiętności, które od pierwszego wejrzenia rzuciły ją ku don Luisowi, mieszając ją i napełniając trwogą, uważała je bowiem za zdradę względem Marii Anny Fauville i Gastona Sauveranda. Uczucia te oddalały ją i przybliżały na przemian ku temu, którego kochała i podziwiała za jego szlachetność i bohaterską odwagę, lecz wyrzuty sumienia, targające jej duszę i podsycane ciągle przez potwornego bandytę, rzuciły mu ją w końcu na pastwę, bezsilną i zgnębiającą.

Don Luis nie wiedział sam co czynić, nie wiedział, jak wyrazić szalejące w nim uczucia. Usta mu drżały i oczy napełniły się radością. Chciałby ją chwycić w ramiona i całować bez pamięci. Lecz wstrzymywał go głęboki szacunek, który miał dla ukochanej. Nareszcie zwyciężony wzruszeniem padł jej do nóg, szepcząc słowa miłości i zachwyty.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

„Zagroda łubinów” (Epilog)

Nazajutrz rano, trochę przed dziewiątą, prezes rady ministrów Valenglay rozmawiał u siebie z prefektem policji.

— Więc myśli pan, że on przyjdzie? — zapytał Demalion.

— Bez wątpienia, panie prezydencie. I to przyjdzie ze zwykłą sobie punktualnością z ostatnim uderzeniem zegara.

— Myśli pan?

— Panie prezydencie, miałem możność od kilku miesięcy obserwować tego człowieka. I tak jak się dziś rzeczy przedstawiają, stojąc między życiem a śmiercią Florencji, jeśli on tego bandyty nie zgnębi i nie przywiezie nam tu związanego, to chyba Florencja nie żyje i Arsen Lupin też umarł.

— A że Lupin jest nieśmiertelny... — zaśmiał się Valenglay. — Ma pan rację. I sam byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nasz kochany Perenna nie zjawił się w umówionym czasie. Wspomniał pan, że telefonowano panu z Angers?

— Tak, panie prezydencie. Nasi ludzie widzieli tam wczoraj don Luisa Perennę, który ich wyprzedził samolotem. Następnie telefonowali jeszcze z Mans, po przeprowadzeniu śledztwa w jakiejś opuszczonej remizie.

— Śledztwo było już pewnie przeprowadzone poprzednio przez Lupina. Zaraz się zresztą o tym dowiemy: dziewiąta bije.

W tej samej chwili dał się słyszeć pomruk samochodu, który zatrzymał się przed domem. I natychmiast rozległ się głos dzwonka. Rozkazy były wydane. Wprowadzono więc zaraz gościa. Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich don Luis Perenna.

Choć Valenglay i prefekt przygotowani byli na jego przybycie, jednakże zachowanie ich zdradzało mimo wszystko zdziwienie, jakie się odczuwa wobec rzeczy przechodzących miarę ludzką.

— A więc? — zawołał żywo Valenglay.

— Wszystko w porządku, panie prezydencie.

— Schwytał pan bandytę?

— Tak jest.

— Do kroćset! — szepnął Valenglay. — Tęgi z pana człowiek. — I ciągnął dalej: — Jakież jest ów zbrodniarz? Pewnie wielkolud niezwyčajony?

— Kaleka, panie prezydencie, degenerat. Odpowiedzialny naturalnie za swoje czyny, ale ruina fizyczna i moralna.

— I w tym człowieku kochała się Florencja Levasseur?

— Ależ panie prezydencie. Florencja się w nim nigdy nie kochała! Miała dla niego wiele współczucia, jak dla kogoś skazanego na bliski koniec i z litości też pozwalała mu wierzyć, że kiedyś w dalszej przyszłości zostanie jego żoną. Litość prawdziwie kobieca. Tym łatwiejsza do wytłumaczenia, że Florencja nie miała najmniejszego pojęcia o roli, którą grał ten człowiek. Wierząc w jego uczciwość i oddanie i oceniając jego niepowszednią inteligencję, radziła go się we wszystkim i pozwalała sobą kierować w walce, podjętej w obronie Marii Anny Fauville.

— Pewien jest pan tego?

— Najzupełniej, panie prezydencie, gdyż mam na to wszystko niezbite dowody. I bez dalszych wstępów ciągnął dalej:

— Mając bandytę w rękę, łatwo będzie władzom sądowym zbadać wszystkie szczegóły jego życia. Ale już dziś możemy streścić tę potworną egzystencję w jej kryminalnym przebiegu w sposób następujący: Jan Vernocq, pochodzący z Alencon i wychowany dzięki staraniom pana Langernault, poznał małżeństwo Dedessuslamare, obdarł ich z pieniędzy, i zanim zdążyli wnieść skargę przeciw niewiadomemu złoczyńcy, zawiódł ich do pewnej stodoły koło Formigny, gdzie zrozpaczeni powiesili się oboje. Stodoła owa znajdowała się w majątności jego opiekuna Langernaulta, zwanej Starym Zamkiem. Langernault był chwilowo chory. Zaledwie jednak wrócił do zdrowia, zabił się wypadkowo czyszcząc własną strzelbę, dostawszy w brzuch cały nabój grubego śrutu. Kto był nabił strzelbę bez wiedzy jej właściciela? Jan Vernocq, który też przy tej okazji opróżnił kasę swego opiekuna. Oto są prawdopodobnie pierwsze trzy zbrodnie naszego bandyty, nie mające nic wspólnego ze sprawą j Morningtona.

Zdobywszy w ten sposób mały kapitałik Jan Vernocq wyjechał do Paryża, gdzie zdarzyła mu się sposobność kupienia od jakiegoś nicponia dokumentów, stwierdzających urodzenie i prawa Florencji Levasseur i do wszelkich spadków po rodzinie Roussel i Wiktorze Sauverandzie. Dokumenty wykradzione były swego czasu niańce, która przywiozła Florencję z Ameryki, po śmierci jej ojca. Po długich poszukiwaniach udało się Vernocqowi najpierw odnaleźć fotografię Florencji, później zaś Florencję samą. Zapoznał się z nią oddał jej parę drobnych usług i starał się w następstwie dowieść jej swojej przyjaźni i oddania. Sam jeszcze wówczas nie wiedział, jaki zysk uda mu się wyciągnąć z owych wykradzonych papierów i znajomości zawartej z Florencją, kiedy nagle wszystko się zmieniło. Dowiedziawszy się przez niedyskrecję jednego ze znajomych, kancelistę notariusza Lepertuisa, że w biurku jego pryncypała znajduje się jakiś bardzo ważny testament, wymógł na owym przyjacielu (który znikł potem bez śladu) za pomocą tysiąca franków, że mu pozwoli zapoznać się z zawartością powyższego testamentu. Traf chciał, że był to właśnie testament Kosmy Morningtona, który zapisywał swoje niezliczone bogactwa potomkom rodziny Roussel i Wiktora Sauveranda.

Sprawa zapowiadała się świetnie. Dwieście milionów!... Ażeby zaś nimi ować, żeby zdobyć bogactwo, przepych, władzę i możność kupienia zdrowia u wielkich uzdrowicieli świata, wystarczyło najpierw usunąć wszystkie osoby dzielące Florencję od spadku, następnie, kiedy wszystkie przeszkody zostaną obalone, ożenić się z nią. Ułożywszy plan, Jan Vernocq zabrał się do dzieła.

W papierach Langernaulta, dawnego przyjaciela Hipolita Fauville'a, znalazł liczne szczegóły o rodzinie Roussel oraz o nieporozumieniach, dzielących małżeństwo Fauville'ów. Ostatecznie pięć osób tylko stało mu na drodze do milionów Morningtona, on sam zaś oczywiście w pierwszym rzędzie. Następnie trzeba było usunąć inżyniera Fauville'a i Edmunda, potem Marię Annę Fauville i Gastona Sauveranda.

Z Kosmą Morningtonem poszło mu łatwo. Dostawszy się do niego jako doktor zamienił jedną z ampulek, przygotowanych do zastrzyków, podsuwając taką samą, napełnioną poprzednio przygotowaną trucizną. Z Hipolitem Fauvillem sprawa była więcej zawiła. Poznał się z nim, powołując się na Langernaulta i w krótkim czasie potrafił ovladnąć najkompletniej słabym umysłem tego człowieka. Znając nienawiść inżyniera Fauville'a do żony i wiedząc skądinąd o jego beznadziejnym stanie zdrowia, on to podsunął mu straszliwy projekt samobójstwa, którego makiawelskie wykonanie znane jest już panom. W ten sposób więc jednym wysiłkiem, nie będąc w niczym do sprawy wmieszany, zdołał się pozbyć wszystkich zawadzających mu osób, zwracając wszelkie podejrzenia na Marię Annę i Gastona Sauveranda. I plan mu się powiódł. Z początku jedyną poważną przeszkodą była nieoczekiwana interwencja inspektora Verota. Toteż inspektor Verot umarł.

Następnie prawdziwe niebezpieczeństwo przedstawiała moja przypuszczalna interwencja, tym łatwiejsza do przewidzenia, że byłem ogólnym sukcesorem Kosmy Morningtona w razie wygaśnięcia potomków rodziny Roussel. Aby zapobiec temu niebezpieczeństwu Jan Vernocq dał mi pałac przy ulicy Palais-Bourbon, jako mieszkanie i Florencję Levasseur jako sekretarkę. Następnie zaś z pomocą Gastona Sauveranda po czterokroć starał się zgładzić mnie ze świata.

Tak więc mając w ręku wszystkie nici intrygi, będąc panem w moim pałacu dzięki nieograniczonemu wpływowi, który wywierał na Florencję Levasseur, a przez nią na Sauveranda, kierował całą sprawą jak chciał. Kiedy zaś, dzięki moim wysiłkom, udowodniona została niewinność Marii Anny Fauville i Gastona Sauveranda — bez wahania pchnął ich do grobu.

Wszystko szło jak najlepiej, ścigano mnie i Florencję. O jego zaś istnieniu nawet nie wiedziano. Na to nadszedł termin ostatecznego oznaczenia spadkobiercy. Było to przedwczoraj. Jan Vernocq, chory, umieścił się w klinice przy ulicy Temes i tam dzięki swemu wpływowi na Florencję Levasseur i za pomocą listów wysyłanych z Wersalu do matki przełożonej kierował dalej sprawą. Z rozkazu przełożonej i nie rozumiejąc znaczenia danego kroku, Florencja udała się do prefektury na zebranie, przynosząc dotyczące się jej dokumenty. Przez ten czas Vernocq opuścił dom zdrowia i ukrył się w pobliżu wyspy Saint-Louis, oczekując końca przedsięwzięcia, mogącego się w najgorszym razie zwrócić przeciw Florencji, lecz, jak się zdawało, nie mogącego w żadnym wypadku jego skompromitować.

Reszta, panie prezydencie, jest już panu wiadoma. Florencja, wzburzona na myśl o roli, którą nieświadomie odegrała, a szczególnie przerażona potworną rolą Vernocq'a, uciekła z kliniki (gdzie ją na moją prośbę zawieziono), z jedną myślą i jednym pragnieniem: ujrzeć Jana Vernocq'a i zażądać od niego wyjaśnień. Ten ostatni zaś, pod pretekstem dostarczenia jej dowodów swojej niewinności, wywiózł ją samochodem do Formigny.

Prezydent Valenglay słuchał z rosnącym zainteresowaniem tej ponurej historii najbardziej potwornego geniusza, jakiego można było sobie wyobrazić. Słuchał jej z tym większym zainteresowaniem, że uwydatniała ona przez opozycję jasny, łatwy i szczęśliwy geniusz tego, który walczył, za dobrą sprawę.

— I odnalazł ich pan? — zapytał.

— Wczoraj o trzeciej po południu, panie prezydencie. W samą porę. A właściwie mógłbym powiedzieć: za późno nawet, gdyż Jan Vernocq rozpoczął od wyprawienia mnie w głąb studni i zmiżdżenia Florencji pod zwałonymi głazami.

— Ach, więc pan został zabity? — zapytał Valenglay śmiejąc się.

— Jeden raz więcej, panie prezydencie.

— Lecz dlaczego ten bandyta, chciał zgładzić Florencję Levasseur? Przecież śmierć jej burzyła cały projekt małżeństwa, nieodzowny dla osiągnięcia milionów?

— Żeby się pobrać, panie prezydencie, trzeba zgody drugiej osoby, Florencja zaś odmawiała.

— A więc?

Swego czasu Jan Vernocq napisał był list, w którym wszystko co posiadał zapisywał Florencji Levasseur. Florencja wzruszona tym i pełna litości dla biednego kaleki, nie znając przy tym wartości powyższego kroku, napisała też podobny list, w którym Jana Vernocqą ustanawiała swoim ogólnym spadkobiercą. List ten mógł służyć za najlegalniejszy testament i Jan Vernocq dziedziczyłby niezaprzeczenie po Florencji Levasseur, ostatecznej sukcesorce Kosmy Morningtona. Mógł więc, w braku jakichkolwiek poszlak przeciw niemu, żyć spokojnie, z czternastoma zbrodniami na sumieniu, ale i dwustu milionami w kieszeni.

— Ale dowody! Czy ma pan na to dowody? — zawołał żywo Valenglay.

— Oto są — rzekł Perenna, wskazując na brązowy portfel, wyjęty z kurtki bandyty.

— Oto listy i dokumenty, zachowane przez niego wskutek jednej z tych aberracji, które się często spotyka u wielkich zbrodniarzy. Oto korespondencja jego z inżynierem Fauville'em. To zaś oferta kupna pałacu przy placu Palais-Bourbon. To notatka dowodząca, że inspektor Verot podsłuchiwał rozmowę pomiędzy inżynierem Fauville'em i jego współnikiem, że wykradł fotografię Florencji i że Vernocq skierował Fauville'a przeciw inspektorowi. To jest kopia notatek znalezionych w ósmym tomie Shakespeare'a, która dowodzi, że Jan Vernocq, do którego te książki należały, znał doskonale całą machinację Fauville'a. Tu zaś... Lecz nie potrzebuję panu chyba wyszczególniać wszystkich dowodów. Oddaję w pańskie ręce ten plik akt, który najlepiej udowodni władzom sądowym, że wszystkie oskarżenia uczynione przedwczoraj przeze mnie w obecności pana prefekta policji były ściśle prawdziwe...

— Lecz on? Gdzie on jest? Gdzie jest ten zbrodniarz? — wykrzyknął prezydent Valenglay.

— Na dole w samochodzie...

— Czy uprzedził pan moich agentów? — zapytał Demalion z niepokojem.

— Tak, panie prefekcie. Zresztą jest on mocno związany. Nie ma obawy. Nie ucieknie.

— No — rzekł Valenglay — widzę, że pan wszystko przewidział, i sprawa wydaje mi się ostatecznie skończoną. Jedno tylko zagadnienie pozostaje dotąd nie wyjaśnione, i to zagadnienie, które najbardziej swego czasu roznamiętniało publiczność. Mam na myśli ślad zębów na jabłku, „zębów tygrysa”, jak je ogólnie zwano. Prefekt twierdzi, że pan nam i tę zagadkę objaśni?...

— Tak, panie prezydencie, muszę jednak z góry uprzedzić, że zagadnienie jest o wiele mniej zawile niżby się to zdawać mogło. Jest to rzeczywiście odcisk zębów pani Fauville, choć to nie ona ugryzła to jabłko.

— Jak to zrozumieć?

— Zaraz to panom wytłumaczę. Kilka lat temu w Palermo pani Fauville upadła tak nieszczęśliwie, że uderzywszy ustami o marmur stolika nadwreżyła sobie mocno kilka zębów u górnej i dolnej szczęki. Żeby je wzmocnić na nowo, trzeba było zrobić złote tubki ściśle dopasowane do formy zębów, które pani Fauville zmuszona była nosić w ciągu kilku miesięcy. W tym to celu dentysta wziął według zwyczaju aktualny

odlew obu szczęk. I właśnie odlew ten, zachowany wypadkowo, posłużył inżynierowi Fauville'owi do naznaczenia tego jabłka.

Głuche milczenie zaległo w pokoju. Tłumaczenie było rzeczywiście tak proste, że napełniło zdumieniem prezydenta Valenglaya. Podstawą całego dramatu, oskarżenie Marii Anny Fauville, które ostatecznie spowodowało jej śmierć, jako też śmierć Gastona Sauverannda, wszystko to opierało się na tym drobnym szczególe, o którym nie pomyślał nikt z licznych milionów czytelników pasjonujących się tą sprawą.

— „Zęby tygrysa” — szepnął Valenglay. — Przypomina to trochę owo „jajko Kolumba”, o którym trzeba było tylko pomyśleć — dodał z uśmiechem.

Rozmowa dobiegała do końca. Valenglay rzekł do Perenny:

— Po dokonaniu licznych cudów dotrzymał pan słowa i wydał nam pan złoczyńcę. Muszę i ja słowa dotrzymać i wrócić panu honor i wolność: Wszelkie zarzuty uczynione przeciw panu upadają tym samym. Jest pan don Luisem Perenną i pozostaje nim pan nadal.

— A Florencja Levasseur, panie prezydencie?

— Niech się zgłosi osobiście do sędziego śledczego. Odstąpienie od procesu jest w danym razie nieuniknione. Będąc zaś wolną i oczyszczoną z wszelkich zarzutów zostanie bez wątpienia uznana jako sukcesorka Kosmy Morningtona i otrzyma owe dwieście milionów...

— Florencja ich nie przyjmie, panie prezydencie!

— Jak to?

— Moja narzeczona nie chce tych pieniędzy. Zbyt wielu zbrodni były one przyczyną. Za wiele łez i krwi kosztowały.

— Jakże więc będzie?

— Pieniądze Kosmy Morningtona zostaną całkowicie obrócone na budowanie dróg i szkół w południowym Maroku i północnym Kongu.

— Prawdziwie królewski dar... Trzeba przyznać, że don Luis Perenna splanca wspaniale długi zaciągnięte wobec ojczyzny... przez Arsena Lupina.

Ożeniwszy się z Florencją Levasseur don Luis Perenna zamieszkał w Saint-Maclou. Jego ładnie położona willa otoczona jest ogrodem, w którym don Luis hoduje z zapalem kwiaty. Dumą zaś jego są różne odmiany wspaniałych łubinów, skąd też powstała nazwa willi: „Closier des lupins” czyli „Zagroda łubinów”.

Wiecznie młody ze swoją uroczą małżonką, często odwiedzany przez licznych przyjaciół, w spokoju i ciszy pędzi żywot szczęśliwy.

KONIEC



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
Rzeszów 1990
Wydanie II. Nakład 49 650 + 350 egz.
Ark. wyd. 11,5. Ark. druk. 13,13.
Skład, druk i oprawa:
Rzeszowskie Zakłady Graficzne
Rzeszów, ul. Marchlewskiego 19 |
Nr prod. KAW 55/88.
Zam. 708/89 S-5-115